



JULIE ANNE
LONG

Jak zaczyna się miłość?



Romans historyczny

JULIE ANNE
LONG

Jak zaczyna się miłość?

Przekład
Agnieszka Kowalska
Katarzyna Przybyś-Preiskorn



Korekta

Agnieszka Pyśk

Anna Raczyńska

Projekt graficzny okładki

Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce

© ksi/Fotolia

Tytuł oryginału

It Started with a Scandal

Copyright © 2015 by Julie Anne Long

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana

ani przekazywana w jakiejkolwiek formie zapisu

bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition

Copyright © 2017 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6197-3

Warszawa 2017. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysienki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego

P.U. OPCJA

1

Biorąc pod uwagę okoliczności... pani Fountain, z pewnością zdaje sobie pani sprawę, że to jest nieco niezwykle, że w ogóle zgodzono się z panią rozmawiać. Ale to jest wyjątkowa... sytuacja... i rodzina Redmondów wstawiła się za panią.

Tyle słów wymagających starannego dobierania i opakowania w wymowne pauzy. Okoliczności. Sytuacja.

Elise zacisnęła zęby, znosząc dzielnie je wszystkie, jak to robiła od lat.

– Rozumiem – powiedziała pośpiesznie.

– ...nie chcę przez to powiedzieć, że nie będzie się pani wywiązywać z obowiązków, i mam nadzieję, że nie ulegnie pani wpływom pani Gordon, której temperament okazał się nieodpowiedni do tej posady...

Pani Gordon to musiała być ta szlochająca kobieta, którą Elise minęła przed wejściem do domu. Wychodziła, dźwigając walizę, i mamrotała zjadliwie coś o „łajdaku bez serca”.

– ...ponieważ odpowiednia osoba powinna mieć jasny umysł i dojrzały wygląd... – kontynuowała pani Winthrop. Na moment przerwała potok słów i przyjrzała się Elise, mrużąc lekko oczy.

Elise włożyła swoją najskromniejszą suknię i bezlitośnie unieruchomiła włosy, spinając je około trzystu szpilkami. Skinęła głową, mając nadzieję, że wygląda dojrzałe i żaden frywolny kosmyk nie wymknął się z jej fryzury.

Splecione palce zaciskała kurczowo na kolanach, jakby starała się w ten sposób utrzymać nerwy w ryzach. Przynajmniej pomogło jej to ukryć drżenie.

Gdyby tylko udało jej się tak samo skutecznie zapanować nad gorsetem sześć lat temu.

Niestety, mleko się rozlało i tak dalej.

– ...i, jak pani wie, jestem zatrudniona przez hrabiego Ardmay, który uprzejmie zgodził się, wyświadczając uprzejmość ich rodzinie, żebym wybrała odpowiednią kandydatkę...

Pani Winthrop nie przestawała mówić, odkąd Elise weszła tu przed kwadransem.

– ...jeśli chodzi o obecnie zatrudnioną służbę, nie ma zarządcy ani kamerdynera, ponieważ dom jest raczej niewielki i wynajmowany tylko tymczasowo. Zatem będzie pani kierować całą służbą, która składa się z...

Gdzieś w oddali coś bez wątpienia dużego i szklanego spadło ze znaczną siłą i roztrzaskało na tysiące brzęczących kawałków.

Obie kobiety zamarły.

Elise przypuszczała, że jej nerwy zadźwięczą dokładnie tak samo, kiedy w końcu pękną.

Zapanowała zupełna cisza i nagle w okno uderzyły krople deszczu, niczym ostrzeżenie: Uciekaj! Uciekaj stąd, póki możesz!

Ach, gdyby miała jakikolwiek wybór.

W końcu pani Winthrop odchrząknęła.

– Najprawdopodobniej nigdy nie będzie celował w panią. Niemniej rękę ma silną, więc najrozsądniej byłoby schodzić mu z drogi, kiedy uzna pani, że jest w nastroju do rzucania.

Elise miała nadzieję, że to ponury żart. Co można powiedzieć na coś takiego? Spojrzała na swoje zacisnięte, zbielałe palce, jakby były szklaną kulą. Ale nie znalazła tam żadnej wskazówki.

Doszła do wniosku, że najlepiej będzie po prostu skinąć głową.

– Rozumiem, że szczęśliwie są rzadkie. Takie nastroje – uściśliła pani Winthrop.

– Zawsze powinniśmy liczyć na szczęście.

Wyszło to bardziej pospiesznie i cierpko, niż Elise zamierzała.

Innymi słowy: bardziej szczerze, niż zamierzała.

Zorientowała się, ponieważ brwi pani Winthrop wyskoczyły w górę niczym ptaki wypłoszone z krzaków.

Przez chwilę bacznie przyglądała się Elise.

Elise wstrzymała oddech.

Nagle przez wargi pani Winthrop przemknął lekki uśmiech. Elise poczuła, jakby błakając się tygodniami po ciemnym lesie, nieoczekiwanie zobaczyła w oddali iskrę z ogniska.

– A zatem, pani Fountain, z przyjemnością przedstawię panią jego lordowskiej mości, lordowi Lavay, który jest księciem z rodu Burbonów. O ile będzie... w odpowiednim nastroju.

Gadatliwa pani Winthrop była dziwnie milcząca, kiedy prowadziła Elise przez labirynt mrocznych korytarzy Alder House. Nikt nie przycinał knotów w świecach, których kilka paliło się, skwiercząc i migocząc, w kinkietach. Zmarszczyła brwi. Dom był całkiem ładny, ale w pokojach, które mijaly, ogień w kominkach ledwie się palił lub był całkiem wygaszony. Dyskretnie przesunęła palcem po boazerii; poczuła, że pokrywa ją warstewka kurzu.

Nie zobaczyła nawet śladu służby, która rzekomo miała tu pracować.

Wspięły się po marmurowych schodach z gładką, skromną poręczą, aż w końcu pani Winthrop zatrzymała się na progu pomieszczenia, które musiało być gabinetem.

Było ciemne i ponure jak jaskinia, ale płonący w kominku ogień rozświetlał je chwilami, wydobywając z mroku szczegóły, które Elise śledziła wzrokiem: wypolerowane nogi miękko wyściełanej, pikowanej kanapy, dwa ozdobne fotele; intarsjowany blat małego, okrągłego stolika; wisząca na ścianie mapa w złoczonej ramie; podstawa eleganckiego globusa; pusta kryształowa karafka; stojąca na kredensie opróżniona do połowy butelka laudanum Sydenhama.

Zamarła, gdy jej spojrzenie padło na wypolerowane jak lustro czubki pary botfortów przed kominkiem.

Przeniosła wzrok w górę.

W botfortach stał mężczyzna.

Bardzo wysoki mężczyzna.

Wyglądał niemal groźnie. W blasku kominka jego cień sięgał prawie do miejsca, w którym przy drzwiach stała Elise.

Bezwiednie cofnęła się o krok, jakby był strumieniem lawy.

Stał z twarzą zwróconą do okna, jakby kogoś wyczekiwał.

Zaciekawiona, podążyła za jego wzrokiem.

Zobaczyła tylko krople zacinającego deszczu, które spływały po szybie i wyglądały jak kraty w okienku więzienia.

Podłoga wokół jego stóp była usiana połyskującymi skorupami. Sądząc na pierwszy rzut oka, były to pozostałości jakiejś wazy.

– Lordzie Lavay...

Elise zerknęła z niepokojem na panią Winthrop. Jej niezmordowany, jak się wydawało, głos ucichł. Jakby zabrakło jej powietrza, by wydobyć słowa.

Voilà! pomyślała Elise, siląc się na brawurę.

Jednak było już za późno. Wstrzymała oddech i napięła mięśnie, niczym zwierzątko, które natknęło się na polanie na drapieźnika i stara się nie rzucać mu w oczy.

Był tak oczywistym okazem tego gatunku, arystokratą w każdym calu, że wręcz mogłaby

kupić bilet, żeby go obejrzeć, tak jak kiedyś, gdy była małą dziewczynką, i ojciec zaprowadził ją do Królewskiej Menażerii w Londynie.

Nie był młody. W jego twarzy nie było nic miękkiego – ani w układzie ust, ani w palącym spojrzeniu, ani w mocnych, ostrych liniach podbródka. Jego uroda była surowa, emanował siłą, jakby wyskoczył z ziemi niczym potężna góra, za sprawą gwałtownej podziemnej aktywności. Przypomniała sobie wszystko, co o nim słyszała.

Korsarz. Żołnierz. Księżę.

Władza, przemoc, zaszczyty.

Wyglądał tak, jak powinien wyglądać.

Czy aż tak bardzo widać po nas naszą przeszłość? – zastanawiała się. Jeśli tak, to znaczy, że będzie miała problem.

Nie ulega wątpliwości, że wzbudził w niej strach.

Po chwili zaczęło ją to złościć. Była tak pewna, że nic jej nie przestraszy po wszystkim, co zdarzyło się w ciągu ostatnich pięciu lat. Nie może sobie pozwolić na strach. Wydawało jej się, że zasłużyła na to, by nigdy więcej się nie bać.

Wyprostowała się.

„Życie jest pełne prób, moje dzieci”, mawiała niegdyś swoim uczniom.

Mawiała tak, zanim sama została poddana próbie.

Kobieta, którą pani Winthrop przyprowadziła do gabinetu Philippe’a, była drobna i bezbarwna. Jej twarz i zaciśnięty węzeł dłoni były takie same – białe i napięte. Miała na sobie skromną suknię o długich rękawach i wysokim kołnierzyku, uszytą z praktycznej szarej wełny. Miała ciemne włosy. Mogła być w każdym wieku.

Spuściła wzrok natychmiast, gdy napotkała jego spojrzenie. To mógł być odruch obrony, strachu lub fascynacji. Przywykł do tego wszystkiego. Nie wzbudzało to już jego zainteresowania.

Jak należało oczekiwać, była pod każdym względem nieciekawa.

Może... poza jej postawą, która wydawała się niemal agresywnie sztywna. Skojarzyła mu się z wydobytą szablą.

Na tę myśl uśmiechnął się lekko.

Uświadomił sobie, że to nie był przyjemny uśmiech, kiedy obie kobiety lekko się wzdrygnęły.

– Chciałabym panu przedstawić panią Elise Fountain, milordzie.

Panna Fountain dygnęła dość zgrabnie.

– Może nas pani zostawić – powiedział do pani Winthrop, nie patrząc na nią.

Pani Winthrop czmychnęła jak królik wypuszczony z pułapki.

Pani Fountain podniosła wzrok, jak człowiek, który usiłuje wspiąć się po klifie, zawahała się i wytrzymała jego spojrzenie.

Elise musiała zebrać całą siłę woli, by nie spojrzeć za uciekającą panią Winthrop.

– Proszę usiąść, pani Fountain.

Zamarła. Ciężki francuski wciąż nawiedzał jego spółgłoski i zamieniał samogłoski w istną pieśczętę. Niemal widziała elegancki, niekończący się strumień wody, kiedy wymawiał jej nazwisko.

– Pani Fountain. Czy pani Winthrop przyprowadziła mi kandydatkę, która nie mówi po angielsku?

Ton jego głosu brzmiał jak stal okryta jedwabiem; był nienagannie uprzejmy. A jednak bez najmniejszego trudu mogła sobie wyobrazić, jak tym samym tonem każe ściąć głowę temu, kto przyprowadził mu tak głupią i milczącą kandydatkę.

– Proszę mi wybaczyć, lordzie Lavay. Wiem, co znaczy usiąść.

Zmusiła się do bladego uśmiechu. Wiedziała, że nie brakuje jej wdzięku, choć był to wdzięk nieco zakurzony od długiego nieużywania; sama zadbała o to, by został głęboko ukryty, odkąd wpakował ją w kłopoty.

– Byłbym wdzięczny, gdyby zademonstrowała mi pani tę umiejętność.

Wskazał jej fotel obity aksamitem o kolorze czekolady. Elise sama poczuła się jak mebel wobec uroku, który roztaczał. Poczuła się najzupełniej nijaka. I może tak było najlepiej.

Usiadła ostrożnie, mając nadzieję, że robi to z wdziękiem, na samym brzegu fotela, aby móc łatwiej uciec, jeśli okaże się to konieczne. Złożyła ręce na podolku.

Boże... ten fotel był... taki miękki. Objął jej pupę niemal lubieżnie. Wysokie oparcie, rozszerzało się wachlarzowato ku górze niczym ramiona kochanka. A życie od tak dawna wydawało się ciasne i najeżone kolcami, że niespodziewany komfort omal nie pozbawił jej przytomności. Niepewnie cofnęła się o cal, kiedy siedzący w fotelu naprzeciwko lord Lavay nachylił się ku niej powoli.

Przyjechał do Sussex, żeby dojść do siebie po ataku – tak jej powiedziano.

Zacęła się zastanawiać, czy to nie był atak apopleksji.

Widziała twarze ich obojga odbijające się w wypolerowanym blacie stołu: jego – gładko ogoloną, jak drewno; jej – drobną i bladą, wyglądającą aż nazbyt niepozornie.

– Wyśmienicie. Zatem ustaliliśmy, że istotnie potrafi pani usiąść. To bardzo dobrze, ponieważ nie toleruję kłamców. – Znowu lekko się uśmiechnął, co, jak przypuszczała, miało odrobinę złagodzić to nieco wyzywające stwierdzenie.

Ona również uśmiechnęła się blado, dowodząc, że potrafi się uśmiechać.

– Jakie sądzi pani, że ma kwalifikację, pani Fountain?

Cóż za interesujące ujęcie problemu. Jakby tylko on mógł je naprawdę ocenić.

– Nauczono mnie... – Wstrząsnął nią dźwięk własnego głosu, który zabrzmiał jak piskliwy skrzek, przypuszczalnie z powodu gęstej atmosfery, jaką tworzyła jego wyniosła obecność. – Nauczono mnie zarządzania piękną rezydencją, w tym również pilnowania budżetu, podejmowania decyzji o zakupach dla domu, przygotowywania ciast, sporządzania leków i mikstur, zatrudniania i zwalniania...

– Gdzie?

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Przepraszam...?

– Rezydencja – powiedział powoli i wyraźnie. – Gdzie znajdowała się ta, jak pani mówi, piękna rezydencja?

Spędziła z tym człowiekiem dopiero kilka minut, a już miała ochotę go kopnąć.

– W Northumberland.

– Dla kogo zarządzała pani ową rezydencją?

Zawahała się. Serce zaczęło jej bić szybciej.

– Dom należał do moich rodziców. Tam się wychowałam.

Nie powiedziała, że nie była tam już mile widziana.

Jeśli zechce poznać całą historię, będzie musiał ją z niej wyciągnąć, pytanie za pytaniem.

Przyglądał się tak intensywnie, że czuła jego spojrzenie na skórze jak czubki dwóch rozpalonych cygar.

A może już o wszystkim wiedział, mimo tego, co powiedziała pani Winthrop? Czasami wydawało się jej, jakby wiedział cały świat.

Ale przecież nie była kimś aż tak ważnym, żeby o niej plotkować?

Z drugiej strony, zawsze znajdą się jacyś Redmondowie albo Eversea, gotowi w każdej

chwili podsycać żar plotek, gdyby zaczął przygasać.

Serce waliło jej tak mocno, jakby ktoś wściekle kopał ją w mostek.

Poddała się i cofnęła o kilka centymetrów, prosto w objęcia fotela. Lavay miał potężne ramiona pod zgrabnym, nienagannie skrojonym surdudem. Zastanawiała się, czy jakakolwiek kobieta znalazła w nich pocieszenie. A może jedynym celem jego istnienia jest sprawianie, żeby kobiety czuły się przerażone i onieśmielone.

– A dlaczego teraz szuka pani posady zarządczyni pięknej rezydencji?

Zawahała się. Ale przynajmniej przydało się jej słowo, którego tak nie cierpiała.

– Od tamtego czasu zmieniły się moje okoliczności.

Uniósł brwi, jakby zaskoczony.

Ponieważ zdążyła już nabrać przekonania, że właśnie widzą się po raz ostatni, miała odwagę spojrzeć mu w oczy, co nie było łatwe, ponieważ, co dziwne, działał na nią zarazem przerażająco i emocjonująco. Jego oczy miały niezwykły kolor, rdzawozłoty, jak promienie słońca prześwitujące przez brandy. Pomyślała, że być może stają się jaśniejsze, kiedy się uśmiecha.

Jeżeli się uśmiecha.

Pod oczami miał delikatne fioletowawe cienie; jego skóra wydawała się naprężona ze zmęczenia. Blizna wyglądająca na świeżą, bladoróżowa i cienka jak czubek noża, przecinała jego policzek na długości około dwóch cali. To musiało boleć, pomyślała. Ale nie skalało jego urody. Była raczej jak podkreślenie: ten mężczyzna jest piękny oraz niebezpieczny.

Przypuszczała, że rozumie, co oznaczał „atak”. Wezbrało w niej coś, co wydawało się współczuciem. Oczywiście należało się też liczyć z tym, że zaatakowała go poprzednia zarządczyni, ponieważ był nieznośny.

Zapadła cisza. W kominku osunęło się płonące polano i ogień strzelił w górę.

– Okoliczności – powiedział w końcu ironicznie – wykazują taką niefortunną tendencję.

Kącik jego ust uniósł się lekko. Jeśli to miał być uśmiech, to nie dotarł do oczu. Można było odnieść wrażenie, że ironia jest jego drugą naturą.

Była oszołomiona.

W ciszy, jaka zapadła, przyglądała mu się bezmyślnie.

Atmosfera była tak napięta, że kiedy leciutko stuknął palcami w blat, omal nie podskoczyła.

– Obecna służba jest leniwa i krnąbrna, a ponieważ kazałem, żeby mi przysłano kilka rzeczy, które są mi drogie, takie jak srebro i porcelanę, martwię się o kradzieżę. Ale zawsze trudno jest znaleźć dobrą służbę, nawet komuś takiemu jak ja. Mam znaczne oczekiwania i niewielkie nadzieje na to, że zostaną zaspokojone. Co daje pani podstawę do wymagania lojalności i skuteczności od służby i dlaczego sądzi pani, że spełni moje oczekiwania?

Nie dodał głośno: „podczas gdy inni odchodzili ze szlochem”.

I jeszcze „ktoś taki jak ja”? Doprawdy, świat nie zniósłby drugiego takiego człowieka.

Odetchnęła głęboko.

– Uczyłam całe klasy niesfornych dzieci o bardzo różnym usposobieniu; wiem, co zrobić, żeby mnie słuchały, uczyły się i lubiły to. Rozumiem politykę zarządzania rezydencją i mam umiejętności potrzebne, by się tym zająć. Doświadczyłam różnych, powiedzmy... warunków ekonomicznych i do każdego umiem się przystosować. Jestem doskonale zorganizowana. I mam rozum. I niczego się nie boję.

Oprócz pana.

Właśnie bezczelnie okłamała człowieka, który powiedział, że nie toleruje kłamstw.

Przypuszczała, że patrzył na ludzi w taki sposób w chwilach, gdy podejmował decyzję.

czy powinien ich wykończyć, czy też nie: był to skupiony wyraz łagodnego zainteresowania. Nie była dla niego kobietą; była raczej problemem do rozwiązania, szyfrem do złamania, decyzją do podjęcia na zimno. Kiedyś zraniłoby to jej próżność.

Teraz nie liczyło się nic oprócz tego, co dalej zrobi lord Lavay.

– Może pani dostać tę posadę na próbę, na dwa tygodnie, pani Fountain – powiedział niemal bezmyślnie. – Zacznie pani natychmiast.

Zamarła.

A potem nagle poczuła niemal obezwładniającą ulgę; fala ciepła wypłynęła jej na policzki i zamgliła wzrok. Przez miłosierną sekundę przed oczami miała jego nieporównanie bezpieczniejszą, łagodniejszą wersję. Sięgnął po jeden z tych pomiętych, a następnie rozprostowanych arkuszy papieru i zaczął mu się przyglądać. Jakby całkiem o niej zapomniał.

Uwolniła wilgotne dłonie ze skromnego wężła, z roztargnieniem otarła o suknię i splotła je znowu.

Była dumna, że jej głos zabrzmiał czysto i spokojnie.

– Dziękuję. Nie pożałuje pan tej decyzji, lordzie Lavay.

– Rzadko miewam powód, by żałować swoich decyzji. – Powiedział to spokojnym, niemal nieobecny głosem, nie odrywając wzroku od korespondencji, ani razu nie popatrzył na nią. – Może pani odejść, pani Fountain.

Wstając, dyskretnie musnęła fotel dłonią, jakby był miłym zwierzątkiem. Podziękowała za komfort.

Philippe podniósł wzrok w samą porę, by zobaczyć, jak pani Fountain, wychodząc, zrobiła dodatkowy drobny krok w drzwiach jego gabinetu.

Wyglądało to niemal jak... bryknięcie.

Zmarszczył brwi.

Boże, jakże nużyły go te wszystkie drobne detale zarządzania domem. To dziwne, bo przecież dowodzenie statkiem składało się z podobnych detali, a lubił to. Po prostu jedne zajęcia są odpowiednie dla mężczyzny, a inne dla kobiety.

I tą kobietą miała być pani Fountain.

Dlaczego miałoby się jej udać, skoro trzy inne wcześniej zawiodły? Dwie z nich wyrzucił, a trzecia uciekła.

Oczywiście wiedział już o niej to i owo – w każdym razie to, co pocziwa pani Winthrop postanowiła mu wyjawić: że nadaje się na to stanowisko i że tę cechę jej charakteru potwierdzili Redmondowie. Tak się złożyło, że jego najbliższy przyjaciel, hrabia Ardmay, poślubił przedstawicielkę tej szacownej rodziny.

Jeśli wszyscy ci ludzie i zdarzenia, które doprowadziły do tego, że znalazł się na wygnaniu w Pennyroyal Green w angielskim Sussex – królowie i bandyci, romanse i egzekucje, niebiańskie rozkosze i koszmarny ból, pojedynki na miecze i pistolety, walki z piratami, zniszczenie jego stylu życia, aż nie pozostało mu nic oprócz zimnej, bezwzględnej determinacji, by go odzyskać – czegokolwiek go nauczyły, to umiejętności odczytywania ludzi równie płynnie i szybko, jak czytał w pięciu językach. Pytania były tylko sposobem na odwrócenie uwagi rozmówcy, podczas gdy on w milczeniu go rozpracowywał.

Postawa pani Fountain, jej dykcja, to, że umiała patrzeć mu w oczy i składać poprawne, sensowne angielskie zdania, że знаła takie słowa jak „polityka”... Wszystko to wskazywało, że otrzymała wykształcenie lepsze niż przeciętna gospodyni. Była dumna. Dumni ludzie często doskonale się wywiązują; dumni ludzie często uważają, że są ponad swoje obowiązki. Dumnym ludziom może być trudno używać schodów dla służby. Intuicja podpowiadała mu, że pani Fountain ma temperament.

Zarumieniła się i pogłaskała fotel, jakby nigdy wcześniej nie widziała aksamitu.

Pani Fountain była także, jak podejrzewał, odrobinę zdesperowana.

A on wiedział coś o desperacji.

Ale kiedy mówiła, spiralka lśniących czarnych włosów wymknęła się z uwięzi szpilek i opadła na skroń niczym klucz wiolinowy. Chyba nie zdawała sobie z tego sprawy. Kontrastowało to tak bardzo z jej sposobem mówienia i sztywną postawą, że poczuł pustkę w głowie i niemal zapomniał, co chciał powiedzieć. Niemał zapomniał myśleć.

Westchnął. Zdenerwował ją. Nieważne. Za dwa tygodnie pani Fountain już tu nie będzie. Miejmy tylko nadzieję, że nie zabierze ze sobą reszty jego sreber.

Wobec innych niecierpiących zwłoki spraw urok zaczynał się wydawać czymś zbyt cennym. Niewątpliwie nie pomógł mu obronić się przed bandą zbirów, którzy zaatakowali go w Londynie i porzucili uboższego o sporo krwi, jeszcze więcej pieniędzy, za to z kilkoma więcej bliznami i długiem wdzięczności wobec ostatniej osoby na ziemi, której chciałby zawdzięczać ocalenie życia.

Zawsze spłacał swoje długi.

Wstał powoli, sztywno i zwrócił się w kierunku okna.

Deszcz ustał, słońce zaczęło zachodzić i niebo poróżowiało. Rumieniec wypłynął na policzki pani Fountain, kiedy powiedział jej, że może mieć tę posiadłość. Wyglądało to, jakby słońce weszło, oświetlając delikatny krajobraz. Pochylił głowę, udając roztargnienie, by ratować jej godność.

Wcześniej jednak zdążył zauważyć małe zagłębienie, dołek w jej podbródku. Wyobraził sobie, że przykładą do niego czubek palca. Ot, tak sobie.

Może to jeszcze jedna wskazówka, że słusznie postanowił nieco przystopować z laudanum.

Dobrze. A teraz pokaż mi Wielką Niedźwiedzicę, Jack.

Leżeli w ciemności na jej łóżku, zwrócenii głowami w stronę okna, za którym rozpościerała się noc gęsta od gwiazd. Obejmowała go jedną ręką, a on leżał wtulony głową w jej pachę i bębnił piętami w łóżko, popykując do rytmu przez usta.

Nigdy nie był naprawdę spokojny. Miał zaledwie sześć lat i Elise przypuszczała, że wciąż jeszcze odkrywa wszystkie rzeczy, które może zrobić kończynami – tańczyć, skakać, tworzyć, niszczyć, irtować – i nigdy nie pozostawał w bezruchu, chyba że wtedy, kiedy spał. A kiedy spał – z zarumienionymi policzkami i rozrzuconymi rękoma – robił to z zapamiętaniem, które ją zdumiewało i uczyło pokory. Odkąd się urodził, życie stało się zadziwiająco piękne i zarazem przerażające. I zapewne zawsze już takie będzie. Był darem, za który zapłaciła niemal wszystkim innym.

– Jeeest... tam, mamó. – Wskazał gdzieś poza mansardowe okno.

– Och, bardzo dobrze. Ale sza. Co ci mówiłam o takich odgłosach? Może coś zaśpiewamy, skoro musisz wydawać jakieś dźwięki. Cicho.

– Piosenkę o Colinie Eversea?

– Skąd, na miłość boską... Nie, z pewnością nie tę piosenkę.

– Od Liama – odpowiedział grzecznie na jej niedokończone pytanie.

Oczywiście. Młody Liam Plum pracował w pubie i pomagał na plebanii – mógł bić w dzwon, co wzbudzało w Jacku podziw i zazdrość – i od czasu do czasu zajmował się tym i owym we wsi. Był szybki, sprytny i niewiele starszy od Jacka, lecz kapitan Chase Eversea i jego żona Rosalind uratowali go z londyńskich slumsów, a jego edukacja na ulicy była – mówiąc delikatnie – urozmaicona. Jack pobierał lekcje na plebanii u Liama i wikarego; mógł tam też czasem pomagać przy różnych zajęciach.

– On jest sławny, ten Colin – oświadczył z przekonaniem Jack. – Widziałem go kiedyś, jak jechał konno. Wielki gość.

„Gość” było najwyraźniej jeszcze jednym słowem, którego Jack nauczył się od Liama. Elise pomyślała, że powinna zamienić słówko z wikarym, który miał nienaganne maniery i wyszukane słownictwo.

Colin Eversea rzeczywiście był sławny – jako najbardziej szykowny mężczyzna, jaki kiedykolwiek uniknął szubienicy, przy wtórze eksplozji i przed tysięcznym tłumem. Powstała o nim ballada, która okazała się tak popularna, że wciąż śpiewali ją w pubach i na rogach ulic pijani wesołkowie, studenci i wszyscy, którzy mieli ochotę pośpiewać przy pracy. Nieustannie dodawano do niej nowe wersy, w większości raczej sprośne.

– Masz rację. Pamiętam, kiedy widzieliśmy Colina Eversea na koniu. Rodzina Eversea jest wszędzie w Sussex, podobnie jak Redmondowie. Są bardzo ważnymi ludźmi w tym mieście i zawsze, gdy ich zobaczysz, powinieneś odnosić się do nich uprzejmie i z szacunkiem, a kiedy zobaczysz go znowu, ukłoń się i zwracaj się do niego „panie Eversea”, a nie „Colin”, a już na pewno nie mów o nim „gość”. Ani nie śpiewaj mu tej piosenki.

– Pan Eversea – powtórzył posłusznie Jack.

– Bardzo dobrze. Jak prawdziwy dżentelmen.

Widziała, że się rozpromienił i znowu zaczął się wiercić, zadowolony z pochwały.

– A skoro już rozmawiamy o wielkich i ważnych ludziach, mam ci coś ciekawego do powiedzenia, Jack. Przeprowadzimy się stąd do dużego, pięknego domu, całkiem niedaleko, a ja będę nim zarządzała dla... pewnego dużego człowieka.

Jack słuchał w milczeniu.

– Wyprowadzimy się od panny Endicott i z tego pokoju na zawsze?

W jego głosie dało się słyszeć raczej żal niż zaciekawienie i Elise obawiała się, że jej głos może się załamać.

– Tak. Pora iść dalej – odparła z zaśpiewem, aby zabrzmiało to jak zabawa.

Przestał bębnić piętami w łóżko.

– Dlaczego, mamó?

– Ponieważ ten dżentelmen wie, że będziemy dobrze zajmowali się jego domem i nim, a ja dostanę porządną pensję. I będziemy mieli pokoje tak samo ładne jak ten, a ty nawet dostaniesz własny pokój. Tak będzie lepiej i bardziej zabawnie.

Jack zastanawiał się przez chwilę.

– I tak było lepiej, kiedy Charybda tutaj mieszkała.

Dzielił ten pokój, który był mały i znajdował się na ostatnim piętrze domu, z nauczycielką. Niedawno jednak, wyszła ona za męża za pewnego markiza i wyprowadzając się, zabrała swoją małą, kapryśną kotkę Charybdę.

– Będziemy mogli oglądać gwiazdy?

– Oczywiście. Będziemy tam mogli patrzeć przez okna na gwiazdy, a wiosną być może wyjdziemy nocą do ogrodu i też będziemy patrzeć w niebo.

O ile uda jej się tak długo utrzymać posiadłość.

Na Boga, musi jej się udać.

– Jest duży? Czy jest olbrzymem? Ma gęś, co znosi złote jaja?

To było typowe dla Jacka, że perspektywa spotkania olbrzyma wzbudziła w nim nadzieję, a nie niepokój. Przypuszczała, że to po niej odziedziczył ten rodzaj odwagi, zważywszy, że raczej trudno byłoby znaleźć tę cechę u jego ojca. A z drugiej strony, nigdy nie uważała się za szczególnie odważną, dopóki nie pojawił się Jack.

A teraz on był jej odwagą.

– Gęś, która składa złote jaja. Tak powiedzielibyśmy, gdyby ją miał, ale nie ma. Jest dość imponujący. – Rozmawiając z Jackiem, nigdy nie używała najprostszych słów, jeśli mogła znaleźć, lepsze, bardziej wyszukane i precyzyjne wyrazy, ponieważ był mądrym chłopcem i przyjmował nowe wyrażenia tak, jak niektórzy ludzie adoptują kotki i szczeniaki. – Jest wielki i bogaty. Nie tak wielki i bogaty jak ten od pędu fasoli. Ale jest księciem.

Teraz, w ciemnościach pokoju, ten tytuł wydał jej się niemal absurdalny. Nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczała, że będzie kiedykolwiek pracować dla jakiegokolwiek księcia.

Ale z drugiej strony nigdy nie wyobrażała sobie tego, co się stało z Edwardem Blaylockiem.

Ani Jacka.

Jack przyjął to raczej obojętnie. Był dzieckiem i dla niego wszystko mogło się zdarzyć. Jeszcze nie poznał słowa „niemożliwe”. W ogrodzie mógł się pojawić jednorożec i dla Jacka nie byłoby w tym nic niezwykłego. Zapytałby, czy może dać mu marchewkę.

– Jeśli jest księciem, to znaczy, że zostanie królem?

Powinien zostać, biorąc pod uwagę jego ego, pomyślała Elise. Może na tym polegał problem. Miał władzę we krwi; odziedziczył ją po całych pokoleniach przodków, a teraz mógł rządzić tylko służbą we własnym domu.

Jej kłopotliwe położenie (wolała o tym myśleć w ten sposób, a nie jako o „okolicznościach”) wykształciło w niej filozoficzne podejście, podczas gdy z natury zawsze była raczej pragmatyczna. Na przykład podobno człowiek zostaje nagrodzony za całe dobro, jakie uczynił, dopiero po odejściu z ziemskiego padołu. Ale jeśli popełni jeden (choćby błahy) błąd, najwyraźniej musi pokutować przez całe życie. Przecież Elise mogła być pouczającym przykładem dla wszystkich niesfornych młodych dam w akademii panny Endicott i choćby tylko z tego powodu powinna zachować posadę nauczycielki.

Próbowała tym argumentem przekonać pannę Endicott, która już zdążyła przywyknąć do niekonwencjonalnej logiki Elise, a nawet ją polubić.

Niestety, tym razem żadna z nich nic nie mogła poradzić. Elise zachowała się jak Elise o jeden raz za dużo, powiedziała coś, czego nie powinna, osobie, której nie powinna, a owa osoba była paskudnie mściwa. I nie miało znaczenia, że racja była po stronie Elise.

A Elise, pragmatyczna do szpiku kości, zdawała sobie z tego sprawę. Tak czy inaczej, to była tylko kwestia czasu.

Panna Endicott poprosiła o przysługę jednego z Redmondów, który był jej ją winien – zadała sobie wiele trudu, by nie powiedzieć, który to był z Redmondów – i udało jej się umówić Elise na rozmowę w sprawie tej posady.

A posada zarządczyni domu gburowatego księcia była ostatnią rzeczą, która mogła ocalić ją przed nędzą i życiem, jakiego nawet nie chciała sobie wyobrazić.

Bo do domu już nie mogła wrócić.

Jeśli będzie ostrożna, lord Lavay nigdy nawet nie zobaczy Jacka. Pokoje służby i reszta domu stanowiły odrębne światy. Niektórzy służący w większych rezydencjach mogli przez całe życie nigdy nie zobaczyć pana domu.

– On nie jest takim księciem, Jack. Takim, który ma zostać królem. Ale jest bardzo ważny i wybrał nas, a to jest zaszczyt. Wie, że będziemy jak najlepiej zajmować się jego domem. I nim.

– Czy jest miły?

Skrzywiła się nieznacznie.

Ale tutaj, w ciemności, z osobą, którą kochała najbardziej na świecie, mając w perspektywie dach nad głową przez co najmniej dwa tygodnie, łatwiej przychodziła jej życzliwość. Zaczęła się zastanawiać, czy książę pochylił głowę, aby pozwolić jej się rumienić i rozpadać na kawałki bez świadka. Choć taka łaskawość wydawała się nie przystawać do tego, jak bezwzględnie i dokładnie ją wypytywał.

– Jest elokwentny i dobrze wychowany. Jeśli i ty będziesz bardzo grzeczny, możesz także kiedyś mieć wielki dom.

Nigdy nie należy przepuścić okazji, by dać dziecku motywację, pomyślała cierpko.

– To dobrze – powiedział radośnie Jack, dając jej tym samym swoje błogosławieństwo. – Możemy jeszcze raz przeczytać *Historię o Matce Banialuce i wspaniałych czynach jej syna Jacka Benjamina Tabarta*?

To była opowieść o Jacku i magicznej fasoli. Synowi dała na imię John, ale oboje woleli nazywać go Jack właśnie z powodu tej bajki. Otrzymał też imię po swoim i jej ojcu, ale żadnego z nich nie widziała od sześciu lat.

Nachyliła się, żeby zapalić lampę.

– Zaśpiewaj to, mamo!

– Och, dobrze. Pozwól mi się chwilę zastanowić...

Jack wstrzymał oddech.

I nagle ją olśniło. Przytuliła go mocno i zaczęła:

Zabrał Jack na targ krasulę

*I zamienił na fasolę.
Rozległy się krzyki matki:
Na głupka masz zadatki!
Lecz Jack wiedział, że fasolę zasadzić trzeba
I wyrosła z niej łodyga aż do nieba.
Wspinał się po niej i wspinał...*

Niech to, nie mogła znaleźć rymu do „wspinał”. Ale to nic, bo Jack zasnął, zanim zdążył odmówić modlitwę.

Elise zdążyła namodlić się dość i za siebie, i za niego.

Spojrzała jeszcze raz za okno. Nie będzie tęskniła za tym, co było widać w dole. Kiedy mocno się wychyliła, mogła zobaczyć drzewa rosnące wokół polany. Pamiętała to zaskoczenie, kiedy poczuła promienie słońca i powiew wiatru na tych częściach ciała, których nigdy nie odsłaniała przed słońcem, a tym bardziej przed wzrokiem mężczyzny. I oczy Edwarda, tak podobne do oczu Jacka, kiedy poruszał się nad nią, i to, jak doskonała i prosta była jej radość – i jak bardzo, bardzo nierozważna.

Przypuszczała, że w przenośni dobiła swojego targu z fasolkami i w zamian dostała Jacka. Teraz pozostało jej tylko zjednać przychyłność olbrzyma.

Jak jej polecono, następnego ranka stawiała się w rezydencji lorda Lavaya. Przyglądała się schodom dla służby, ściskając mocno rączkę Jacka.

Cóż za ironia losu, że mieli wspiać się na najwyższe piętro domu, podczas gdy ich pozycja społeczna przemieszczała się w dokładnie przeciwnym kierunku.

Nagle uświadomiła sobie „okoliczności” i przyprawiło ją to o nagły zawrót głowy. W tej chwili doskonale rozumiała, dlaczego ktoś mógł czuć potrzebę rzucenia wazą.

Zrobiłaby to. Mogłaby to zrobić.

Mała dłoń, którą trzymała, była powodem, dla którego cokolwiek robiła.

– Hurra! Będziemy spać na najwyższym piętrze, Jack. Stamtąd najlepiej widać gwiazdy – powiedziała. – Prześcignę cię!

Jack wygrał wyścig, ku swej triumfalnej radości, po czym zajęli się poznawaniem nowego domu.

Pokój był dość przestronny, przynajmniej w porównaniu z ich pokoikiem w akademii panny Marietty Endicott, i mógłby być całkiem wygodny, gdyby nie było w nim zimno jak w grobie. Kominek był wygasły, ciemny i brudny. Ciężkie zasłony szeroko rozsunięto, odsłaniając główną przyczynę panującego wewnątrz zimna: wielkie okno w wypaczonej ze starości futrynie, przez którą wiało chłodem; jeśli uda im się zostać dłużej niż dwa tygodnie, wiosną będzie tu bardzo słonecznie. Świadczył o tym stary, gruby dywan, pierwotnie zapewne w kolorze głębokiej zieleni, po której zostało już tylko blade wspomnienie. Elise wyjrzała przez okno na przesiąknięte deszczem trawniki i łagodne wzniesienia, tu i ówdzie porośnięte kępami dębów i brzoź. Widać było wszystko aż do plebanii. Ten widok miał swój urok.

Kiedy energicznie szarpnęła zasłony, by je zasunąć, w powietrze wzbil się tuman kurzu, pripraviając ją o kaszel.

Wiedziała, że właściciel utrzymywał kilka osób służby, płacąc im mniejsze pensje, kiedy dom nie był wynajmowany, zaś gdy był wynajęty, najemca – w tym wypadku lord Lavay – wypłacał im normalne wynagrodzenie. Lord mieszkał tu od ponad miesiąca.

Ale czym w takim razie zajmowała się służba, do diabła?

Zamierzała się tego dowiedzieć.

Wspaniale będzie mieć długą listę rzeczy do zrobienia, mieć ludzi, którym będzie rozkazy... hm, którymi będzie kierować. Nie znosiła stanu zawieszenia. A ponieważ jej

przyszłość wydawała się pewna, przynajmniej przez najbliższe dwa tygodnie, mogła sobie pozwolić na dobry nastrój. Elise zamierzała być najlepszą cholerną zarządczynią pod słońcem.

Rozejrzała się dookoła i dopiero wtedy zauważyła wielki pęk kluczy na biurku. Wydawało się to niezbyt dobre miejsce do tego, by je zostawić, zważywszy, że otwierają wszystkie spiżarnie, szafy z porcelaną, srebrem i pościelą, niemal wszystko, co było zamknięte w domu. Symbol jej nowego statusu. Kiedy je podniosła, zadźwięczały przyjemnie i uroczyście.

Usiadła z impetem na łóżku, które ugięło się pod nią sprężysto. Podskoczyła radośnie. W pokoju stało małe biurko, niezbyt piękne drewniane krzesło, lampa, mały, skromny wazon. Wystarczy trochę posprzątać i przewietrzyć, włożyć kwiaty do wazonu, oprawić w ramki i powiesić kilka rysunków Jacka – voilà! Może wtedy poczują się tu jak w domu.

Zerwała się na równe nogi i zajrzała do sąsiedniego małego pokoiku.

Jack stał na łóżku z ugiętymi nogami, szykując się do skoku.

Zamarł na jej widok.

– Szkoda byłoby połamać łóżko już pierwszego dnia, a potem spać na zewnątrz w hamaku. Może nie powinieneś skakać?

Uśmiechnął się szeroko.

– W porządku, mamó. Naprawdę będę mógł spać w hamaku?

– Tylko marynarze śpią w hamakach. Ty masz wygodne łóżko. Możesz udawać, że śpisz na chmurze, bo jestem pewna, że tak właśnie będziesz się czuł.

Zastanowił się przez chwilę.

– A mogę spać w stodole? Na sianie? Widziałem stodołę.

– Mógłbyś, gdybyś był kozą, ale na swoje nieszczęście urodziłeś się chłopcem.

– Jesteś zabawna. – Roześmiał się.

– Jestem. Rzeczywiście – przyznała. – Rozpalmy ogień, Jack, bo tu, w chmurach jest dość zimno. Któregoś dnia możesz pomóc w tym pokojówce. Każdy chłopiec powinien umieć rozpalać ogień.

– Hurra! – zawołał, po czym klapnął na pupę i odbił się lekko od łóżka, lecz posłusznie znieruchomiał, widząc, że zmarszczyła ostrzegawczo brwi.

– A więc, mój drogi synu, czy podoba ci się twój pokój?

Był bardzo podobny do jej pokoju, tylko znacznie mniejszy i na szczęście nie wiało tu aż tak bardzo.

Rozejrzał się powoli.

– Jest świetny – powiedział wyniośle. To było jego nowe ulubione słowo. Wszystko było „świetne”; Jack sądził, że to brzmi bardzo dorośle. – Kiedy zobaczymy olbrzyma?

– Olbrzym zostanie w swojej części domu, a my w naszej. Ty będziesz zbyt zajęty lekcjami i pomaganiem wikaremu, który może nawet pozwoli ci bić w dzwony, żeby widywać lorda. I nie możemy mu przeszkadzać. Możesz mi to obiecać, Jack?

– Och. Dobrze, mamó. Bo nas zje? Ja szybko biegam. Szybciej niż Liam.

Najwyraźniej wcale nie przerażała go perspektywa bycia zjedzonym.

Siostra żony wikarego powiedziała jej, że wielu małych chłopców przechodzi okres, kiedy wydaje im się, że są niezniszczalni.

– On ma mnóstwo jedzenia, więc nie musi jadać ludzi. – W każdym razie nie dosłownie, pomyślała Elise. – Mimo to najlepiej będzie omijać go szerokim łukiem, żeby mógł zajmować się swoimi ważnymi sprawami.

Niezależnie od tego, jakie to były sprawy. Przypomniała sobie ową zmiętą i rozprostowaną kartkę na stole, stos korespondencji i rozbitą wagę.

Jack zerwał się z łóżka i podbiegł do okna.

– Stąd widać kościół! I krowę! I kogoś na koniu i powóz, i...

– ...i widzisz Maggie i Liama Plumów którzy idą, żeby zabrać cię na plebanię na lekcje.

Widzisz te małe kropki w oddali?

– Hurra!

Wtedy Jack puścił się biegiem po schodach, a Elise ruszyła za nim, znacznie bardziej statecznym krokiem.

Każde z nich miało się dziś czegoś nauczyć.

W kuchni Elise znalazła grupkę ludzi siedzących wokół wielkiego stołu, wszystkich z kartami w dłoniach. Dwie kobiety miały przyklejone w kąciakach ust krótkie cygara. W powietrzu unosiły się kłęby dymu. Z komórki przy kuchni dobiegał smród niemytych naczyń. Całą kuchnię, najwyraźniej od dawna niesprzątaną, wydawała się pokrywać warstewka tłustego kurzu. To było odrażające i jednocześnie wspaniałe, ponieważ Elise niczego nie lubiła bardziej niż możliwości czynienia rzeczy lepszymi.

Zadzwoiła złowieszczo swoim imponującym pękiem kluczy.

Nikt nawet nie drgnął. Jedna osoba położyła kartę na stół, pozostali coś mruknęli. Byli całkowicie pochłonięci grą. Ktoś zgarnął kupkę drobnych monet.

Elise odchrząknęła energicznie.

Wszyscy jednocześnie odwrócili się w jej stronę.

– Pięciokartowy dobierany, nieprawdaż? – spytała wesoło.

Patrzyli na nią pustym wzrokiem, z obojętnym wyrazem twarzy, wyraźnie nie wiedząc, jak odpowiedzieć na to pytanie. Poza tym, że rzeczywiście był to pięciokartowy dobierany.

– A co jom obchodzi? – wycedziła w końcu jedna z kobiet zza cygara wiszącego na jej wardze. Miała szeroką, bezmyślną twarz i czoło tak potężne, że rzucało na nią cień. Można by ją zaprząć do pługa. Elise była pod wrażeniem. Miała nadzieję, że ta kobieta jest praczką, ponieważ wyraźnie musiała mieć dość siły, by doprowadzić płótna do białości, a Elise przypuszczała, że wszystkie rozpaczliwie tego potrzebowały.

– Dobry wieczór. Jestem nową zarządczynią. Nazywam się pani Fountain. Właśnie to mnie obchodzi.

Pięć par brwi jednocześnie uniosło się w górę. Potężna kobieta zmrużyła oczy.

Elise dużo by dała, żeby wiedzieć, o czym myślą.

Potężna kobieta wyjęła cygaro z ust i machnęła nim ospale.

– No to jak leci, pani Fountain. Musisz pani dorzucić szylinga, jak się chcesz dołączyć. – Uśmiechnęła się powoli. Jej oczy były chłodne i czujne.

– Przepraszam? – powiedziała sztywno Elise.

– Jego Lordowskiej Mości nie będzie przez pare miesięcy. My, służba, musimy trzymać się razem. Pani siada, pani Fountain. Katy, daj no herbaty. – Odsunęła nogą krzesło, a kobieta, która musiała mieć na imię Katy, przysunęła jej imbryk i coś, co wyglądało jak butelka whisky.

– Łatwiejszej roboty żeś nigdy nie miała.

„My, służba”, dźwięczało wciąż w głowie Elise.

Jestem jedną z nich. Spojrzała na brudne czepki i fartuszki, na rękawy podwinięte powyżej stwardniałych od pracy łokci, bladą, niezdrową cerę ludzi, którzy całe życie pracowali w zamkniętych pomieszczeniach.

Poczuła na szyi falę gorąca i modliła się, żeby nie dotarła wyżej.

Nie mogę, nie mogę, nie mogę.

Czuła się, jakby te słowa ją przyszpiliły: „my, służba”.

„Zacznij tak, jak zamierzasz kontynuować, Elise”, powtarzał jej zawsze ojciec.

I – przypominała sobie – nie liczy się nic oprócz Jacka.

– Tak, powinniśmy trzymać się razem – powiedziała stanowczo. – A teraz bądźcie

uprzejmi wstać. Wszyscy. Już.

Sama królowa nie powiedziałaaby tego bardziej władczo i bezkompromisowo.

– Pani daruje, pani Fountain. Co niby mamy zrobić? – W głosie Dolly zabrzmiała złowieszcza nuta.

– Wstać i dygnąć, kiedy się ze mną witacie, a ja odwzajemnię tę uprzejmość. W każdym razie tak postąpią wszyscy, którzy chcą zachować posadę – wyjaśniła uprzejmym, lecz lodowatym tonem Elise. – A witając się, podajcie swoje imię i funkcję, żebym mogła was poznać.

Spojrzenia strzeliły niczym kule bilardowe – nastąpiła milcząca komunikacja – po czym wszystkie spoczęły na Dolly, która najwyraźniej tutaj rządziła. Niewątpliwie zdobyła tę pozycję, siłując się na ręce.

– Może później, pani Fountain. – Dolly naśladowała uprzejmy ton Elise, ale udało jej się nadać mu ponurą nutę. – Właśnie trochę odpoczywamy, jak pani widzi.

– Po czym odpoczywacie, jeśli można wiedzieć? – spytała Elise, jeszcze słodszy głosem.

Wyglądało na to, że będą się prześcigać w fałszywej słodyczy.

– No, po przegrywaniu do Ramseya. To całkiem zszargało mi nerwy, o tak.

Sądząc z kierunku, w którym wszyscy spojrzeli, Ramseyem był mężczyzna, który przed chwilą zgarnął monety.

Rozległ się śmiech, który przeszedł w kaszel, kiedy Elise zmierzyła ich lodowatym wzrokiem i demonstracyjnie się nie roześmiała.

– Daj pani spokój, pani Fountain. My tak jakby zapaściliśmy tu korzenie. Jesteśmy trochę jak meble. Zawsze zajmowaliśmy się tym domem.

Meble, niech ich piekło pochłonie. Raczej pluskwy niż meble.

– Ach, skoro jesteście jak meble, to musi znaczyć, że od pary tygodni brakuje wam porządnego czyszczenia? – powiedziała radośnie Elise. – Albo że wszyscy jesteście zakurzeni jak korytarze? I pokryci tłuszczem jak palenisko tutaj, w kuchni?

Teraz pięć par oczu wpatrywało się w nią z nieskrywaną wrogością.

Elise spokojnie wytrzymała te spojrzenia. Mieli przewagę liczebną, ale ona zdążyła się rozzłościć i stała nieruchomo jak polujący kot. Umiała onieśmielać ofiarę dokładnie tak samo jak kot. Nikt nie wie, do czego kot jest zdolny.

– He he – odezwała się niepewnie jedna z pokojówek. To było coś pośredniego między śmiechem a warknięciem.

Najwyraźniej nie potrafili ocenić, co jest źródłem jej pewności siebie; właśnie dlatego kotom udaje się zastraszyć większe, bardziej groźne zwierzęta. Są najeżone mnóstwem dobrze ukrytych kolców.

Z jednej strony, porządna bitwa była dokładnie tym, czego potrzebowała Elise, i niech ją diabli, jeśli ktokolwiek przeszkodzi jej w utrzymaniu dachu nad głową jej i Jacka.

Z drugiej strony, serce znowu waliło jej jak młotem. Jeśli tak dalej pójdzie, za szybko się zużyje. Nie pracowała tak ciężko, odkąd ona i Edward... chociaż to nie pora myśleć o tym.

Myślała pospiesznie. Lord Lavay miał rację co do jednego: wprawnych i lojalnych służących trudniej znaleźć niż zęby u kury. Ale wiedziała też z doświadczenia, że służba ma bardzo głęboko wpojone poczucie hierarchii, a to towarzystwo zapewne po prostu zbyt długo było wykołejone z naturalnego porządku rzeczy z powodu zaniedbania i braku kogoś, kto chwyciłby mocno ster – niczym stary płot, który pochyla się coraz bardziej bez odpowiedniej podpory.

Zabręczała obelżywie kluczami.

– Ejże. My, służba, powinniśmy się nawzajem szanować, nie sądzicie? A szacunek zaczyna się od ukłonu i dygnięcia. Możemy przynajmniej zacząć w ten sposób?

Spojrzała na pokojówkę, która zaśmiała się niepewnie. Miała bladą, napiętą twarz i ogromne oczy pod wymiętym czepek. Wstała i dygnęła.

– Jestem Kitty, psze pani. Kitty O’Keefe. Podaję do stołu. Miło mi panią poznać.

Elise skinęła poważnie głową i dygnęła.

Mężczyzna, który zgarnął wszystkie pensy, podniósł się ociężale. Był wysoki, tyczkowaty, miał jasnoszare oczy i nos jak dziób okrętu, co nadawało mu pozór godności, na który prawdopodobnie nie zasługiwał.

– Ramsey. William Ramsey. Lokaj. – Ukłonił się. Hm. To był całkiem niezły ukłon. Może gdzie głęboko w środku ukrywał się elegancki lokaj.

– Mary Tamworth – odezwała się kolejna kobieta. Jasne włosy miała niedbale upchnięte pod czepek; była wysoka, koścista, o długich rękach i szczupłych nadgarstkach. Doskonale do sięgania do świec i przycinania knotów, pomyślała cynicznie Elise.

– James Pitt, lokaj. – James Pitt dorównywał wzrostem Ramsayowi i nawet miło było popatrzeć na jego regularne rysy i bystre, ciemne oczy. Chyba miał nawet wszystkie zęby. On także ukłonił się elegancko.

– Doskonale – powiedziała pogodnie Elise, jakby miała do czynienia z grupką ośmioletnich dziewczynek, które można wychować, zapewniając im odpowiednią dozę dyscypliny, zachęty i mnóstwo rzeczy, którymi mogą się zająć.

Wyglądało na to, że ten komplement zaskoczył ich bardziej niż cokolwiek innego. Mary Tamworth patrzyła na nią z lekkim politowaniem. Jakby Elise była niezbyt rozgarniętym dzieckiem, które nie zdążyło pojąć reguł zabawy i z którego wszyscy stroją sobie żarty.

Spojrzała na potężną kobietę.

Przez chwilę mierzyły się wzrokiem.

– Dolly Farmer – mruknęła w końcu ironicznie przez trzymane w zębach cygaro.

To było raczej oświadczenie niż stwierdzenie. Jakby podawała nazwę sławnej bitwy, w którą – jak przypuszczała Elise – przerodzi się ta rozmowa.

Wtedy zaczęła się podnosić z krzesła.

Podnosiła się i podnosiła.

I podnosiła.

Stojąca Dolly była niemal równie wysoka, jak szeroka; miała ręce wielkie jak bochenki i pierś niczym łańcuch górski.

Zmierzyła Elise chłodnym, rozbawionym wzrokiem.

– Jestem praczką i kucharką, pani Fountain.

Wykonała kpiącą parodię dygnięcia.

– I zajmuje się pani trzepaniem dywanów, jak sądzę, pani Farmer. Bardzo nam się to przyda w najbliższych dniach. Zaczynając od dzisiaj.

– Tak pani sądzi, pani Fountain? – W jej głosie słychać było rozbawienie.

– Tak.

Wpatrywała się w nią w milczeniu, aż kobieta zaczęła przestępować z nogi na nogę.

– A zatem, przypuszczam, że nie uświadomiono was, jak należy zajmować się dżentelmenem o pozycji lorda Lavaya, ale możemy to szybko naprawić. Czy dom od dawna stał pusty?

– Nie był pusty, skoro my wszyscy żeśmy w nim byli – rzuciła lakonicznie Dolly.

Kilkoro zachichotało.

– Pusty, to znaczy bez najemcy, takiego jak lord Lavay – wyjaśniła spokojnie Elise. –

Wszyscy jesteście tutaj tylko z jego łaski, a teraz także z mojej.

To ich uciszyło.

Nagle rozległ się przeraźliwy dźwięk dzwonka na służbę.

Elise zerwała się na równe nogi i rozejrzała dookoła.

Pomyślała, że znowu usłyszy chichoty.

Tymczasem wszyscy zamarli.

– Jego Lordowska Mość panią wzywa, pani Fountain – szepnęła Katy O’Keefe. – To pani dzwonek.

I przeżegnała się. Naprawdę.

– Och, doprawdy. Nie idę przecież na wojnę. Jest księciem, ale śmiem przypuszczać, że wkłada spodnie tak samo jak każdy inny mężczyzna, którego widziałam, najpierw na jedną nogę, potem na drugą. Poznałam go i nie widziałam, żeby wystawał z nich ogon z kolcami. I nie można włożyć botfortów, jeśli się ma rozdwojone kopyta.

Zbyt późno zdała sobie sprawę, że zabrzmiało to, jakby obejrzała tył jego spodni – czego nie zrobiła.

Przyglądała się im jednak z przodu dostatecznie długo, by zauważyć, że jego uda wypełniały je bardzo wymownie.

Choć było to krępujące, właśnie ten obraz miała teraz przed oczami.

Dolly Farmer przyglądała się, jakby czytała jej w myślach. Oczy jej błyszczały.

– Mówi w tym swoim żabim języku, kiedy jest wściekły, to znaczy zawsze. Nawet nie mrugnie, kiedy mówi. Cały czas wrzeszczy. Zapytał panią Gordon, czy jest głupia, tak jakby pytał, jaką mamy pogodę – odezwała się Mary. – Obraża. Rani uczucia ludzi.

I rzuca przedmiotami, omal nie dodała Elise ponuro i wyobrazila sobie to jego spojrzenie. Zapewne podobnie patrzył na swoich podwładnych, żeby zmusić ich do powiedzenia prawdy.

– Ja też bym krzyczała, gdyby świece w moim domu nie były przycięte i wymienione, gdyby ogień na kominkach wygasł, a podłogi były brudne. Mówię w kilku językach. Przypuszczam, że będę umiała spełnić życzenia jego lordowskiej mości, niezależnie od tego, jak postanowi je wyrazić. A jego życzenia, moi drodzy, są dla nas rozkazem.

Dzwonek odezwał się znowu, tym razem gwałtowniej.

Tak brzmiałyby, ponad wszelką wątpliwość, jej nerwy, gdyby ludzie mogli je słyszeć.

Odchrząknęła.

– Świetnie. Kiedy wrócę...

– Jeżeli – mruknął ktoś.

– Spodziewam się, że komórka przy kuchni będzie na tyle czysta, albo przynajmniej na najlepszej drodze od czystości, żebyśmy wszyscy mogli jeść tam choćby z podłogi. Podzielę się moim przepisem na mydło...

– My używamy do czyszczenia piasku i tak dalej. – Dolly skrzyżowała ręce na piersi niczym bandolety.

Elise wbiła w nią spojrzenie tak ostre, że Dolly w końcu opuściła wzrok.

– A więc umiecie sprzątać. – Klasnęła w ręce z kpiącym zachwytem.

Dolly zmrużyła oczy i uniosła głowę, patrząc z góry na Elise.

– Podzielę się z wami moim przepisem na mydło – powtórzyła, jakby nikt jej nie przerwał. – Odtąd będziemy używać mydła, piasku użyjemy do czyszczenia kuchni, jeśli nie będziemy mieć dość mydła. Wydaje się, że wszyscy potraficie być dumni z dobrze wykonanej pracy, więc wiem, że nie będę musiała prosić was po raz drugi.

Było to jawne kłamstwo i spore ryzyko, lecz na przykład Kitty najwyraźniej spodobała się taka wersja jej samej – wyprostowała się, uśmiechnęła, uniosła wyżej głowę – i właśnie na to

liczyła Elise. Potrzebowała tylko jednego bardziej podatnego ogniwa w łańcuchu, aby wszystkim pozostałym narzucić swoje wyobrażenie porządku. Nauczyło ją tego doświadczenie z klasami pełnymi dziewczynek.

– Tak jest, pani Fountain – powiedziała Kitty z dygnięciem.

– Kiedy zaś Kitty i Dolly będą sprzątać komórkę, chciałabym, żeby świece w kinkietach w głównym holu zostały przycięte i wymienione. Jest tam ciemno jak w grobie i choć nie musimy być rozrzutni, dom powinien wyglądać przyzwoicie, nie wspominając już o nas wszystkich. To zadanie zostawiam tobie, Mary. James, Ramsey, chciałabym, żebyście rozpalili w głównych pokojach i u mnie, a jeżeli kominki wymagają czyszczenia, zajmijcie się tym. Po powrocie sprawdzę, jak się spisaliście. Jestem pewna, że mnie nie rozczarujecie.

Dolly Farmer powoli wyjęła z ust cygaro i powoli rozgniotła je na spodku, który wyglądał na porcelanę z Sevres. Jak przypuszczała Elise, Dolly wyobrażała sobie, że robi to na jej twarzy.

– Jak pani sobie życzy – warknęła.

– W przyszłości nie chciałbym dzwonić więcej niż raz, pani Fountain – powiedział lord Lavay zamiast powitania. Nie patrzył w jej stronę, więc musiał usłyszeć jej kroki w holu.

A potem się odwrócił.

Powoli.

Zastanawiała się, czy zrobił to celowo. Może przypuszczał, że zwykła, prosta kobieta z klasy służących, taka jak ona, potrzebuje czasu, by przygotować się na wrażenie, jakie wywiera ktoś taki jak on, i był to z jego strony akt wielkoduszności.

Żeby nauczyć się wytrzymywać jego obecność, będzie musiała wykorzystać całą swą tak ciężko wypracowaną odwagę. Jego lordowska mość oddziaływał na nią aż do szpiku kości. To było coś pierwotnego, niepokojące i nieprzyjemne przypomnienie, że jest przede wszystkim kobietą, i to wciąż młodą.

Promienie słońca sączące się przez okno obrysowały złotem kontur jego postaci i wydobyły drobne zmarszczki w kącikach oczy. Musiał często mrużyć oczy, celując ze strzelby lub patrząc przez lunetę; Elise miała nadzieję, że była to luneta. Oceniała, że nie ma jeszcze czterdziestu lat, choć zapewne sporo powyżej trzydziestki – gotowa była się o to założyć.

– Pani Fountain – rzucił ostro. – Czy pani mnie słyszy? Może w dzieciństwie upadła pani na głowę?

Ach. Cóż za szczęście, że jest tak niemiły.

– Przepraszam, milordzie – odparła w miarę spokojnie. – Mam doskonały słuch. Zapoznawałam się ze służbą i wydawałam im polecenia. Przyszłam najszybciej, jak mogłam.

– To dziwaczna zbieranina – powiedział ponuro. – Czają się po kątach. Są niekompetentni. Czasem w kominkach rano się pali, czasem nie. Czasem dostają kawę, czasem nie. Ten pokój... Na meblach zalega warstwa kurzu, kominek jest brudny. – Machnął ręką z mieszaniną desperacji i irytacji, co sprawiło, że wyglądał wyjątkowo francusko. – Ten dom jest przyzwoicie zbudowany, ale nieładny. – W jego ustach zabrzmiało to jak zbrodnia. – Nie jest piękny.

Przy ostatnim słowie w jego głosie zabrzmiała niemal tęsknota. Może raczej znużenie niż tęsknota.

Ciekawe.

Wyczuła, że to nieodpowiedni moment, by mówić mu, że służba gra w karty, pali, pije i je jego ser w kuchni. Głowy służących zatknięte na pikach przed bramą nie poprawią wyglądu tej posiadłości.

A jednocześnie nie mogła zrazić do siebie służby, ponieważ wówczas dom nigdy nie będzie czysty.

– Trzeba nimi pokierować – powiedziała bez zająknięcia.

Uniósł gwałtownie głowę i przyjrzał się jej badawczo. Mogłaby przysiąc, że przez moment dostrzegła na jego twarzy rozbawienie.

– Doprawdy – rzucił obojętnie.

Przyglądała mu się w milczeniu.

Czy zadzwonił tylko po to, żeby ponarzekać? Domyślała się, że wysłuchiwanie go należy do jej obowiązków, bez względu na wszystko.

– Lordzie Lavay, chciałabym wyjaśnić kilka spraw, jeśli idzie o moją funkcję, jeśli pan pozwoli.

– Wyjaśnić? Pani zadaniem jest dbać o to, by dom funkcjonował bez zakłóceń. Chciałbym, żeby był wygodny, a przez „wygodny” rozumiem „na tyle luksusowy, na ile to możliwe w tym zapomnianym zakątku Anglii”. Oczekuję, że służba będzie gotowa, kiedy będę przyjmował gości i urządzał przyjęcia, co, mam nadzieję, będzie się odbywało z wdziękiem i stylem. Nie chcę, żeby zaprzętało moją uwagę szczegółami, o ile nie będzie to absolutnie konieczne. Pani będzie ponosiła odpowiedzialność za działania lub bezczynność służby. Dokona pani tego, mieszcząc się w budżecie, jaki pani przydzielę. I będzie pani prowadziła rachunki.

Wyjął i rzucił w nią – ku jej zaskoczeniu – arkusz papieru.

– Uważam, że budżet jest rozsądny i precyzyjny. Zapewniam panią, że umiem ocenić, ile pszenicy potrzebuje na cały rejs załoga okrętu; z dokładnością co do jednego ziarna. Innymi słowy, będzie pani wypełniać zwyczajne obowiązki gospodyni, pani Fountain. Zatrudniając panią na próbne dwa tygodnie, miałem nadzieję, że te obowiązki są pani dobrze znane.

Powiedział to wszystko z ledwie hamowanym zniecierpliwieniem i protekcyjną nutą, która sprawiła, że Elise znowu miała ochotę go kopnąć. Ale pewnie tylko złamałaby nogę, a on nawet nie zachwiałby się w tych botfortach.

Na szczęście, choć temperament często wpędzał ją w kłopoty, czynił ją też bardziej elokwentną.

I wielkie nieba! Pennyroyal Green wcale nie było zapomniane przez Boga. Wyjątkowo dużo ludzi chodziło do kościoła, odkąd parafię przejął przystojny wielebny Sylvaine.

Mimo że wobec tej kanonady arogancji naprężyły się wszystkie mięśnie jej ciała, udało jej się panować nad głosem.

– Dziękuję. Wyjaśnienia, o które prosiłam, dotyczą służby. Czy do moich obowiązków należy również zatrudnianie i zwalnianie pracowników według własnego uznania?

Spojrzał na nią, unosząc brwi.

– Będzie pani pracować w ramach budżetu, który przygotowałem – powtórzył, jakby nie mogąc zrozumieć, dlaczego musi to wszystko powtarzać. – A jeśli uważa pani, że może spełnić moje oczekiwania z mniej lub bardziej liczną albo inną służbą, mieszcząc się w granicach, które wyznaczyłem... cóż, proszę do woli dziesiątkować szeregi.

To był niemal dowcip. Ale Elise zauważyła, że wargi nieco mu pobladły. Temperament doprowadzi go do śmierci. Może Jego Lordowska Mość kroczył przez świat w wiecznym stanie apopleksji, zdumiony jego niedoskonałością, mając nadzieję, że da mu przykład własną perfekcją – skazany na rozczarowanie.

Pycha idzie przed upadkiem. Zawsze. Elise miała wiele zalet, ale umiała też być przewrotna i uparta, co przyznawali nawet ci, którzy twierdzili, że ją kochają. Nie zamierzała dać się pokonać temu człowiekowi.

– Lordzie Lavay... pański ostatni dom...

– Był na okręcie – rzucił ze zniecierpliwieniem. Innymi słowy, tak jak mówił i robił wszystko. – Wydawało mi się, że to jasne.

– A... a... pański dom przedtem...

Zapadła chwila ciszy. Na tyle długa, że intrygująca.

– Francja – odparł w końcu bezbarwnym głosem. Zabrzmiało to tak, jakby Francja była kochanką, która go zdradziła, więc musiał ją zabić, ale wciąż kochał. – Miałem domy w Paryżu, Prowansji, Wersalu. Moja siostra jest teraz w Paryżu. Moja posiadłość... mój dom znajduje się w Prowansji.

Miałem. To był bolesny czas przeszły. Ona także miała kiedyś dom, w którym była mile widziana, pracę, którą lubiła, ukochanego, któremu sądziła, że może ufać. Rozumiała, co czuł, używając czasu przeszłego.

Wiedziała aż nazbyt dobrze, co spotkało francuskich arystokratów w czasie rewolucji. Majątki zostały skonfiskowane, rozkradzione lub zniszczone. Egzekucja za egzekucją. Powódź śmierci i zniszczenia, przed którą arystokraci uciekali z kraju, jeśli tylko mogli.

Okoliczności, jak powiedział, mają niefortunną tendencję do tego, by się zmieniać.

Czuła, że ten człowiek nie przyjąłby życzliwie jej współczucia. Może wszystkie te wydarzenia odbiły się od niego niczym poduszki wystrzeliwane w mury zamku.

– Odzyskam je – rzucił od niechcenia.

Wtedy to poczuła: lekki dreszcz, jakby jego pewność siebie i siła przesączyły się do jej krwi. Był takim człowiekiem, za którym podwładni byliby gotowi skoczyć w ogień. Nie miała co do tego wątpliwości.

Nikt nie mógł liczyć na to, że bezkarnie wejdzie mu w drogę. Albo rozczaruje go.

Zawsze uważała się za osobę o silnej woli. Ale wobec siły jego charakteru czuła, jakby szła pod silny wiatr. Musiała zebrać całą siłę woli, by w jej głosie nie było słyhać onieśmienia.

– Pomyślałam, że być może jest coś, co mogłabym zrobić, żeby poczuł się pan w tym domu bardziej komfortowo, kiedy pan w nim przebywa...

Uniósł gwałtownie rękę.

– Proszę mnie zaskoczyć, pani Fountain – powiedział to sardonicznie. – Jeśli uda się pani to, co nie udało się innym, będę zaskoczony.

Wbiła sobie paznokcie w dłoń. Policzyła do dziesięciu – szybko, w myślach. Zmusiła się, by wziąć trzy głębokie oddechy, zanim się odezwała.

– Dziękuję panu za zaufanie, lordzie Lavay.

Była dumna z tego, jak łagodnie, wręcz z szacunkiem, zabrzmiały jej słowa. Ponieważ jeszcze nigdy tak bardzo nie chciała powiedzieć czegoś wyraźnie sarkastycznego.

Zmrużył lekko oczy. Zupełnie jakby dokładnie usłyszał wersję, która rozbrzmiała w jej głowie. Ten przeklęty człowiek opanował do perfekcji umiejętność niemrugania. Być może nauczył się tego, patrząc wzdłuż lufy strzelby albo przez lunetę.

A potem westchnął. Pod wpływem westchnienia jego szerokie ramiona poruszyły się w fascynujący sposób pod surdudem.

– Może to będzie pożyteczne, jeśli pomyśli pani o swoich obowiązkach tutaj w ten sposób: pani jest pierwszym oficerem, a ja kapitanem tego sponiewieranego okrętu. Na pani spoczywa obowiązek dbania o ładownie oraz morale i zdrowie załogi.

Była tak zaskoczona i oczarowana tym porównaniem, że uśmiechnęła się.

Wtedy coś zmieniło się w jego wyrazie twarzy. Chłodne wyrachowanie przybrało odcień namysłu, zaskoczenia, niemal zatroskania. Na czole pojawiła się pionowa zmarszczka. I nagle odwrócił się lekko w stronę okna.

Znowu pomyślała o więziennej celi. Co nie miało sensu, ponieważ to on był panem domu i mógł go opuścić, kiedy tylko zechciał.

Mogłaby przysiąc, że właśnie uświadomił sobie, że Elise jest kobietą, i to niekoniecznie

prostą.

Jej próżność mogłaby czuć się polechtana tą myślą, gdyby nie była tak niepokojąca. Może dawkowość swój urok – o ile był nim w ogóle obdarzony – i zaszczycał nim tylko tych, których uznał za godnych, a teraz w duchu wyrzucał sobie, że zmarnował go na nią.

Ale te przebłyśki fantazji, cierpki humor... pomyślała, że czuje się trochę, jakby zerknęła na prawdziwego człowieka zza gęstych, ciernistych zarośli.

Znowu zapadła niezręczna cisza.

– Czy... dzwonił pan w jakimś konkretnym celu, milordzie?

– Tak.

Nie powiedział nic więcej.

Wahała się, niepewna, czy powinna się jeszcze odzywać.

Jego głos zabrzmiał nieco burkliwie, kiedy znowu przemówił; odwrócił lekko głowę.

– Gdyby była pani tak dobra i podniosła pióro, które leży na podłodze przy biurku.

Spojrzała zaskoczona na niego, a następnie na podłogę.

Pióro rzeczywiście leżało na dywanie, do połowy wsunięte pod biurko.

Znowu zerknęła na niego.

I zarumieniła się.

Czy to była demonstracja jego władzy? Wydał jej bezsensowny rozkaz w środku dnia tylko dlatego, że mógł to zrobić? A może chciał zobaczyć, jak muślin sukni opina się na jej pupie, kiedy się pochyla?

Niestety, nie doczekała się żadnej wskazówki. Po prostu czekał.

– Oczywiście, milordzie. – Bo tak powinna odpowiadać na każde jego życzenie.

Czując, że policzki jej płoną, zrobiła dwa kroki w stronę biurka, po czym pochyliła się i uklękła – powoli i z gracją. Pochylając się, zauważyła ten sam pomięty arkusz papieru, który widziała wczoraj, obok innej kartki, na której widniało kilka słów nabazgranych chyba przez kogoś pijanego. Obok leżał kawałek wosku, pieczęć, kałamarz i piasek, pusta butelka po brandy, a także do połowy opróżniona buteleczka laudanum.

Kłęcząc na tyle długo, by zauważyć, że ten dywan także był zakurzony. Boże.

Wstała powoli i położyła pióro na biurku, delikatnie, jakby wkładała pisklę do gniazda.

Zanim się odwróciła, zauważyła, że jedno ze słów nabazgranych na kartce brzmi „Marie-Helene”.

Zanim znowu na niego spojrzała, przybrała nieprzenikniony wyraz twarzy i splotła ręce przed sobą.

– Czy to wszystko, lordzie Lavay?

– Tak – odparł.

Patrzyli na siebie przez całą szerokość (zakurzonego) dywanu.

– Czy życzy pan sobie, żebym napełniła karafkę brandy?

– Nie utrzyma pani długo posady, jeśli będzie mnie pani o wszystko pytać, pani Fountain.

Matko boska.

Czuła, że od wysiłku, jaki wkładała w panowanie nad sobą, zaczynają ją piec czubki uszu. Pewnie wyglądały już jak małe czerwone latarnie, tym bardziej że upięła włosy ciasno przy głowie.

Przyglądał się jej z zainteresowaniem. Zapewne czekał, aż para zacznie jej się wydobywać z uszu.

– Dywany w tym pokoju także wymagają wytrzeźwienia – powiedziała raczej obojętnym tonem.

W tym momencie odwrócił się gwałtownie, chwycił pióro i zakręcił nim między palcami.

Elise była niemal pewna, że odwrócił się, żeby ukryć uśmiech.

– Czy sugeruje pani, że coś jeszcze w tym pokoju wymaga wytrzepania, pani Fountain? – wycedził, przysuwając do siebie kartkę.

Ale kiedy znowu na nią spojrział, z piórem w dłoni, wyraz jego twarzy był całkiem obojętny. Promienie słońca padające przez okno otoczyły jego głowę poświatą, która wyglądała niemal jak korona.

– Może pani odejść – powiedział z irytacją, jakby było to coś, co powinna wiedzieć.

Niemal obawiała się wrócić do kuchni, ale ruszyła holem, teraz przyjemnie oświetlonym. W kinkietach z lustrami paliły się świece o starannie przyciętych knotach. Miałyby znacznie większą satysfakcję, gdyby blask świec nie oświetlał zakurzonych podłóg i brudnych ścian, gdyby twarz nie piekła jej z gniewu, jakby była obdarta ze skóry. Zwolniła i zaczęła iść dostojnie, gdy zdała sobie sprawę, że pędzi jak burza.

Do pewnego stopnia miała nadzieję, że służba nie skończyła sprzątać kuchni, ponieważ chwila ciężkiej pracy niemal cudownie poprawiała jej nastrój. Modliła się, żeby następny dzień był ładny, żeby mogła się zająć trzepaniem dywanów.

Tylko dwie rzeczy powstrzymywały ją przed zniechęceniem go.

Wyraz jego twarzy, kiedy mówił o Francji.

I wyraz twarzy, kiedy mówił „dom”.

Doskonale wiedziała, jak to jest tęsknić za domem i mieć świadomość, że nie można tam wrócić.

Te rzeczy, podobnie jak cienie pod jego oczami, to droga, którą można było do niego dotrzeć.

Taką miała nadzieję.

Och, miała nadzieję.

A może on miał być po prostu kolejną karą za rozkoszne popołudnie w ramionach nieodpowiedzialnego przyszłego prawnika.

Poczuła się jeszcze bardziej zażenowana, kiedy zdała sobie sprawę, że tego ranka włożyła swoją ciemnozieloną wełnianą suknię nie tylko dlatego, że była ciepła. Wiedziała, jak podkreśla jej cerę i kolor oczu. Jakby on miał zwracać uwagę na takie rzeczy.

– Nie pokonasz mnie, Lavay – mruknęła ponuro.

A był to dopiero pierwszy dzień w pracy.

Jack był jej siłą. Pomyślała o Jacku i wzdrygnęła się, jakby strząsała z siebie kolce, którymi ostrzelał ją Lavay.

– Dziękuję ci, Mary – powiedziała ciepło, gdy mijała pokojówkę przycinającą knot kolejnej świecy; Mary skinęła głową i uśmiechnęła się niepewnie.

Elise nabrała otuchy. Umiała oczarowywać. Umiała inspirować. Podbije każdego w tym cholernym domu, łącznie z posępnym lordem Lavayem. Może wszyscy potrzebowali tylko odrobiny docenienia, wsparcia i uczucia.

Im dalej od Lavaya, tym bardziej jej nastrój się poprawiał. Poczuła zapach łągu, zanim jeszcze dotarła do kuchni – a także powiew rzeńskiego powietrza; okna były pootwierane, żeby wszystko szybciej schło.

Pochylone pokojówki skrobały pracowicie – Kate piec, Dolly podłogę, wyciskając szmatę z takim wigorem, z jakim żołnierz mógł ładować proch do armaty. Obie miały wysoko podwinięte rękawy i obie pracowały z zapamiętaniem, piły się i widać było, że robiły to już od jakiegoś czasu, tym bardziej że kuchnia wyglądała zdecydowanie czystiej. Stół był posprzątnany z pozostałości po grze w karty, popiołu z cygar, sprofanowanego spodka z sewrskiej porcelany i skórek od sera, a także wytarty do czysta. Palenisko posypano piaskiem.

– Świetna robota, drogie panie – powiedziała ciepło, swoim najbardziej życzliwym,

zachęcającym głosem nauczycielki.

Kitty zerknęła przez ramię, ale nie przerwała sprzątaniam.

– Dziękuję, pani Fountain. – Posłała jej uśmiech.

Dolly wbiła w nią błyszczące oczy.

– Tak, dziękujemy, pani Fountain – powiedziała słodkim głosem. – Staraliśmy się panią zadowolić.

Może Elise rzeczywiście była aż tak inspirująca.

A może Dolly po prostu z niej kpiła.

Elise westchnęła.

Przynajmniej sprzątały.

I przynajmniej mogła zwolnić Dolly, jeśli będzie to konieczne.

Usiadła przy nieskazitelnie czystym stole, korzystając z wpadających przez okna promieni słońca, i rozłożyła kartkę, którą wręczył jej Lavay.

Nie licząc lekko drżącego pisma – czyżby miał problem z alkoholem? – listy i liczby były niemal dziełem sztuki. Po prostu piękne. Dokładne, precyzyjne i i absolutnie ściśle.

Podobnie jak on sam.

Serce znowu jej się ścisnęło.

Pomyślał o wszystkim – od świec, po ser i kawę, od oleju lnianego po ług, jajka, pszenicę i czernidło do butów. Oraz oczywiście pensje, które były wystarczające, tuż powyżej absolutnego minimum.

Nie przyszło jej do głowy spytać, co chciałby zjeść na kolację, a myśl, że miałyby znowu do niego podejść, wydała się jej odstręczająca. Podobnie jak myśl o wyjściu na słońce, kiedy skóra wciąż jeszcze boli po poprzednim opalaniu.

– Dolly, co lord Lavay jada wieczorem?

– Wszystko, co się przed nim postawi, pani Fountain.

Postanowiła spróbować jeszcze raz.

– Czy wyrażał upodobanie do jakichś szczególnych potraw? Może... ciastka? Groszek w sosie? Kuropatwy? Potrawkę z wołowiny? Stek? Filet z jednorozca?

– Wyrażał się, klnąc, pani Fountain.

– Myślę, że ma bardziej wyszukany smak.

Dolly zamarła.

– Nic nie wiem o smaku... Jego Lordowskiej Mości... pani Fountain. Ale zjada, cokolwiek się przed nim postawi.

Elise spojrzała na nią ostro, mrużąc oczy.

Dolly uniknęła jej spojrzenia. Na jej twarzy pojawił się lekki, chytry uśmieszek.

Czy Dolly zawsze mówiła obelżywie, czy tylko miała taki ton głosu? Może to jakiś regionalny akcent? Może wszyscy z... hm, Dorset, brzmiali obelżywie?

To zaczynało sprawiać wrażenie, jakby wrzucali mu jedzenie do pokoju i uciekali, zupełnie jak zwierzęciu trzymanemu w menażerii.

– Co lubi pić lub jeść rankiem – pytała dalej, czując, że jej cierpliwość zaczyna się wyczerpywać.

– Kawę – odparła gorliwie Kitty, wyraźnie szczęśliwa, że może odpowiedzieć choć na jedno pytanie.

– Czy często przyjmuje gości?

– Hrabia Ardmay – odparła pospiesznie Kitty, pełnym szacunku szeptem. – I hrabina.

Panna Violet Redmond!

Elise omal się nie zakrztusiła.

To oczywiste, że przyjmował hrabiego. Był w końcu księciem z rodu Burbonów. I czyż nie słyszała, że wraz z hrabią Ardmay służył na okręcie jako korsarz?

– I damy też – dodała lakonicznie Dolly.

Powiedziała „damy”?

– Damy? – spytała, mając nadzieję usłyszeć jakieś wyjaśnienie.

– No – odparła Dolly.

Elise nie przypuszczała, żeby w tej części Sussex roiło się od prostytutek, więc może Dolly rzeczywiście, mówiąc to, miała na myśli damy. Zapewne chodziło jej o panią Sneath i jej przyjaciółki, które niewątpliwie opadłyby każdego nowego mieszkańca Pennroyal Greens (a zwłaszcza gburowatego lorda), przynosząc dobrą wolę, miłosierdzie i przetwory.

– A czym karmicie gości?

– Jeśli są ciastka, to dajemy im ciastka.

– Jeśli? Nie powinno być żadnego „jeśli”. Ciastka powinny być zawsze. – Zadaniem gospodyni było zadbanie o to.

– A czy teraz mamy ciastka? – Zdała sobie sprawę, że zaczyna mówić głośniejszym i ostrzej.

– Ciastka i takie inne to sprawa gospodyni, pani Fountain – wyjaśniła Dolly, przeciągając cierpliwie słowa, jakby Elise była beznadziejnie tępa. – Pani zajrzy do spiżarni.

Wstała i pospiesznie poszła tam zajrzeć. Spiżarnia byłaby mocną konkurencją dla spiżarni wujka Sknerusa. Było w niej kilka smętnych ziemniaków, które próbowały się rozmnażać, wypuszczając pędy, nieliczne pomarszczone jabłka, parę worków mąki i zboża, kilka słoików z peklowanym i suszonym mięsem, nieco warzyw, cukier, słoje z przetworami, których liczba była nieproporcjonalnie mała w porównaniu z liczbą ludzi, którzy mieszkali w tym domu, zawinięte w ściereczkę pół kupionego bochenka chleba i napoczęty już krąg sera.

Poczuła cień współczucia dla człowieka, który – na miłość boską – miał prawo oczekiwać nieco więcej. Nie musiał wciąż jeść, jakby żył na statku.

Usiadła i jeszcze raz przyjrzała się liście wydatków, po czym przeprowadziła własne obliczenia.

Nie było tam ani pensa na cokolwiek, co dałoby się uznać za „luksus”. Ale w niektórych domach luksusem było mydło, nie wspominając o lokaju.

Porażka była wpisana w tę listę.

Zupełnie jakby słyszeli jej myśli, lokaje weszli do kuchni, śmiejąc się i żartując.

Obaj wydawali się zaskoczeni jej widokiem. Najwyraźniej na chwilę zapomnieli, że w domu jest nowa gospodyni.

– Gra w karty została trwale odwołana – wyjaśniła uprzejmie.

Przyglądali się jej nieufnie. Zupełnie jakby byli na spacerze, natknęli się nieznanego gatunku ssaka i nie byli pewni, czy ich nie pogryzie.

Musiała przyznać z desperacją, że nie wyglądali na lokajów, choć obaj byli niemal równie wysocy, a lokaje powinni być zbliżonego wzrostu. Ubrania mieli czyste, choć różniły się krojem i kolorem. Elise nie zauważyła ani jednego naderwanego guzika. Nie zobaczyła nawet zagniecia od żelazka na ich fularach.

Co najbardziej zaskakujące, ich buty lśniły.

– Macie pięknie wypolerowane buty – powiedziała ze zdumieniem. – Wasze fulary są białe. – Zupełnie jakby słyszeli wszystkie jej wcześniejsze myśli.

– Mam własny przepis na czernidło. Mój sekret to witriol i biało jaja – oznajmił z dumą Ramsey.

– Ja używam kremu z kamienia winnego i soli do czyszczenia fularów. To rodzinny przepis – wyjaśnił James, jakby podejmując rywalizację. – Nie żeby Jego Wysokość to zauważał

albo się tym przejmował. Redmondowie i Eversea, ich liberie...

Zawiesił tęsknie głos.

– Eleganckie jak diabli – zwrócił się James do Ramseya, a ten przytaknął z zawistnym uznaniem.

Obaj westchnęli ciężko.

– Będziecie o nim mówić „lord Lavay” – poprawiła odruchowo, może nieco zbyt surowym tonem. – A nie „Jego Wysokość”.

Ramsey spojrział na nią zaskoczony.

Hm. A więc nie byli całkiem niewyszkoleni. Byli nawet w jakimś stopniu dumni ze swoich umiejętności. Nieobca była im próżność. Może nawet chcieli być naprawdę przydatni. Poczwała ukłucie współczucia. Ci dwaj przypominali nieco poobijane jabłka pozostawione na wózku handlarza, takie, które kupiłbyś, gdyby nie było cię stać na nic lepszego. Takie, z których można zrobić...

– Tarta z jabłkami! – powiedziała nagle.

Umiała robić wyśmienitą tartę z jabłkami. Taką, która usidli każdego mężczyznę. A produktów w spiżarni, zanim zrobi zakupy, wystarczy na tuzin tart.

Ramsey wyglądał na dotkniętego.

– Nie ma potrzeby ubliżać, pani Fountain.

– Nie wy. Ja tylko... nieważne. Czy bylibyście tak mili i powiedzieli mi, czy któryś z was ma kręgosłup? Widzicie, trudno to ocenić, kiedy tak się garbicie. Widzę, że obaj macie imponujące ramiona, więc okażcie trochę dumy i wyprostujcie je, proszę.

Kto by pomyślał, że drażliwość lorda Lavaya jest zaraźliwa.

I skuteczna. Obaj, najwyraźniej zaskoczeni i mile polectani tym poleceniem, wydanym przez ich nowego dowódcę z tak niespodziewaną irytacją, zrobili, co im kazała.

Zmrużyła oczy i spróbowała wyobrazić sobie ich obu w liberiach. Jeśli Lavay chce żyć pięknie, ta niewydarzona dwójka nie może obsługiwać go przy posiłkach, przyjmować gości ani – jak to uroczo ujął – czaić się po kątach. A kiedy wyobraziła sobie, jak szczęśliwi będą w nowych liberiach, rozpromieniła się.

– A gdzie byliście przed chwilą? – spytała.

– Lordowska Mość ma gości. Wpuszczaliśmy ich do środka.

Zerwała się na równe nogi.

– Kto? – pisnęła. – Nie słyszałam dzwonka!

– Hrabia i hrabina Ardmay. – Obaj równocześnie wzruszyli ramionami.

I właśnie wtedy dzwonek dla służby zaczął dzwięczeć i podskakiwać.

Przypomniała sobie, że teraz jest służącą, którą można przywołać dzwonkiem, i poczuła ucisk w żołądku.

Wszyscy zamarli i spojrzeli na nią.

Panowała zupełna cisza.

– Zwykle piją herbatę darjeeling, pani Fountain – szepnęła ze współczuciem Kitty.

Jakby wiedziała, że Elise jest skończona, i już za nią tęskniła.

Philippe przyjmował gości, hrabiego i hrabinę Ardmay, w jednym z salonów, w którym na kominku, dziwnym trafem, płonął wesoły ogień.

Wpatrywał się w niego, kompletnie zaskoczony, bojąc się mieć nadzieję. To może być zupełnie przypadkowy ogień. Od czasu do czasu ogień sam się rozpała. A może nierobienie niczego w końcu staje się nudne, nawet dla służących.

Odwrócił się do gości, którzy rozsiedli się wygodnie na sofie, jakby robili to już wcześniej dziesiątki razy. Zresztą robili to już dziesiątki razy.

– Jeśli spojrzysz na mnie jeszcze raz z politowaniem, będę musiał kazać cię wyrzucić, lady Ardmay.

Lady Ardmay wcześniej nazywała się Violet Redmond. Zwracał się do niej „lady Ardmay” tylko wtedy, gdy był zirytowany, czyli ostatnio niemal zawsze.

– Komu? Jednemu z tych niezbyt obiecujących lokajów, którzy otworzyli nam drzwi? Doprawdy, Philippe, obaj wyglądają, jakby popełnili jakąś zbrodnię w St. Giles i ukrywali się w twoim domu przed aresztowaniem. Wolałabym, żebyś zamieszkał u nas; moglibyśmy się tobą zaopiekować.

U zadurzonego hrabiego, Violet i ich małej córeczki Ruby?

Wolałby raczej znowu paść ofiarą sześciu bandytów.

Philippe poznał hrabiego Ardmay, kiedy jeszcze był zwykłym kapitanem Asherem Flintem i obaj służyli na okręcie Flinta, „Fortunie”.

– Zadzwoń po herbatę, jeśli macie ochotę – powiedział. – Chcecie się założyć, czy ktokolwiek się pojawi?

– Och, oczywiście. Zapomniałem, że masz nową gospodynię. Tę, którą pomogła ci zatrudnić nasza droga pani Winthrop.

Szarpnął energicznie sznur dzwonka.

– Pani Fountain zapewne jest w swoim pokoju i pakuje kufry, szykując się do ucieczki – rzucił od niechcenia Lavay.

– To nie jest litość, Philippe. To troska. – Violet próbowała wrócić do poprzedniego tematu.

– Co za różnica, hrabino. – Wzruszył ramionami. – Mam się doskonale, jak widzisz.

– Oczywiście – skłamała Violet, wymieniając z mężem spojrzenia, co nie uszło uwagi Philippe’a.

– Ile? – spytał Philippe, mając na myśli zakład.

– Funta.

W ten samą chwilę w drzwiach stanęła zdyszana pani Fountain.

– Tak, lordzie Lavay?

Policzki miała zarumienione, a na skronie opadły jej dwie czarne spirale włosów. Zapewne skorzystały z okazji i wymknęły się, kiedy biegła po schodach. Wyglądało na to, że pani Fountain nie potrafi zapanować nad swoimi włosami bardziej niż nad dumą i temperamentem.

Ale jej wysiłki miały w sobie coś z bohaterstwa.

Nagle wydała mu się bardzo młoda.

Spojrzał w okno, przypuszczając, że być może słońce na chwilę wyjrzało zza chmur.

Ale nie. Wciąż było tak samo szaro i ponuro. Zdziwiony, lekko zmarszczył brwi.

Dziwne, że to uczucie pojawiło się wraz z panią Fountain.

Sięgnął do kieszeni i wzruszając ramionami, podał funtowy banknot hrabiemu, który przyjął go skwapliwie.

Pani Fountain obserwowała tę transakcję z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Proszę uprzejmie przynieść herbatę dla hrabiego i hrabiny, pani Fountain.

– Oczywiście. To będzie dla mnie zaszczyt.

Dygnęła, jakby stała przed samym królem – to było głębokie, pełne gracji dygnięcie, które wydawało się trwać bez końca. Wszyscy patrzyli, jak zniża się i podnosi. Koniec końców, przyjemny widok, jak liść odrywający się od drzewa i opadający powoli na ziemię, pomyślał z rozbawieniem.

– Czy macie ochotę zjeść coś lekkiego? – zwrócił się do Violet i hrabiego.

Pani Fountain zdrętwiała.

Miał przewrotną ochotę zobaczyć, co przyniosłaby na tacy, tym bardziej że wiedział, iż w całym domu nie ma niczego, co nadawałoby się do podania – zwłaszcza hrabiemu i hrabinie.

– Ja nie, dziękuję. Nie możemy zostać długo – odparła Violet.

– Doskonale, natychmiast przyniosę herbatę.

Pani Fountain dygnęła ponownie, tym razem szczęśliwie krótko, i zniknęła równie szybko, jak się pojawiła.

– Przez chwilę wyglądała, jakby się modliła – zauważyła Violet.

– Na moją głowę, na pewno – powiedział Lavay. – Założymy się, czy wróci?

Hrabia uśmiechnął się szeroko.

– Przyda się jeszcze jeden funt. Twierdzę, że wróci.

Poczekali chwilę, aż odgłos kroków pani Fountain zupełnie ucichł w oddali.

– Zdarzają się gorsze nieszczęścia niż małżeństwo, Philippe – powiedziała beztrząsco Violet.

Philippe spojrział na nią ze złością.

– Następnym razem powiem lokajom, żeby nie wpuszczali was do domu.

– Dziękuję, moja droga – odezwał się hrabia. – Nie ma nic gorszego niż mętna pochwała.

Violet tylko się roześmiała i posłała mężowi uśmiech, który zmiękczyłby serce każdego mężczyzny i wzbudził w nim tęsknotę za ciemnym pokojem i miękkim łóżkiem, po czym przyjaźnie poklepała go po udzie. Żaden z nich dwóch w najmniejszym stopniu nie onieśmiała dawnej Violet Redmond. Niegdyś strzeliła do pirata, żeby ratować życie męża. Od tamtej pory byli mniej powściągliwi, gdy rozmawiali przy niej o swoich sprawach.

Ich sprawy zwykle dotyczyły przemocy i pieniędzy.

Philippe zaciskał pięść. Teraz zmusił się, by rozprostować dłoń. Zszyta pospiesznie, jak wszystkie inne rany, blizna bolała, jakby sam diabeł wbił w nią pazury; przez mięśnie przebiegła kaskada skurczy, która zainspirowała go do wymyślenia zupełnie nowych przekleństw tylko po to, żeby jakoś znieść ból.

– Gdyby było ich siedmiu, już byś nie żył, Lavay. I jesteś jedynym, który mógł przeżyć atak sześciu zbirów – powiedział Ardmay. – Oprócz mnie.

Philippe skinął głową. Fałszywa skromność nużyła ich obu. Zbyt wiele przeżyli, razem i osobno.

Wspólnie obaj zdobyli spore fortuny jako korsarze, a powiększyli je, kiedy królewski kaprys wysłał ich z misją tropienia spisków przeciw koronie i polowania na piratów zagrażających bezpieczeństwu i zyskom angielskich kupców, a co za tym idzie, komfortowi i bezpieczeństwu obywateli.

Okazali się tak skuteczni jako korsarze, że korona postanowiła wykorzystać ich wyjątkowe talenty również w innych sytuacjach wymagających strategicznego myślenia, uroku, brutalnej siły, gotowości zapuszczania się w niebezpieczne miejsca i nadzwyczajnej biegłości w posługiwaniu się bronią. Zadania te obu im przyniosły znaczne zyski.

Philippe'a omal nie doprowadziły do śmierci.

Ale praca sprawiała im satysfakcję. Dla Philippe'a każdy pojmany jeniec, każde skrzyżowanie szabli z przeciwnikiem, każda udaremniiona napaść, zabójstwo lub grabież były sposobem na odegranie się na tych, którzy niemal zniszczyli jego rodzinę.

A oprócz tego przynosiła korzyści.

Jednak nie udało im się postawić przed sądem pirata zwanego Le Chat.

Prawdę mówiąc, nie tyle nie udało im się go pojmać, ile po prostu puścili go wolno.

Powody, dla których tak postąpili, były dość złożone. Każda z osób siedzących w tym

pokoju znała część tajemnicy Le Chata, lecz żadna nie podzieliła się sekretem z pozostałymi.

Philippe miał szczególnie ironiczny, nieco irytujący powód, by cieszyć się, że ów człowiek żyje i jest wolny. W jego kieszeni leżał oderwany kawałek papieru zawierający nieznane nikomu innemu polecenie, zapisane przez człowieka znanego w kręgach kupieckich jako pan Hardesty, który w rzeczywistości był jednak kimś zupełnie innym.

Jeśli sądzisz, że wiesz, jak odplacić mi za ocalenie życia, Lavay, możesz mnie znaleźć tutaj...

Och, ale pieniądze z nagrody za schwytanie Le Chata...

Rozwiązałyby prawie wszystkie problemy.

Jeśli zbyt długo i intensywnie o tym myślał, ogarniała go przemożna chęć rzucenia czymkolwiek, co znajdowało się pod ręką.

Pomyśleć tylko, że niegdyś służył ze swego uroku.

Stos korespondencji rósł z dnia na dzień. A kilka listów było wręcz nagląco pilnych.

– Czy właśnie tak chcesz odzyskać fortunę, Lavay? – dopytywała się Violet. – Będziesz martwy, zanim ci się uda.

– Dziękuję ci za to, jak we mnie wierzysz, Violet – parsknął Philippe.

Lecz był coraz bardziej przekonany, że miała rację.

Uśmiechnęła się, słysząc, że użył jej imienia.

– Pomyśl o ziemskich przyjemnościach, jakie cię ominą, jeśli będziesz martwy. Proszę, pozwól nam zorganizować bal albo przynajmniej spotkanie na twoją cześć.

– Może powinno mi się to spodobać – odparł. – Ale jeszcze nie teraz.

Nie wyobrażał sobie, że mógłby teraz tańczyć; po tylu odniesionych ranach poruszał się z trudem, ale nie miał ochoty przyznawać się do tego. Cóż za ironia, że taniec był równie ważną umiejętnością jak fechtunek. Poruszanie się w eleganckim towarzystwie bywa nie mniej trudne niż walka na szable.

Zapadła chwila niezręcznego milczenia, a Violet jeszcze raz wymieniła spojrzenia z mężem. Odchrząknęła.

– Napisała do mnie lady Prideux. Odwiedzała niedawno akademię panny Endicott, by dopilnować jakichś spraw dotyczących jej młodszej siostry, i niedługo znowu będzie w Londynie, jeśli znajdzie się wystarczający powód.

Niejasno przypominał sobie, że siostra lady Prideux rzeczywiście uczyła się w szacownej akademii panny Endicott, znanej w okolicy jako „szkoła dla krnąbrnych dziewcząt”. Ale ton Violet był zbyt beztroski, co znaczyło, że miała jakiś ukryty motyw.

Uśmiechnął się cierpko.

– Ja też dostałem od niej list.

Z drugiej strony, trudno było się nie uśmiechnąć na myśl o Alexandrze; była nierozzerwalnie związana ze wspomnieniami ze szczęśliwszych czasów. Ich rodziny zbliżyły się, kiedy byli młodszy, i wszyscy zakładali, że pewnego dnia ona i Philippe się pobiorą. Ona wyrosła na pełną życia, piękną i nadzwyczaj pewną siebie kobietę i zawsze bawiła Philippe’a. Jej rodzina nie dorównywała pozycją Burbonom; ich fortuna nie była tak onieśmielająca, posiadłości nie tak rozległe ani władza nie tak groźna.

Dlatego ocalili głowy i majątki w czasie rewolucji.

Burbonowie odzyskali władzę we Francji, a Alexandra już jako mała dziewczynka lubiła władzę i wpływy. A choć Philippe był daleko od tronu, nosił odpowiednie nazwisko.

Jednak jej list był kolejnym, na który nie wiedział, jak odpowiedzieć, i co do tego z każdym dniem nabierał pewności.

Właśnie wtedy w drzwiach pojawiła się pani Fountain z tacą, na której stał imbryk z

herbatą i filiżanki. Wszyscy zamilkli.

Trzymając się prosto jak bezanmaszt, przeszła odległość między drzwiami a stołem, przy którym siedzieli, jakby szła po naprężonej linii.

W zupełnej ciszy słysząc było tylko lekko pobrzękujące filiżanki na tacy.

Ręce jej drżały.

Nagle odczuł dziwną chęć, by delikatnie wziąć od niej tacę. Wcale nie jestem aż taki przerażający.

Jednak przypuszczał, że nie jest to do końca prawda. Z biegiem czasu naprawdę stał się przerażający.

– Dziękuję, pani Fountain – powiedział z powagą, kiedy taca w końcu została bezpiecznie postawiona na stole.

Dygnęła, odwróciła się ostrożnie, jakby wciąż trzymała tacę, i z gracją odeszła.

Złapał się na tym, że stoi nieruchomo, zastanawiając się, czy pani Fountain i tym razem zrobi ten drobny kroczek w drzwiach. Czy nie oprze się pokusie okazania radości z tego, że udało się jej donieść tacę i nie upuścić jej.

Philippe odwrócił się i zobaczył wpatrujących się w niego Violet i hrabiego z wyciągniętą ręką.

Sięgnął do kieszeni i wyjął jeszcze jeden funtowy banknot. Z rozbawieniem zdał sobie sprawę, że ucieszyło go przegranie tego zakładu.

Ledwie zmierzch zabarwił chmury na niebie ciepłymi odcieniami fioletu, Elise wybiegła z domu przez kuchnię i pędem ruszyła w stronę plebanii. Obliczyła, że jeśli będzie pół szła, pół biegła, dotrze tam w dziesięć minut, a jej życie od jakiegoś czasu toczyło się według takich właśnie obliczeń co do minuty. Cudownie było czuć powiew zimnego powietrza na policzkach, które w ciągu jednego dnia rumieniły się i bladły wraz ze zmianami nastroju więcej razy, niż kiedykolwiek mogłaby się spodziewać.

Zastanawiała się, co powiedziałby Lavay, gdyby zobaczył, że biegnie jak szalona, gubiąc z włosów więcej szpilek, niż mogła sobie na to pozwolić, ale nie miała innego wyjścia. Skorzystała z okazji, kiedy lokaj otworzył drzwi szczupłemu, śniademu dżentelmenowi o zimnych oczach i twardych rysach, który nie chciał herbaty ani niczego innego. Przyjął go w wejściu sam Lavay i z typowo uroczym: „Nie chcę, żeby mnie czymkolwiek kłopotano”, zatrzasnął drzwi do gabinetu. Z hukiem.

Za późno, pomyślała bezczelnie. Przypuszczam, że już ma pan kłopoty, lordzie Lavay.

Biegiem minęła wielkiego czarnego konia niedbale uwiązane przy krzakach, jakby jeździec zeskoczył z niego i rzucił wodze na gałęzie. Omal nie skręciła karku oglądając się, gdy wydawało się jej, że zauważyła królewski herb na sakwie przy siodle: była niemal pewna, że kątem oka widziała stojącego lwa i błękitne pole.

Ale nie było czasu, by zgłębiać tę sprawę. Kto wie, co może przyjść do głowy lordowi Lavayowi.

Ona myślała o znacznie bardziej przyziemnych sprawach.

Dzięki Bogu, dzięki Bogu, dzięki Bogu hrabia i hrabina Ardmay nie mieli ochoty na nic do jedzenia. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek czuła się tak niezręcznie, tak przerażona i zażenowana, tak bezradna, nawet pierwszego dnia nauczania w akademii panny Marietty Endicott. Przez cały dzień czuła się jak aktor, któremu przed premierą nie dano scenariusza i wypchnięto na scenę, przed niezyciwy, pijany tłum mający mnóstwo przedmiotów do rzucania. Na szczęście miewała już gorsze dni. Na przykład dzień, w którym poinformowała pannę Endicott, że będzie miała dziecko. Tamten dzień był niewątpliwie wyjątkowy.

Przetrwała go tak jak wszystko inne, polegając na swoim tupecie, dumie, werwie i wychowaniu. Jak na ironię, właśnie te cechy doprowadziły do tego, że została w końcu zwolniona. Zwłaszcza duma.

A on miał tupet zakładać się o nią.

Podjeżdżała, że właśnie o to chodziło, kiedy wręczał funtowy banknot hrabiemu Ardmay, kolejnemu potężnemu mężczyźnie, pod pewnymi względami jeszcze bardziej opornemu i bardziej egzotycznemu niż Lavay, który wydawał się gładki i twardy jak skała wypolerowana przez niezliczone fale czasu i doświadczenia. Jej ojciec zajmował się chorobami i urazami wszystkich arystokratów z Northumberland, lecz Elise nigdy nie widziała takich ludzi jak lord Lavay i hrabia Ardmay.

Zanim wybiegła, poleciła Dolly przyrządzić placek z mięsem z tych składników, które były w spiżarni.

Plebania była prawdziwym wytchnieniem po Posępnym Domu Lavaya: gwarna, ciepła i pełna dzieci – w większości rudowłosego potomstwa siostry pani Sylvaine – z których część,

Elise była tego niemal pewna, trafi do akademii panny Endicott. Zwróciła też uwagę na nieco zaskakujące bukiety kwiatów – we wszystkich możliwych kolorach, bardziej bogate, niż było na to stać wikarego – stojące we wszystkich kątach w wazonach i słojach.

To było coś nowego.

– Dość ekstrawaganckie podejście do dekoracji wnętrz, wielbny Sylvaine.

Parsknął śmiechem, który przeszedł w westchnienie.

– Właśnie pomyślałem, że to wszystko przypomina dżunglę. Myślę, że te pochodzą z tropików. – Wysoki i przystojny wielbny Adam Sylvaine ostrożnie szturchnął palcem najeżoną roślinę w żywych kolorach zachodzącego słońca. – Przysłała je moja kuzynka Olivia, polecając poustawić na grobach przy kościele. Wygląda na to, że do niektórych z jej adoratorów jeszcze nie dotarła nowina o jej zaręczynach. A nawet jeśli dotarła, to i tak wciąż przysyłają egzotyczne kwiaty. Być może Landsdowne będzie musiał zrezygnować.

Elise roześmiała się. Lord Landsdowne był narzeczonym Olivii Eversea. Cały Londyn przypuszczał, że Olivia nigdy się nie zaręczy – w każdym razie od czasu, gdy Lyon Redmond, najstarszy z rodu, dziedzic i brat Violet Redmond, zniknął, zabierając ze sobą jej serce. Nikt nie przypuszczał, że Olivia kiedykolwiek spojrzy na innego mężczyznę.

Nikt nie wziął pod uwagę, jak bardzo zdeterminowany był Landsdowne.

– Przyniosłam tarty jabłkowe, wielbny! – Wydobyła zawiniątko. – Wymienię je na jedno dziecko.

Żona wielbnego, Evie, roześmiała się, po czym zawołała:

– Jack, gdzie ty się podział?

To, co Elise zrobiła dla przyjemności, żona wielbnego, niegdyś osławiona Evie Duggan, robiła dla pieniędzy. Była profesjonalną kurtyzaną, co sytuowało ją wyżej na skali Upadłych Kobiet, o ile taka skala istniała. Różnica jednak polegała na tym, że Evie nigdy nie była szanowaną dziewczyną i nikogo nie rozczarowała, podczas gdy Elise rozczarowała wszystkich.

Teraz jednak Evie była szczęśliwą żoną wikarego Sylvaine'a, który samodzielnie doprowadził do tego, że znowu zapełniły się kościoły w Pennyroyal Green i Greater Sussex; osiągnął to dzięki swojemu urokowi, bezinteresowności, oślemu uporowi i zabójczo przystojnej powierzchowności. Oboje uosabiali życzliwość i akceptację. Byli jednymi z nielicznych osób, które znały prawdę o... sytuacji Elise.

Eve rozejrzała się.

– Jaaack...! Och! Jest... tutaj!

Błyskawica wpadła do pokoju i zarzuciła ramiona wokół talii Elise.

– Mama!

Chwyciła Jacka, podniosła go w górę i uściśniła mocno. Bardzo niedługo już będzie na to za ciężki.

– Witaj, kochanie. Musimy pędzić. Dziękuję za wszystko, wielbny. Czy mogłabym o coś spytać? Obawiam się, że może chodzić o kolejną przysługę...

– Cokolwiek możemy zrobić, pani Fountain. Dobrze pani o tym wie.

– Moja nowa posada... hm, obawiam się nie będę mogła wieczorami przychodzić po Jacka. Trochę za bardzo ryzykuję. Mam tylko pół dnia wolnego w niedzielę. Czy może zna wielbny kogoś, kto byłby tak uprzejmy i mógł odprowadzać Jacka do domu? W zamian za... tarty jabłkowe?

Całe jej życie składało się ze skomplikowanej sieci przysług i uprzejmości, wymiany czasu i umiejętności, wypieków i przetworów, bel materiału i używanych ubrań, ziół, serów i książek, rad i nauk.

– Jestem już dużym chłopcem, mam! Mogę sam wracać do domu!

– Ja się tym zajmę.

W drzwiach stanął brat Eve, Seamus. Przyglądał się Elise z wyrazem twarzy, który wskazywał, że on także nie miałby nic przeciwko temu, by objąć ją mocno w talii.

Miłe w Seamusie było to, że nigdy nie udawał kogoś innego, niż był, a był Uroczym Łobuzem gotowym zrobić wszystko, byle tylko uniknąć uczciwej pracy, a zamiast tego nieco się zabawić.

Niebezpieczne w Seamusie było to, że był przystojny w sposób, który sprawiał, że oglądały się za nim wszystkie kobiety. Rzeczywiście był uroczy: zawsze roześmiany, zawsze gotowy do figli, sprośnych żartów albo bójki; nieco zbyt łatwo się zakochiwał i zbyt chętnie zapominał, że się zakochał, jeśli wpadła mu w oko nowa dziewczyna.

Dlatego w okolicy słynął jako Bezwstydny Duggan.

Wikary wziął się za niego i dbał, by zawsze miał jakieś zajęcie i nie pakował się w kłopoty. Było to jednak trudne i delikatne zadanie, trochę jak próbować utrzymać mydło w zbyt mocno zaciśniętej dłoni.

Dzieci go uwielbiały. Odkąd pojawił się w Pennyroyal Green, niemal wszyscy starsi chłopcy wzbogacili swoje niecenzuralne słownictwo, dowiedzieli się, skąd się biorą dzieci i nauczyli się zawstydzać dziewczynki.

Stał oparty o futrynę kuchennych drzwi, z błyszczącymi zielonymi oczami i przekornym uśmiechem; Elise nie mogła nie odwzajemnić jego uśmiechu. Wszystkie uśmiechy w tym domu działały na nią jak balsam.

Widziała Seamusa z dziećmi jego siostry. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że Jack będzie z nim bezpieczny i że nie nauczy się niczego niestosownego.

– To bardzo miłe z pana strony, panie Duggan. Dziękuję.

– Mogę was odprowadzić nawet teraz, pani Fountain, jeśli pani chce.

– To nie będzie konieczne, Seamus – odezwali się równocześnie wszyscy dorośli.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Ale naprawdę z przyjemnością będę go odprowadzał wieczorami, pani Fountain. To żaden kłopot.

– Dziękuję, panie Duggan. Musimy już pędzić... i chciałabym prosić o jeszcze jedną przysługę, wielobny Sylvaine... Czy nie miałby pan nic przeciwko temu, gdybym... zabrała kilka tych bukietów?

– To pani mnie wyświadczy przysługę, pani Fountain.

Philippe obudził się następnego ranka z lekkim uśmiechem. Miał taki miły, chociaż całkiem przyziemny sen: uniósł głowę na stuknięcie wiaderka z węglem, zobaczył plecy kobiety w białym czepku, usłyszał rozpalanie ognia i poczuł, że ze światem jest wszystko w porządku.

Mniej więcej godzinę później obudził się ponownie, ponieważ w pokoju było nieco zbyt ciepło, a zwykle sypiał bez koszuli.

Uniósł głowę z poduszki i zerknął.

W kominku naprawdę płonął ogień.

A więc to nie był sen. W myślach przyznał punkt pani Fountain. Punkt za to, że zmusiła służących, żeby robili, co do nich należy. Przynajmniej dzisiaj.

Usiadł na łóżku i zamarł, odruchowo sięgając po pistolet, który zawsze trzymał na nocnym stoliku.

Zdawało mu się, że słyszy jakieś szepty za drzwiami.

Od ataku poranki były najtrudniejsze – kończyny nie chciały się zginać, cały był zeszywniały i niekoniecznie w przyjemny sposób. Jednak instynkt przetrwania jakimś cudem wziął górę nad bólem; podkradł się do drzwi i przyłożył do nich ucho.

– Pamiętaj, Mary, on jest tylko mężczyzną. Wkłada spodnie najpierw na jedną, potem na drugą nogę. I najprawdopodobniej nie gryzie.

– W każdym razie może nie mieć wszystkich zębów. Nie jest już taki młody, pani Fountain.

Czy to był tłumiony chichot?

Nie udało mu się usłyszeć, co odpowiedziała pani Fountain.

– Ale kiedy teraz wejdę, on na pewno nie będzie już spał. Kiedy rozpałam ogień, jeszcze się nie obudził.

To była pokojówka Mary. Co za tchórz! – pomyślał niemal z rozbawieniem.

– Dobrze. Tym razem ja to zrobię. Ale odtąd to będzie twoje zadanie.

Sekundę później rozległo się energiczne pukanie do drzwi.

Zdażył wskoczyć do łóżka i naciągnąć na siebie kołdrę.

– Co jest? – spytał ochryple. Po gwałtownym ruchu czuł ból w całym ciele.

Drzwi uchyliły się i weszła pani Fountain.

– Dzień dobry, milordzie. Zostawię tylko tacę i rozsunę... rozsunę...

Zerknął na panią Fountain, która wyglądała bardziej rześko niż ktokolwiek powinien o tej porze dnia – przynajmniej w świetle sączącym się przez zasłony.

Wyglądało jakby zamarała.

Poza tym przyglądała mu się dłużej, niż powinna.

Wydawała się zbyt młoda, by dostać apopleksji, ale kto wie...

– Co to ma być, do diabła? – wychrypiał.

– To? – powtórzyła. Bardzo dokładnie powtórzyła, gdyż jej głos zabrzmiał jak zduszony skrzek.

– Litości, przecież już ustaliliśmy, że nie jest pani głucha. To na tacy.

Usiadł, a kołdra zsunęła się z jego piersi niczym śnieżna lawina.

– Kawaidwietartyjabłkowe – wyrzuciła z siebie, jakby wcześniej coś tamowało te słowa.

– Jabłkowe...

– Postawię tutaj, dobrze? – powiedziała radośnie i obróciła się na pięcie, stając tyłem do niego.

Słyszał, jak taca grzechocze w jej rękach, kiedy szła postawić ją na stoliku w pobliżu.

A potem rozsunęła zasłony.

– Aaaargh! – Strumień światła trafił go prosto w twarz.

Przynajmniej nie padało.

Wyszła tak szybko, że niemal tego nie zauważył, zdecydowanym ruchem zamykając za sobą drzwi.

Elise zatrzymała się, stojąc tyłem do drzwi, ścisnęła ręką gałkę, jakby nie chciała, żeby się wydostał na zewnątrz.

Albo żeby siebie powstrzymać przed wejściem z powrotem.

Przez chwilę patrzyła niewidzącym wzrokiem na Mary, która kręciła się niespokojnie po holu.

A może niezupełnie niewidzącym. Przypuszczała, że długo nie zapomni tego, co przed chwilą zobaczyła.

– Wziął, pani Fountain? – spytała szeptem, jakby próbowały nakarmić stekiem wyjątkowo wybrednego wilka. – Ja mam to zrobić jutro?

Elise pospiesznie zbierała myśli.

– Nie ulega wątpliwości, że rankiem jest trochę gburowaty – odparła powoli, demonstrując udręczoną wielkoduszość. – Może ja powinnam się tym zająć.

Ubieranie się o poranku trwało nadzwyczajnie długo, ponieważ żadna część jego ciała nie zginała się tak, jak powinna, a jeśli próbował przyspieszyć ten proces, w końcu musiał przerywać i klął tak, że aż powietrze gęstniało, zanim mógł podjąć kolejną próbę. Najtrudniejsze było włożenie surduta. Golenie się lewą ręką to zupełnie inna sprawa. Nigdy nie przypuszczał, że będzie musiał zostać w Sussex dłużej niż dwa tygodnie, więc nie myślał o zatrudnieniu pokojowego. Słyszał kiedyś, jak Hercules, humorzasty kucharz na ich statku, opisywał tęsknie żonę jako kogoś, „kto pomaga ci zdejmować buty”.

Wyobraził sobie, że miały to powtórzyć Alexandrze, lady Prideux, swojej potencjalnej małżonce, i niemal usłyszał, jak wybucha śmiechem. Alexandra przywykła do tego, że otacza ją armia służących, spełniających każdą jej zachciankę.

Zacisnął prawą dłoń, która była główną przyczyną jego irytacji i frustracji.

Zatrzymał się w progu gabinetu. Coś bez wątpienia się zmieniło.

Wszedł ostrożnie. Tylko dwa kroki.

A potem ruszył powoli przed siebie, jak we śnie. Kątem oka widział własne odbicia.

Wszystko – każdy cal powierzchni biurka, ramy na ścianach, każdy detal rzeźbionych nóg foteli i sofy, nawet pośladki cherubinów na kominku – zostało odkurzone i wypolerowane. Pokój niemal pulsował, tak był olśniewająco czysty.

Na dywan padał wielki prostokąt słonecznego światła. Zasłony zostały zdjęte i wytrzepane z kurzu, a teraz podwiązano je złotymi sznurami. Były co najmniej o odcień jaśniejsze niż jeszcze wczoraj. Dywany także dokładnie wytrzepano. Brązowe, kremowe i bordowe wzory znowu nabrały blasku. Jego stopy zapadały się w długim włosie, gdy badał otoczenie, pełny nadziei i nieufny jak kot.

Ale z zapachem cytryny, oleju lnianego i palonego drewna mieszał się jeszcze jeden aromat.

Wyjątkowo niepokojąca woń, która sprawiła, że przez chwilę zastanawiał się, czy to wszystko nie jest przypadkiem snem – od chichotów za drzwiami po nienaturalnie rozświetlony pokój. Niekiedy na morzu budził się z uśmiechem na twarzy, niemal czując ten nieuchwytny zapach.

I wtedy zobaczył.

Na kominku stał wazon prawie pękający od lawendy i hiacyntów.

Innymi słowy – kwiatów Prowansji.

Zaskoczony, parsknął śmiechem.

Kolejny punkt dla pani Fountain.

Podszedł i dotknął ich ostrożnie. Były odrobinę przywiedle, jakby ktoś ścisnął je w gorącej dłoni, zanim ułożył starannie w wazonie i ustawił na kominku. A może to płonący ogień przyspieszył ich zagładę.

A jednak były piękne.

Coś w nim się rozluźniło. Jakby z jego niewidzialnego brzemienia ubyla jedna rzecz, wielkości i wagi bukietu z hiacyntów i lawendy.

Obrócił powoli głowę, rozglądając się po pokoju w poszukiwaniu innych drobnych niespodzianek.

Karafka była napełniona brandy i wypolerowana.

I kusząca.

Odwrócił się do niej plecami, jakby była wabiącą go nierządnicą i zadzwonił po panią Fountain.

Pani Fountain wciąż wyglądała niewytłumaczalnie świeżo i rześko – tym bardziej że musiała wstać na długo przed świtem, żeby zmusić całą tę nic niewartą służbę do sprząwania.

– Dzień dobry ponownie, pani Fountain. Chciałbym, żeby odebrała pani moją korespondencję ze sklepu Postlethwaite’a w miasteczku. Dylizans pocztowy powinien już przyjechać.

– Oczywiście, proszę pana. Czy ma pan jakieś szczególne życzenia co do kolacji w tym tygodniu? Dzisiaj będę robiła zakupy.

– Chętnie zjadłbym wołowinę bourgignon, ale zadowolę się jakimkolwiek dającym się rozpoznać mięsem. Może z groszkiem i jakimiś innymi rozpoznawalnymi warzywami. Do tego wino. I chleb. Proszę mnie zaskoczyć, pani Fountain.

– Ten placek z mięsem wczoraj...

– Był jadalny. Wobec braku dobrego kucharza, zdecydowanie wolę proste jedzenie przyzwoicie przyrządzone niż niezdarne próby zrobienia czegoś bardziej skomplikowanego.

– Dziękuję za wyjaśnienia – powiedziała spokojnie. – Poinformuję kucharkę.

Nie dodała „ty nieuprzejmy gnojku” na głos. Ale dało się wyczuć te słowa w powietrzu.

Był niemal rozbawiony.

– I czuję, że muszę się wypowiedzieć na temat tarty jabłkowej – dodał poważnie.

– Tak? – Wyprostowała się i złożyła ręce za plecami jak penitentka.

– Jak pani dobrze wie, uważam, że nie należy kłamać, jeśli nie jest to absolutnie konieczne.

– Powiedział pan to najzupełniej jasno, milordzie.

Zauważył, że wstrzymała oddech.

Nie był sadystą. Miał jednak wycucie dramatyizmu. Dlatego przeciągnął milczenie jeszcze przez jedno lub dwa uderzenia serca.

– To było prawdziwe niebo na talerzu, pani Fountain. Dziękuję.

Jej twarz powoli się rozjaśniła.

Była promienna jak... jak...

Hm, promienna jak meble w tym pokoju.

Czyżby zapomniał o prostej przyjemności czynienia innych szczęśliwymi?

– Bardzo się cieszę, że jest pan zadowolony – powiedziała uroczyście. Ale w jej oczach lśniły wesołe ogniki.

– Chciałbym, żeby moje dni odtąd tak właśnie wyglądały, jeśli nie wstaję przed świtem. Może z wyjątkiem tego ataku światłem. Może stopniowe odsłanianie zasłon byłoby bardziej miłosierne.

– Oczywiście, milordzie.

– To wszystko – powiedział, odwracając się od niej w stronę stosu korespondencji, którym zamierzał się zająć. Najpewniej znowu bez powodzenia.

Kiedy nawet nie drgnęła, spojrzął na nią znowu, unosząc ze zdziwieniem brew.

– Lordzie Lavay – odezwała się niepewnie. – Mam jeszcze jedno pytanie...

Westchnął.

– Muszę jeszcze raz poprosić, żeby oszczędniej gospodarowała pani pytaniami, pani

Fountain, ponieważ moja cierpliwość ma swoje granice.

Kolejna chwila irytującego milczenia.

– Chciałabym ubrać lokajów w liberie.

– Liberie?

– Tak. – Wyprostowała się nieco bardziej, jak drzewo szykujące się stawić opór burzy.

– Liberie – powtórzył bezbarwnym głosem. Jego ton sugerował, że daje jej jeszcze jedną szansę przeproszenia za ciężką obrazę, zanim wyzwie ją na pojedynek.

– Tak.

Znowu zamilkł.

– Następnym razem poprosi pani, żebym zaopatrzył ich w dziwki i alkohol.

– Cóż, raczej nie – odparła.

– Czemu, na miłość boską, mieliby być bardziej ozdobni, niż są? Są użyteczni, to wszystko. Właściwie nawet nie potrzebuję ich obu. Ten dom nie jest arką. Nie wypływamy w rejs, w który musielibyśmy zabrać po parze każdego rodzaju służących.

– Ponieważ ludzie, którzy czerpią dumę ze swej pracy, będą pracować lepiej, a liberie sprawią, że będą dumni z tego, co robią.

Zaczynał tracić cierpliwość.

– Dziękuję, pani Fountain. Nikt nie wie tego lepiej ode mnie. Byłem pierwszym oficerem na „Fortunie”, to ja kompletowałem załogę i Bóg jeden wie, jakie nagrody dostawałem za rzeczy, które kupowałem dla ko...

...chanek”. To było kolejne niewypowiedziane słowo, które zawisło w porannym powietrzu.

Zapadła niekończąca się, krępująca cisza.

Ale impet oburzenia i poczucie misji popchnęły panią Fountain naprzód.

– Tak, milordzie. Właśnie dlatego jestem zdumiona, że potrzebował pan wyjaśnienia co do liberii.

Jego brwi uniosły się ostrzegawczo.

Czuł, że słowa wymknęły się jej przez ciasną siatkę samokontroli.

Ponieważ w ciszy, jaka zapadła, niemal usłyszał jej milczące „do cholery”.

– ...zważywszy, że osoba o pana prestiżu, randze i pochodzeniu powinna być obsługiwana i reprezentowana z elegancją i stylem, podobnie jak pańscy goście – zakończyła zręcznie. – A jeśli zacznie pan od wyposażenia ich w liberie, pomyślą, że mają dla pana znaczenie. Bardzo trudno jest wycenić lojalność, chociaż może zna pan jej cenę. Nie widziałam „lojalności” na pańskiej liście wydatków.

Powinien być wściekły. Niebezpiecznie zbliżała się do niesubordynacji.

Ale niech to, raczej odrobinę ją podziwiał.

I przynajmniej nie było nudno.

Niektóre drzewa przewracają się, nieustannie smagane wiatrem. Inne tylko zapuszczają głębsze, mocniejsze korzenie.

Przypuszczał, że wie, jakim drzewem byłaby pani Fountain.

Posłała mu lekki, skromny uśmiešek.

Westchnął.

– Dobrze. Może pani ozdobić lokajów. Prawdę mówiąc, pani argumenty były tak przekonujące, że teraz życzę sobie, aby pani to zrobiła. Ale nie wyznaczę pani w tym celu dodatkowych funduszy, jeśli po to pani przyszła. Proszę to uznać za sprawdzian swojej pomysłowości.

Obserwował jej twarz, która była bardziej ekspresyjna, niżby sobie tego życzyła, kiedy

dotarło do niej znaczenie tego, co powiedział.

– Dziękuję, lordzie Lavay. Nic nie sprawia mi większej przyjemności niż sprawdzanie mojej pomysłowości.

– Bóg jeden wie, że nie mógłbym spać spokojnie, gdyby nie było pani przyjemnie, pani Fountain – powiedział cicho.

Prawdę mówiąc, to raczej on znajdował w tym perwersyjną przyjemność.

To uczucie trwało jakieś dwadzieścia sekund, po czym zniknęło, kiedy nieopatrznie zerknął na stół z czekającymi na odpowiedź listami: od Marie-Helene, od jego paryskiego prawnika (tego obawiał się chyba najbardziej) i od jego dziadka.

Poczuł, jak jego duszę ogarnia ciemność, jakby zasłoniła ją burzowa chmura.

Zauważyła to spojrzenie i odchrząknęła.

– Jeśli chciałby pan coś rzucić, lordzie Lavay, przyślę Mary, żeby posprzątała pozostałości. Ale czuję się w obowiązku powiedzieć, że to zajmie jej około piętnastu minut, włączając w to poszukiwanie drobnych okruchów, które utkną w dywanie i draperiach, a biorąc pod uwagę jej pensję, będzie to pana kosztowało... – odchyliła głowę do tyłu i zastanowiła się – jednego szylinga i pół pensa.

Patrzył na nią osłupiały.

– Widzę, że zaznajomiła się pani z moim budżetem.

– Jest doprawdy piękny – powiedziała z wszelkimi pozorami szczerości.

– I dość szybko wykonała pani te obliczenia w pamięci.

– Jak powiedziałam przy pierwszej rozmowie, mam bardzo sprawny umysł. Nie przyszłoby mi do głowy kłamać, lordzie Lavay, ponieważ wiem, jak nie lubi pan kłamców – odparła poważnie.

– Och tak, nie lubię – przyznał z równą powagą. – Nie lubię.

Wprawdzie jej twarz zachowała wyraz powagi i szacunku, niczym oblicze zakonnic, lecz oczy ją zdradziły. Ich błysk mógł być wywołany przez promienie słońca padające przez okno, ale Philippe nie urodził się wczoraj i umiał natychmiast rozpoznać szelmowskie poczucie humoru.

Zastanawiał się, jak długo tolerowałby tę rozmowę, gdyby to spojrzenie nie było skierowane na niego.

Przypuszczał, że ta kobieta ma w sobie nieskończony urok. Ale usilnie starała się nad nim zapanować, podobnie jak nad ciasno upiętymi włosami. Omal nie pękła z tego wysiłku.

Prawdę mówiąc, stanowiła całkiem przyjemny dla oka przypadek kontrastów: ciemne oczy, jasna cera, czerwone, pełne usta i cienkie, czarne brwi, niczym znaki interpunkcyjne.

W końcu była nauczycielką.

Widział, że jej suknia została przenicowana; zręcznie, ale na obrzeżu widoczna była delikatna wyblakła linia. Zauważał takie rzeczy. A ponieważ sądził, że zaczyna poznawać swoją gospodynię, miał pewność, że wołałaby, żeby on takich rzeczy nie zauważał. Była dumna.

– Lubię kwiaty – powiedział, niemal łagodnie.

Odwróciła się w ich kierunku, a potem ku niemu, zarumieniona z zadowolenia.

– Bardzo się cieszę, milordzie. Muszę zauważyć, że w swoim doskonałym budżecie nie przewidział pan środków na kwiaty. Ponieważ niewątpliwie kwiatów nie sposób zdobyć, kiedy się pływa po morzu, nie wziął pan ich pod uwagę. Ale czuję się w obowiązku zauważyć, że nie jesteśmy na morzu, ściśle rzecz ujmując.

Był niebezpiecznie blisko rozbawienia tym, jak pomysłowo pani Fountain prowadziła tę – w gruncie rzeczy – epicką walkę o władzę, w najbardziej pokojowy z możliwych sposobów. Właściwie próbowała kpić z niego tak, żeby tego nie zauważył.

Chociaż był niemal pewien, że zdawała sobie sprawę, że zauważył.

– Wiele rzeczy czuje się pani w obowiązku zauważać, pani Fountain – mruknął.

Spojrzała na niego niepewnie.

– Jak zdobyła pani te kwiaty? – Naprawdę go to ciekawiło.

– Dzięki pomysłowości, milordzie.

– Doprawdy, pani Fountain? A zatem nowa posada musi pani dawać dużo radości. Tyle okazji do wykazania się pomysłowością.

Wyobraził sobie, że słyszy, jak obracają się tryby jej bardzo sprawnego umysłu, kiedy szukała właściwej odpowiedzi.

– Moja posada jest wszystkim, o czym marzyłam – powiedziała w końcu.

I to też wydawało się szczere.

Westchnął i dobrze znany ból znowu zaczął wbijać w niego pazury; gwałtownie wciągnął powietrze. Zerknął na karafkę z brandy. Może szklaneczkę? Mimo że dzień dopiero się zaczął.

Nie chciał stać się takim człowiekiem.

– Wyśmienicie. Proszę zdobyć liberie dla lokajów. I jeśli to wszystko, pani Fountain, może pani odejść.

– Dziękuję, lordzie Lavay.

Odprowadził ją wzrokiem. Sposób, w jaki się poruszała, i jej sylwetka – szczupłe ramiona, smukła talia przechodząca w przyjemnie wypukłą pupę, pasek jasnej skóry między przenicowanym (jak przypuszczał) kołnierzykiem jej sukni w gołęzim kolorze – przypominały mu małego ptaszka.

Zatrzymała się i odwróciła nagle, jakby wyczuła, że jego spojrzenie zatrzymało się na chwilę na jej pupie.

Odwrócił wzrok, nie okazując skruchy.

Przez krótką, niezręczną chwilę ich spojrzenia się spotkały.

Odchrząknęła.

– Jeśli mogę spytać...

Westchnął ciężko.

– Wygląda na to, że ma następne pytania – powiedział, teatralnie rozkładając ręce.

– Proszę mi wybaczyć – brnęła, najwyraźniej odporna na jego teatralne gesty. – Jeśli chodzi o lokajów, lordzie Lavay... W jaki kolor chciałby pan ich ubrać?

– Chce pani, żebym wybrał kolor?

– Kolory – poprawiła się po namyśle. – W liczbie mnogiej.

Uniósł rękę, gotów odprawić ją z irytacją.

I zamarł z ręką w powietrzu, kiedy jego wzrok napotkał bukiet lawendy i hiacyntów.

To było to... kwiaty ze szklarni, wymyślna krzywizna nóg fotela, ciężar ozdobnej srebrnej łyżki. Złocony brąz i palisander, marmur z Carrary, sewrska porcelana, dywany z Savonnerie. Piękne przedmioty, symbole pozycji i kształtowanego przez stulecia stylu życia. Niech go diabli, jeśli wszystko, co czyniło go tym, kim był, wszystko, o co walczyli i za co ginęli jego przodkowie, miało przepaść, nawet jeśli zostało im brutalnie odebrane. On do tego nie dopuści.

I nad czym się zastanawiać, skoro zawsze wiedział, czego chce?

– Błękit, pani Fountain. Bogaty, głęboki odcień. Proszę sobie wyobrazić czyste niebo nad Penroyal Green. I może srebrne wykończenia, dla lepszego efektu.

Takie były kolory liberii w jego rodowej posiadłości Les Pierres d'Argent.

Powiedział to niemal ze zniecierpliwieniem. Jakby to była najbardziej oczywista rzecz pod słońcem.

– Błękit i srebro... jak gwiazdy na nocnym niebie – szepnęła, jakby zauroczona jego wizją.

Spodobało mu się, jak na tę myśl rozjaśniła się jej twarz, a oczy stały się rozmarzone. Pomyślcie tylko, kobieta, której łatwo sprawić przyjemność.

– Skoro tak pani to widzi – odparł.

Jej twarz spoważniała, kiedy to do niej dotarło.

– To wyjątkowy kolor, milordzie.

– Ja jestem wyjątkowym człowiekiem. To wszystko, pani Fountain.

Wieczorem Elise usiadła na łóżku obok Jacka.

– Czego nauczyłeś się dzisiaj na plebanii, Jack?

– Kiedy wiem się na linie od dzwonu, nic się nie dzieje. Jestem za lekki. Dlatego Liam musi złapać mnie wtedy za nogi, żeby poruszyć dzwon. A kiedy trzyma mnie za nogi, spadają mi spodnie.

Jak każdy chłopiec w jego wieku, zwykle miał spodnie przypięte do kurtki, więc zapewne będzie musiała przyszyć parę guzików.

– No cóż, przypuszczam, że nauczyłeś się czegoś o fizyce – powiedziała z powątpiewaniem, wyobrażając sobie ich obu wiszących u dzwonu niczym jego ogromne serce.

– Podciągnąłem spodnie.

– Naturalnie.

– Trzeba się odepchnąć nogami, żeby dzwon się poruszył – wyjaśnił z powagą. – Wikary mówił coś o sile i masie, i prędkości. Muszę szybciej rosnąć, mam – poskarżył się. – A, i uczyłem się greki. Mnóstwo prefiksów. „Ab” znaczy od. A „pre” znaczy przeciwko.

Wikary studiował w Oksfordzie i otrzymał solidną klasyczną edukację. Było oczywiste, że nie zamierza oszczędzić tego samego swoim uczniom.

– Cóż, zatem wszystko w porządku, jeśli nauczyłeś się czegoś tak pożytecznego. A to ci się przyda, kochanie, zapamiętaj moje słowa.

– I pani Sylvaine podała ciastka z ziarnami do lunchu. To było „pre” dzwonek. Ale ja byłem „ab” marmolada. Henny upiekła ciastka. Lubię Henny, jest zabawna.

Jack zwykle lubił każdego, kogo uznał za zabawnego.

– Ja też lubię Henny – powiedziała ostrożnie.

Henny była niepokojąco – lub rozbijającą, zależnie od punktu widzenia – rzeczową i energiczną pokojówką, która przybyła do Pennyroyal Green z nową żoną wikarego, była hrabiną, aktorką i kurtyzaną Evie Duggan. Jack prawdopodobnie mógł nauczyć się od Henny równie wielu barwnych słów, co od Liama lub Seamusa.

Skoro już mowa o barwnych słowach: niech to diabli. Nie miała pojęcia, jak poradzić sobie z błękitno-srebrnymi liberiami, które miała zdobyć.

Westchnęła. Panna Marietta Endicott ostrzegła ją przed sięganiem po nieosiągalne, przed pułapkami dumy i brawury. Udawało się jej dokonywać cudów z trudnymi uczniami; odzywała się, kiedy uważała, że powinna. Tak często jej się udawało. Ale kiedy ponosiła porażki, były spektakularne.

– Mamo, poczytasz mi o lwie z cierniem w łapie?

– Hm, a czemu nie mielibyśmy poczytać razem? Umiesz czytać równie dobrze jak ja.

Wzięła bajki Ezopa spośród kilku zaczytanych, ukochanych książek leżących na biurku i podała Jackowi.

Jack zawsze współczuł biednemu zrzędliwemu lwu, który, jak się okazało, był zrzędlawy, ponieważ miał cież w łapie, i podziwiał Androklesa, który miał dość odwagi, by mu pomóc, a potem sam został ocalony przez lwa.

– Chciałbym mieć lwa.
– Trudno byłoby nam znaleźć jedzenie dla niego. Myślę, że najchętniej zjadłby ciebie.

Jack zachichotał.

– Ciebie zjadłby najpierw! Jesteś większa! I wolniejsza.

Zignorowała tę obelgę. Ponieważ właśnie doznała olśnienia.

Ja mam lwa.

Cóż, może to było nie tyle olśnienie, ile coś, co powoli i stopniowo sobie uświadamiała.

Lorda Lavaya dręczył ból.

Bardzo silny ból.

Zapewne właśnie dlatego poruszał się powoli i dlatego zadzwonił po nią, żeby podniosła pióro – pochylanie się było dla niego bolesne. Musiał mieć zranioną prawą dłoń – zauważyła, że był praworęczny – i prawdopodobnie dlatego trudno mu było pisać. Kto wie, jakie jeszcze rany skrywał pod ubraniem? Niezdrowa cera, cienie pod oczami, blade wargi... Jak mogła nie zwrócić na to uwagi? Był zbyt dumny, żeby to okazywać. Oczywiście, nie chciał mieć umysłu zaćmionego laudanum i nawet nie tknął karafki z brandy, ponieważ zapewne nie chciał również być pijany.

Był człowiekiem przywykłym do zachowania kontroli. Nad sobą, życiem i wszystkim wokół niego.

Przypuszczała, że nie dostrzegła tego wcześniej, ponieważ był piękny, fascynujący, przerażający i bardzo, bardzo trudny. Był przedmiotem, z którym należało się odpowiednio obchodzić, piękną rzeczą. Nie osobą.

Poruszyła się niespokojnie, wyobrażając sobie, co musi znosić.

Zawstydzila się samej siebie.

Ale mężczyźni... mężczyźni są tak głupi pod tym względem.

Niech to licho. Odziedziczyła to po swoim ojcu, lekarzu. Nie mogła znieść, kiedy ktoś cierpiał. Nigdy nie stała bezczynnie, gdy mogła coś zrobić, żeby pomóc.

Teraz będzie musiała być dzielna jak Androkles.

– A czego uczy nas ta historia? – pytała zawsze Jacka. Tym razem zadała to pytanie również samej sobie.

– Zawsze powinniśmy pomagać. Nawet groźnym lwom. Zawsze powinniśmy okazywać życzliwość.

– Zawsze powinniśmy pomagać – powtórzyła i uściśnęła go. – Nawet groźnym lwom. I zawsze powinniśmy okazywać życzliwość.

Nawet jeśli okazanie życzliwości przeraża nas. Nawet jeśli okazanie życzliwości nie gwarantuje, że nie zostaniemy pożarci przez lwa.

Oczywiście w przerośni.

Jaki byłby Lavay bez ciernia w łapie?

– Zaśpiewaj piosenkę o lwie, mamo.

– Och, dobrze. Zobaczmy... – Odchyliła głowę i zastanawiała się przez chwilę.

Piosenka za każdym razem brzmiała nieco inaczej.

Był sobie lew i miał obolałą łapę, o!

Jeśli się zbliżysz, ryknie i cię podrapie, o!

Lecz zobacz, kto przyszedł i wyjął mu kolec.

Ten dzielny, co nie bał się polec,

Androkles! On lwu pomógł w biedzie

I lew został jego przyjacielem

A potem ocalił mu życie...

Nie było to jej najlepsze dzieło. Nie mogła znaleźć rymu do „biedzie”. Ale Jackowi już się zamknęły oczy, jego niewiarygodnie długie rzęsy rzucały cienie na policzki, a uśmiech powoli bladł.

Boże, gdyby tylko mogła zasnąć jak dziecko. Natychmiast i zapominając o całym świecie.

– Dobranoc, mamó. Kocham cię, mamó – zamruczał, już na wpół śpiąc.

– Dobranoc, Jack. Kocham cię, Jack.

Poczekwała, aż jego oddech się wyrównał, i pocałowała go w aksamitną skórę czoła.

Oparła się bezwładnie o ścianę – nigdy nie pozwoliłaby, żeby ktokolwiek zobaczył ją w takiej pozycji – i ze znużeniem przesunęła dłońmi po twarzy. A potem westchnęła i parsknęła krótkim śmiechem. Po części z desperacji, po części z rozbawienia.

W niewielkim lustrze na ścianie pokoju Jacka widziała swoje łóżko z odwinętą kołdrą.

A ponieważ nauczyła się znajdować przyjemność we wszystkim, w czym mogła, pozwoliła sobie na chwilę słabości i wyobraziła tam Lavaya, z pościelą zsuwającą się z jego rozgrzanego od snu ciała, ze złociście połyskującym zarostem na podbródku. Nawet w najśmielszych marzeniach nie wyobrażała sobie takiej... niedbałej wspaniałości. Prezentował ją, jakby nie miała żadnych konsekwencji. Jakby była po prostu czymś, co służy jemu, królowi i krajowi. Jakby nie była bronią, która mogłaby pokonywać armie, gdyby były to armie złożone z kobiet.

Palcem w powietrzu, najpierw niepewnie, a po chwili śmielej, nakreśliła kontur jego postaci, jak widziała ją oczami duszy: pochyła krzywizna potężnych ramion, pierś wyrzeźbiona w węzły mięśni... Poczuła, że jej ciało reaguje w sposób, w jaki nie reagowało od bardzo dawna, od czasu, kiedy miało powód, by tak reagować.

Edward niewątpliwie nie wyglądał tak pod ubraniem.

Widziała też różową bliznę na skórze Lavaya i zastanawiała się, jaką część tego pięknego ciała przecina, jak głęboko sięga. Na samą myśl poczuła ucisk w żołądku.

Wciągnęła powietrze w płuca i odetchnęła głęboko.

Życie może nie zawsze było skrzynią najeżoną wewnątrz kolcami, ale nagle ciężar bycia młodą kobietą, pragnienia bycia uważaną za piękną i czarującą, sprawił, że skrzynia wydała się jej trzy razy mniejsza niż zwykle, a ona sama trzy razy większa, a udręka trzy razy bardziej bolesna niż zwykle, ponieważ Lavay był... hm...

– Boże, jeśli to ma być kara za moje grzechy, to muszę ci pogratulować oryginalności.

Lubiła myśleć, że Bóg ma poczucie humoru. Wbrew wszystkiemu.

I chciałaby móc choć przez pięć minut odpocząć od konieczności bycia odważną.

I może jeszcze przez pięć minut móc przytulić się do twardej piersi, usłyszeć miły, głęboki głos – głos, któremu mogłaby całkowicie zaufać – mówiący jej, że wszystko będzie dobrze.

Jack miał swoje marzenia, ona miała swoje.

Wsunęła się pod kołdrę, gotowa zasnąć i śnić właśnie o czymś takim, wyprostowała nogi i natychmiast cofnęła je z jękiem, kiedy natrafiła na coś ostrego.

Uniosła lampę, odgarnęła kołdrę i przyjrzała się uważnie.

Kasztany w łupinach. Najeżone kolcami. Co najmniej pięć.

Z westchnieniem zebrała je z łóżka.

– Na litość – rzuciła ze złością. Zirytowała ją nie tyle sama próba sabotażu, ile to, jak była mało pomysłowa.

Następnego ranka uświadomiła sobie, że dominującym dźwiękiem w jej nowym życiu jest dzwonienie.

Dźwięk kluczy, noszonych na biodrze, który od czasu do czasu zaskakiwał ją, czasami sprawiał, że czuła się jak strażnik w więzieniu, a kiedy indziej jak więzień słyszący nadchodzącego strażnika.

Osobiście obudziła całą służbę o świcie, co wprawdzie nie należało do obowiązków gospodyni, ale postanowiła, że będą jadać posiłki razem. Posłała Mary, by zajęła się ogniem w pokoju Lavaya, po czym zebrała wszystkich na wspólne śniadanie złożone z chleba z masłem i marmolady – oraz pieczonych kasztanów.

Osobiście upiekła je wcześniej i starannie ułożyła w porcelanowej miseczce.

Nie skomentowała ich ani słowem, jeśli nie liczyć „mmm, pyszne”, kiedy nakładała sobie porcję. Spokojnie przyglądała się twarzom: obojętnej, pozbawionej wyrazu Dolly, Kitty ze spuszczonego wzrokiem, Mary zerkającą to na Dolly, to na Elise oraz Ramseya i Jamesa, wciąż zbyt zaspanych, by zwracać na cokolwiek uwagę, i siorbiących tanią czarną herbatę. Trzeba kupić lepszą herbatę.

– Chciałabym, żeby każde z was przeszło przez wszystkie pokoje w domu, robiąc dokładnie to, co zrobiliście w gabinecie księcia. Posprzątajcie, aż będzie olśniewająco czysto. Zaczynajcie od salonu, w którym przyjmuje się gości. I nie zapomnijcie o oknach.

– Trza co najmniej tygodnia, żeby powynosić meble i pozwijać dywany, a... a jak zacnie padać, to nie bedziem mogli trzepać dywanów... – stwierdziła Dolly.

– Będzie trwało dokładnie tyle, ile trzeba. A ja uważnie obejrzę każdy pokój, w którym skończycie, i zadecyduję, czy jest gotowy. Zaczynajcie już teraz, bardzo proszę.

Tak oto jej dzień zaczął się w obiecującym rytmie trzepanych dywanów dobiegającym zza otwartego okna w kuchni.

Potem obudziła Jacka, obmyła mu twarz i zaopatrzonego w dżem, chleb, tartę jabłkową i całusa wysłała na plebanię razem z Liamem i Maggie Plum, która pracowała w pubie Pod Prosiakiem i Ostem. Całe jej życie było skomplikowaną sztafetą.

Wydobyła odpowiednie klucze z dzwiczącego pęku przy pasie i zajęła się sprawdzaniem komód, w których spoczywały obrusy, srebra i porcelana, a także droższe produkty, takie jak cukier.

W jednej komodzie znalazła piękną, delikatną pościel, która od wielokrotnego prania stała się miękka jak masło i przybrała kolor kości słoniowej, choć nieco czuć ją było stęchlizną. Zastanawiała się, czy należała do Lavaya, czy kazał ją sprowadzić.

Pogładziła tkaninę i jakby dotknęła portalu w czasie, przeniosła się do wczorajszego poranka: znowu zobaczyła kołdrę zsuwającą się z potężnego ramienia i senne złocistobrązowe oczy i...

Gwałtownie cofnęła rękę.

Może powinno jej być wolno dotykać tylko zgrzebnego płótna i szorstkich przedmiotów.

Chociaż lord Lavay był nieco jak zgrzebne płótno w ludzkiej postaci, zważywszy, że każde spotkanie z nim oznaczało nowe kary dla Elise. Jeśli zaś chodzi o szorstkie przedmioty, to do głowy przychodziły jej tylko złote refleksy w jego zaroście.

Serce jej się ścisnęło, kiedy pomyślała, co zamierza, i uświadomiła sobie, że raczej nie będzie mogła liczyć na jego wdzięczność.

Wzięła głęboki oddech.

Po prostu wiedziała, że właśnie to powinna zrobić. Może było to jedyne, co można zrobić dla dobra wszystkich w tym domu.

Już wcześniej nastawiła kawę, a po dodaniu kilku płatków rybiego kleju wyjęła porcelanową filiżankę, nasypała do niej odrobinę sproszkowanej kory wierzby i zalała wrzątkiem. Teraz musi się zaparzać przez co najmniej pół godziny.

Pora zająć się srebrami.

Z wysiłkiem uchyliła wieko wielkiego pudła, które zaskrzypiało jak trumna. Właściwie to dobrze, pomyślała. Ten odgłos obudziłby umarłego i udaremnił każdą próbę kradzieży.

Wewnątrz spoczywał olśniewająco prosty zestaw sztućców o uchwytych grawerowanych w filigranowe inicjały i delikatne kwiaty lilii: noże i widelce, łyżki i łyżeczki, chochle, łopatki, nożyce do winogron, szczypcy do szparagów i cukru oraz pół tuzina widelców i szpikulców najróżniejszych kształtów i rozmiarów, których przeznaczenia mogła się tylko domyślać. Pomyślała, że musiały być świadkami niezliczonych sprzeczek, żartów, ciężkiego milczenia i romansów. Uśmiechnęła się do własnych myśli.

Ostatni raz widziała swoich rodziców przy śniadaniu tego dnia, kiedy przekazała im nowinę o Jacku. Ojciec właśnie niósł do ust widelec pełny jajeczniczy, lecz nie trafił i dźgnął się w policzek, rozpryskując dookoła jajeczny szrapnel.

Lecz matka bardzo, bardzo powoli i starannie odłożyła widelec – z zestawu, który służył jej rodzinie, odkąd Elise pamiętała – obok talerza. Zupełnie jakby w ten sposób mogła przywrócić naturalny porządek rzeczy.

Elise wyprostowała ramiona i pokręciła głową, jakby zrzucając brzemię, które dźwigała.

Resztę kolekcji sreber tworzyły ozdobne wazy różnej wielkości, waza do ponczu, kilka czajniczków oraz tace i półmiski. Wszystkie wymagały czyszczenia. Zanim wypolerują ostatnie, trzeba będzie zacząć od początku.

Zaczęła czuć się jak Syzyf.

Elise starannie policzyła i zanotowała wszystkie elementy.

Wyszukała w swoim imponującym pęku kluczy ten, który otwierał komodę z porcelaną. Zwykle, codzienne talerze, spodki i filiżanki stały na półkach w kuchni. Naprawdę piękne rzeczy trzymano pod kluczem.

Otworzyła energicznie drzwi, a wtedy coś małego i miękkiego wypadło i grzmotnęło ją w czoło.

Coś wiszącego na sznurku.

Wrzasnęła i odtrąciła to coś, starając się ze wszystkich sił powstrzymać przed kwileniem jak dziecko. Chwyciła się za serce i odskoczyła o krok.

Kiedy uznała, że nic nie zamierza jej zaatakować, spojrzała.

Martwa mysz przywiązana za ogon do długiego sznurka zaczepionego o futrynę.

Kręciła się i kołysała niczym makabryczne wahadło.

Gdy uświadomiła sobie, co to takiego, wściekła się.

– Na miłość boską. Mogli jej przynajmniej zrobić maleńki stryczek. Wyglądałoby to o wiele bardziej złowieszczo.

Szarpnęła i zerwała sznurek.

– Mam nadzieję, że zesłaś mniej więcej naturalną śmiercią, Pani Myszkko, zanim cię przywiązali do sznura – powiedziała pośpiesznie.

Przeniosła nieboszczkę przez kuchnię i delikatnie położyła na kawałku szmatki, którego

pokojówki używały do sprzątanía. Tak czy inaczej, mysz nie była pożądana w spizarni. Może powinni zatrudnić kota. Jack byłby zachwycony.

Wychowała się na wsi, gdzie domowe koty zostawiały prezenty z martwych myszy w najbardziej zaskakujących miejscach. Nie przepadała za nimi, ale też z pewnością nie było to nic niepokojącego. Jej nauczycielska strona była coraz bardziej wściekła na brak... hm, pomysłowości u służby.

Jak dostali się do zamkniętej komody z porcelaną? Klucze musiały im wpaść w ręce, zanim tu przysła.

A kiedy już jej serce znowu zaczęło bić normalnie, zaczęła oglądać porcelanę.

Część była naprawdę piękna – kilka sztuk delikatnych naczyń z Sevres, w sam raz na niewielkie przyjęcie – ale większość stanowiła najzupełniej przeciętna porcelana. Zastanawiała się, czy cokolwiek z tego należy do Lavaya.

Potem zobaczyła sosjerkę błękitną jak turkus, malowaną w delikatne kwiaty, i nie miała wątpliwości, że to jego własność.

Nagle odezwał się jej dzwonek.

Drgnęła zaskoczona i sosjerka wymknęła się jej z rąk. Rzuciła się jak pantera, by ją złapać, potem przez trzy przerażające sekundy balansowała nią w dłoniach, zanim udało się jej przycisnąć kruche naczynie do piersi, przez co z pewnością będzie żyła o cały rok krócej.

Jak na ironię, dzwonek i mężczyzna na jego drugim końcu spowodowali to, czego nie dokonała mysz na sznurku: Elise omal nie wyskoczyła ze skóry.

Bardzo ostrożnie odłożyła porcelanową łódeczkę na honorowe miejsce w kredensie, po czym starannie zamknęła drzwi, a potem zamknęła też kredens z pościelą.

Zanim zamknęła srebra, zerknęła na swoje odbicie w zgrabnej srebrnej wazie.

Tak, wszystkie włosy były na swoim miejscu.

I całkiem dobrze wyglądała w gołębiej szarości.

Nie żeby to miało znaczenie. Nie żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

Ułożyła na tacy herbatę, tartę i kawę, po czym wyprostowała się, jakby szła do boju.

– Dziękuję, że przysła pani tak szybko, pani Fountain.

– Nie chciałabym, żeby musiał pan dzwonić dwa razy, milordzie.

Zerknął na nią z ukosa.

Wyglądał jak uosobienie niewinności.

Wiedziała, że poczuł ukłucie rozczarowania, kiedy nie przyniosła mu tarty jabłkowej i kawy do sypialni. Był już całkowicie ubrany i przechadzał się po gabinecie.

Ze swojego miejsca widziała dolną stronę jego mocnej szczęki i pasek zarostu, który ominął brzytwą. Wydało jej się ogromnie niesprawiedliwe, że ktoś tak dumny może chodzić nieświadomy, że niedokładnie się ogolił.

Najwyraźniej był praworęczny. Teraz widziała wyraźnie, że chętniej używał prawej ręki i musiał mieć ją niesprawną.

Utwierdziła się w swoim postanowieniu. Ale taca, którą trzymała, była cięższa, niż się spodziewała, a w połączeniu z jej zdenerwowaniem zaczęła niepokojąco grzechotać.

– Chciałem dać pani poprawiony budżet, zanim pójdzie do miasteczka po sprawunki, pani Fountain. Powóz i koń są do pani dyspozycji w tym celu.

Podał jej złożony arkusz papieru.

– Zdążyłam już polubić jego pierwszą wersję, milordzie.

– W takim razie sugeruję, żeby go pani oprawiła w ramki jako pamiątkę. A może wyhaftowała na poduszce.

Roześmiałyby się w innych okolicznościach, gdyby jej nerwy nie były napięte jak struny

skrzypiec, gdyby on był kimś innym, może mniej drażliwym.

– Nie znajdzie pani tu liberii – dodał z wyzywającym błyskiem w oku.

– Oczywiście, milordzie – powiedziała łagodnie.

Zerknął na tacę, którą trzymała.

– Rozpoznaję kawę i tartę jabłkową. A co to jest? – Przyglądał się ponuro parującej filiżance. – Nie prosiłem o to.

– Nie. Nie prosił pan. To... to filiżanka herbaty.

Wielkie nieba, głos jej drżał.

– Nie ująłem pani w testamencie, więc trucie mnie jest raczej pozbawione sensu. Chyba że ktoś inny pani za to zapłacił. A w takim razie możemy negocjować.

Znowu – niemal dowcipnie.

– Moja pensja jest wystarczająca, dziękuję. I znam tuzin sposobów, żeby pana skutecznie otruć, ale ta herbata z kory wierzby nie zabije pana. W każdym razie nie w takiej ilości.

Przyglądał się czerwonobrazowej cieczy. Była nieprzyjemnie podobna do rozwodnionej krwi, przynajmniej w tym oświetleniu.

– Dlaczego przyniosła mi pani coś takiego? – burknął.

Wzięła głęboki oddech i zebrała się na odwagę.

– Działa przeciwbólowo.

Zesztywniał jak pika wbita w ziemię.

A potem przez jego twarz przemknęło coś, co mogło być poczuciem winy, jakby został przyłapany na gorącym uczynku.

I wróciła jego zwykła wyniosłość.

– Nie potrzebuję...

Znowu westchnęła ciężko i ze zniecierpliwieniem, dodając sobie odwagi. To go najwyraźniej zaskoczyło, sądząc z tego, jak uniósł brwi. Postawiła tacę na stoliku, aż wszystko zadźwięczało.

– Jeśli wybaczy pan, że urażę jego próżność, lordzie Lavay, nie spał pan dobrze, i to widać. Ma pan cienie pod oczami. Schyłanie, sprawia panu ból, dlatego dzwoni pan po gospodynię, żeby podniosła pióro. I nie może pan sprawnie pisać prawą ręką, dlatego stos korespondencji zaczyna rosnać. Nie wiem dokładnie, co się panu przydarzyło, ale przypuszczam, że skutki ataku są bardzo bolesne i tak będzie jeszcze przez jakiś czas. O ile nie jest pan z kamienia. Proszę mi wybaczyć śmiałość, ale mój ojciec jest lekarzem. Umieć rozpoznać ból.

Kiedy to mówiła, przez jego twarz przemknęła cudowna kawalkada emocji. Zaskoczenie ustąpiło miejsca oburzeniu, urażona duma także się pokazała, podobnie jak rozbawienie, furia i chłodna pogarda, co źle wróżyło jej przyszłości w tym domu.

Otworzył usta.

Elise szykowała się na coś zjadliwego.

Zamknął usta i przyglądał się jej uważnie. Zupełnie jakby chciał przejrzeć ją na wylot.

Był tak napięty, że nagle wyobraziła sobie, jak musi wyglądać, kiedy szykuje się do ataku, i pomyślała, że niewątpliwie będzie żyła krócej o jeszcze jeden rok.

A potem westchnął.

To zabrzmiało jak kapitulacja.

Coś przypominającego ulgę zaczęło się podkradać i uspokajać jej nerwy.

Jeszcze trochę się trzęsła, przejęta ryzykiem, jakie podjęła, lecz miała nadzieję, że tego po niej nie widać.

– Wbrew pogłoskom i ku mojemu rozczarowaniu rzeczywiście jestem człowiekiem z krwi i kości – przyznał. – A szkoda. – Kącik jego ust lekko się uniósł.

„Ku mojemu rozczarowaniu”. Boże, jak pięknie brzmiały te słowa w jego ustach. Miał bardzo spokojny głos. Śpiewny, niemal rozbawiony. Bez śladu jego zwykłej precyzyjnej arogancji, jakby każde słowo było wyrzeźbione w diamencie. Przypuszczała, że przyznanie się do bólu przyniosło mu ulgę.

– Nie wiem, co pani słyszała, pani Fountain. Ale nie jestem już młody... w każdym razie nie bardzo młody – dodał, uznając własną próżność. – I nie dochodzę już do siebie w dwa lub trzy dni, jak niegdyś. – Strzelił palcami.

– Trudno dochodzić do siebie, kiedy ból nie pozwala panu porządnie się wyspać... ani pochylić. Ani pisać. Albo, jak przypuszczam, jeździć konno. A co z walcem? Albo z opuszczeniem tego... „zapomnianego przez Boga zakątka Sussex”?

Obserwowała go z zainteresowaniem. Widziała, że uważał, że powinien być zły – ale nie był.

– Pani Fountain, nie znajduję żadnych błędów w pani priorytetach.

Przypuszczała, że może się z nią drażnić.

– Naturalnie jest to wyłącznie pańską zasługą, ponieważ to pan posłuchał swojego nieomylnego instynktu, kiedy mnie zatrudniał.

Parsknął.

– Sprytnie, pani Fountain. Problem ze sprytnymi ludźmi polega na tym, że często zakładają, że nikt nie jest tak sprytny jak oni.

To zabrzmiało jak ostrzeżenie. Nie żeby nigdy wcześniej nie słyszała czegoś takiego.

W milczeniu podniosła filiżankę i podała mu.

Zrezygnowany wziął, uniósł do ust i zatrzymał się, zerkając na nią znad krawędzi.

– Jakież ostatnie słowo? – zaryzykowała.

Uśmiechnął się jednym kącikiem ust. Uniósł filiżankę.

– *A votre santé*, pani Fountain.

Pociągnął ostrożny łyk.

Przytrzymał napój w ustach, jakby próbował wino, przełknął i mlasnął.

– Arogancka. Impertynencka. Bezczelna. Z nutą *un je-sais-tout*.

– Zapomniał pan o „nieustraszona”.

– Ach tak. Moje niedopatrzenie, oczywiście. Dziękuję. Na szczęście mogę liczyć, że madame *Je-sais-tout* zwróci mi uwagę.

„*Je-sais-tout*”, czyli wszystkowiedząca. Ale nie było w tych słowach urazy.

Był naprawdę zabawny, w taki cierpki i kolczasty sposób, który dziwnie przypominał jej ją samą.

Uśmiechnęła się do niego niepewnie.

Nie odwzajemnił uśmiechu. Ale spodobało jej się ledwie zauważalne zakłopotanie, z jakim na nią patrzył, gdy uśmiechnęła się, może odrobinę za bardzo. Zupełnie jakby patrzył na coś w oddali przez lunetę, powoli skupiając na tym wzrok, a cokolwiek zobaczył, było nieoczekiwane i niepokojąco przyjemne.

– Czy mam panu zostawić herbatę, lordzie Lavay?

– Może pani zostawić – rzucił ostro, odzyskując swą zwykłą wyniosłość. – Może pani odejść. – Odwrócił się do niej plecami.

Argh. „Może pani odejść”.

Nie potrafiła powiedzieć, czy kiedykolwiek przywyknie do bycia odprawianą tak szorstko. Dźwięczało jej to w uszach, jak echo zatrzaśniętych mocno drzwi. Wychodząc, nieśmiało przesunęła dłonią po oparciu brązowego fotela – na szczęście i dlatego, że aksamit był tak przyjemny w dotyku, a ona starała się chwytać każdą przyjemność, jaką mogła.

Schodząc po schodach, jeszcze raz się zatrzymała, westchnęła z rezygnacją, rozłożyła kartkę z budżetem i szybko ją przejrzała.

W pierwszej chwili wydawało się, że jest taki sam jak poprzedni.

I nagle zauważyła:

„Kwiaty”.

Jeden szyling.

Odrzuciła głowę do tyłu, uśmiechnęła się i podskoczyła triumfalnie.

Philippe dopił herbatę z kory wierzby; smakowała dokładnie tak, jakby lizał drzewo.

Nagrodził się za ten heroiczny akt tartą jabłkową, popił ją kawą, opadł na fotel i czekał na śmierć.

Naprawdę nie sądził, że nowa gospodyni zamierza go otruć. W końcu rekomendowała ją rodzina Redmondów, a on sam doskonale umiał oceniać ludzi.

Ale z drugiej strony...

Dopiero co przekonał się, że śmierć może nadejść w każdej chwili, w dowolnej formie; jego ciotka odeszła w wieku dziewięćdziesięciu lat, w obecności licznie zgromadzonej rodziny, gdy zwała się jak kłoda z jednego z tych brązowych foteli, które najwyraźniej bardzo lubiła pani Fountain. Bywała śmierć okrutna i niezasłużona, na gilotynie, co spotkało jego ojca, brata, kuzynów i przyjaciół. I można było zejść zupełnie niespodziewanie, z rąk grupy bandytów w Londynie. A w takim razie czemu by nie z rąk gospodyni o oczach łagodnych i ciemnych jak serca fiołków – nie, raczej purpurowych orchidei – i uśmiechu, który rozświetlał jej twarz i sprawiał, że chciało się ku niej zwrócić jak ku lampie w ciemnym pokoju albo w stronę kominka w zimny dzień.

Przyszło mu do głowy, że gdyby to ona miała być ostatnią osobą, jaką zobaczy przed spotkaniem ze stwórcą, wcale bardzo by nie narzekał. Ta myśl nieco go rozbawiła.

Pół godziny później wciąż był wśród żywych.

I czuł się wyraźnie lepiej.

Pani Fountain miała rację: ból wbił w niego szpony i wszystko czynił o wiele trudniejszym.

Trzeba było dużej odwagi, żeby wmusić w niego herbatę z kory wierzby.

To było spore ryzyko.

Zmarszczył brwi, zastanawiając się, co właściwie o tym myśli.

Okazała życzliwość.

Życzliwość i odwaga często są jednym i tym samym.

Nie, życzliwość jest delikatniejsza.

Odwrócił się i jeszcze raz spojrzął na stos korespondencji symbolizujący jego przeszłość, terażniejszość i być może przyszłość. Na początek musi napisać do dziadka. On nie był coraz młodszy. Gojąca się rana na dłoni sprawiała, że pisał z trudem, a kiedy próbował pisać lewą ręką, wyglądało to, jakby pisał pijany albo powierzył to zadanie trzylatkowi.

Odetchnął głęboko i poczuł, że to wielkie napięcie, która tkwiło w nim, odkąd przybył do Penroyal Green, zniknęło.

Bo właśnie wymyślił doskonały pretekst, by zadzwonić po panią Fountain.

Zastosowanie dla pani Fountain, poprawił się w myślach.

Doskonale zastosowanie dla pani Fountain.

Pani Fountain właśnie była w kuchni i zasiadała ze służbą do południowego posiłku.

Podeszła do stołu, gdzie Mary kroїła chleb, ser i kurczaka na zimno. Czekał też dzbanek świeżo zaparzonej herbaty, a na stole stały równo proste porcelanowe talerze i spodki.

Elise odsunęła krzesło, żeby usiąść na nim z westchnieniem.

– James i Ramsey, chciałabym, żebyście się zajęli polerowaniem sreber. To praca na kilka

dni, ale...

Dokładnie spod niej wydobył się długi, soczysty, furkoczący dźwięk.

Zamarła.

I palący rumieniec ogarnął jej twarz.

Przecież ona nie mogła z siebie wydać takiego odgłosu. Z drugiej strony, napięte nerwy mogą dać o sobie znać w najróżniejsze sposoby. Tego także nauczyła się od swojego ojca, lekarza.

Spojrzała przez stół na Jamesa i Ramseya, którym oczy zaszczyły łzami i omal nie wyszły z orbit, tak usilnie starali się nie parsknąć śmiechem.

Pokojówki siedziały ze spuszczonym wzrokiem, a ich plecy i ramiona drżały od tłumionego chichotu.

Elise westchnęła, sięgnęła ręką i wydobyła barani pęcherz, który ktoś nadmuchał i włożył pod poduszkę na krześle.

Ostrożnie położyła go na stole.

– Mojemu synowi się to spodoba. Dziękuję. To jego ulubiony odgłos. James, możesz się już roześmiać, zanim oczy ci wyskoczą z orbit.

James wypuścił wstrzymywane powietrze, wydając dźwięk podobny jak barani pęcherz.

– Chciałabym wyjaśnić coś, co pozwoli nam wszystkim zaoszczędzić sporo czasu – zaczęła łagodnie. – Nie boję się pęcherzy, myszy ani kasztanów. Takie wyzwania mnie bawią. Ale niesubordynacja naprawdę mnie złości. Dobrą, ciężką pracą można zasłużyć na moje docenienie i przychylność. Jeżeli nie macie ochoty wykonywać pracy, za którą wam się płaci, możecie złożyć wymówienie. Ale odejdziecie bez referencji. Ja. Się. Nigdzie. Nie. Wybieram.

Jedna z jej uczennic powiedziała kiedyś: „Przyprawia mnie pani o gęsią skórę, pani Fountain, kiedy tak pani patrzy i nie mruga”. Umiała skierować dużą część siły swojej osobowości w spojrzenie i teraz zastosowała ten dar na służących, wpatrując się w każde z nich po kolei, jakby chciała ich przekonać, że jest w stanie zajrzeć w najgłębsze zakątki ich małych, ciemnych, niecznych serc.

Prawdę mówiąc, jej samej serce waliło jak młotem. Gdyby cała służba teraz odeszła, a służący bywają tak kapryśni... sama strzeliłaby sobie w stopę. Nie wyobrażała sobie, że miałyby powiedzieć Lavayowi, że cała służba odeszła niemal w tej samej chwili, gdy ona pojawiła się w domu. Żadnej z poprzednich gospodyń nie udało się przepędzić wszystkich służących równocześnie, niczym szczurołapowi z Hameln.

– Pani Fountain – zaczęła Dolly, nachylając się ku niej, i już unosiła rękę, by położyć swą wielką dłoń na jej ramieniu. Elise wbiła w nią wzrok, aż w końcu kobieta powoli cofnęła rękę i złożyła ją kolanach. – Jego Lordowska Mość będzie tutaj jeszcze jakiś miesiąc. Może pani dorobić do pensji, grając w karty, i nie machnąć nawet palcem. Po co se niszczyć figurę i ręce?

Wszystko to mówiła, jakby powierzała w zaufaniu cenny sekret.

– Żyjemy se tu całkiem dobrze i nie mamy ochoty tego zmieniać. Dobra z nas kompania, co nie?

Dookoła rozległy się potakujące pomruki i skinienia. Najwyraźniej co do tego wszyscy byli zgodni.

– To może będziesz pani dobrą dziewuchą i przyłączysz się do nas? Załóż się, że umiesz być jędzą, jak zechcesz. Było nam tu całkiem dobrze.

Nawet nie musiała dodawać „dopóki się tu nie pojawiłaś”.

– Dolly jest dobra w karty – dodał James. – Wygrywa i wygrywa. Chyba że przegrywa. Ale nie chciałyby jej pani widzieć, kiedy nie ma co palić.

– Lubie swoje małe przyjemności – przyznała. – A niektóre przyjemności kosztujom.

– Czy wszyscy jesteście tego samego zdania? – spytała spokojnie Elise, chociaż serce biło jej jak szalone i starała się gorączkowo zebrać myśli.

Wyglądało, że nikt nie odważy się tego potwierdzić.

– Ponieważ – kontynuowała Elise – szkoda byłoby stracić teraz was wszystkich, zwłaszcza że dopiero co rozmawiałam z lordem Lavayem o zamówieniu liberii dla Jamesa i Ramseya.

James zamarł w połowie smarowania kromki chleba masłem.

– Liberii? – powtórzył cicho. On i Ramsey wymienili znaczące, pełne nadziei spojrzenia.

– O tak. Niedługo będzie wielkie przyjęcie i wielu eleganckich gości, dlatego Jego Lordowska Mość zgodził się, że wy obaj powinniście wyglądać imponująco w liberiach. Postanowiliśmy też, że ciemny błękit będzie najodpowiedniejszy. – Elise skrzyżowała palce pod stołem.

– Zawsze uważałem, że dobrze wyglądam w niebieskim – rozmarzył się Ramsey. Obrócił dzbanek z kawą, oglądając swoje odbicie to z jednej, to z drugiej strony.

– I Jego Lordowska Mość będzie potrzebował pokojowca, a może nawet posłańca, który będzie dostarczał jego listy do miasteczka i do jego przyjaciół w okolicy. Oczywiście o ile któryś z was umie zadbać o garderobę dżentelmena albo jeździć konno.

Improwizowała, ale lokaje poczuli zapach świetności i bardzo im się spodobał. Obaj już zaczęli trzymać się bardziej prosto.

– Umie i to, i to – powiedzieli niemal równocześnie.

– Jeśli to prawda, to będziecie mogli się dzielić obowiązkami. A kiedy lord Lavay – tu spojrzała na Mary i Kitty – wyda bal, wiele dam będzie potrzebowało pomocy w garderobie, a nigdy nie wiadomo, kiedy elegancka dama może potrzebować nowej pokojówki albo gospodyni. Wyobraźcie sobie, że mogłybyście dostawać piękne suknie, wyższe pensje, wyobraźcie sobie przystojnych młodych mężczyzn, których poznacie, podróże, może nawet do Francji! Posady, które macie w tej chwili, oferują mnóstwo możliwości dla ambitnych i mądrych kobiet. Życie lepiej jest traktować jako długą grę. Ale nie grę w karty.

Brzmiało to bardzo mądrze, lecz Elise nie była pewna, czy jej uwierzyły. Ona sama niejedną raz podejmowała ryzyko. Ale udawało się jej utrzymywać kontrolę nad całymi klasami dzięki perswazji i wykładom. Wprawdzie były to klasy pełne dziewczynek w wieku od ośmiu do dwunastu lat, ale pewne aspekty ludzkiego zachowania i potrzeb nigdy tak naprawdę się nie zmieniają. Każdy chce mieć poczucie przynależności. Każdy chce wyznawać jakieś wartości. Każdy chce wiedzieć, na czym stoi.

Nie każdy chce pracować.

Dolly Farmer skrzyżowała ręce na piersiach i patrzyła na Elise z cynicznym rozbawieniem, jakby dokładnie wiedziała, na czym polega jej gra.

Rozległ się dzwonek i Elise chwyciła się za serce.

Na miłość boską, pewnego dnia to się stanie jej drugą naturą.

Nie była pewna, czy czeka na ten dzień z entuzjazmem, czy poczuciem beznadziei.

Była na tyle uczciwa wobec samej siebie, by przyznać, że poczuła ukłucie przyjemnego podniecenia. Wstała i wygładziła dłońmi suknię.

– Oczekuję, że przy wieczornym posiłku powiecie mi, jakie są wasze plany, żebym mogła przekazać wiadomość lordowi Lavayowi. Chciałabym zauważyć, że chętni na wasze miejsca ustawią się w kolejce, biorąc pod uwagę pozycję i... legendę lorda Lavaya. Już w tej chwili przychodzą mi do głowy co najmniej trzy osoby, które byłabym gotowa zatrudnić.

Po tych słowach wbiegła po schodach i zatrzymała się gwałtownie, aby w lustrze kinkietu sprawdzić, w jakim stanie są jej włosy (gładkie, wszystkie bezlitośnie spięte szpilkami).

A potem, kierowana dziwnym impulsem, resztę drogi do gabinetu Lavaya przeszła na palcach.

Przystanęła w holu i zajrzała. Chciała się poczuć, jakby zobaczyła go po raz pierwszy. Zaskoczyć go i zobaczyć, jak wygląda, kiedy nie mówi do niej; czy jego niezwykły splendor nie jest tylko wytworem jej zdenerwowania i czy udałoby się jej powoli do niego przywyknąć.

Był odwrócony plecami.

Niech to.

Mogłaby napisać całą piosenkę o tym, jak jego potężne ramiona wypełniają surdut, a niżej magicznie zwężają się ku smukłej talii. I znalazłaby tyle rymów do „Lavay”. Mogłaby podejść i objąć go w pasie, a moja twarz tak dobrze wpasowałaby się w tę przestrzeń między jego łopatkami, pomyślała. Ciekawe, jak pachnie. Mogę się założyć, że to byłoby trochę jak przyłożyć twarz do granitowej ściany. Cudownej, niebezpiecznej, pachnącej mężczyzną granitowej ściany.

I te myśli niewątpliwie były dobrze widoczne na jej twarzy, kiedy zaskoczył ją, odwracając się tak, jak odwróciłby się każdy normalny człowiek, dość szybko.

Odrobinę za późno postarała się zapanować nad wyrazem twarzy.

Zapadła chwila niezręcznej ciszy.

Jakby on też musiał przystosować się do jej obecności.

– Pani Fountain, zastanawiałem się, czy zechciałaby pani zrobić dla mnie coś, co wykracza poza zakres pani obowiązków gospodyni.

Och... nie. Czy może mu chodzić o...

Przełknęła ślinę.

– Poza zakres... – powtórzyła cicho, rozpatrując w myślach tuzin różnych możliwości, z których każda, dzięki jej bujnej ostatnio wyobraźni, była zdumiewająco niestosowna.

– Zastanawiam się, czy interpretować wyraz pani twarzy jako nadzieję, czy niepokój.

Mówił szeptem. Gdyby to był ktoś inny, mogłaby opisać jego ton jako tłumioną wesołość.

– Może pan ją interpretować jako cierpliwą uległość – odparła spokojnie. A w każdym razie próbowała odpowiedzieć spokojnie. Jej głos był o oktawę wyższy niż zwykle.

Proszę, niech on nie będzie czarujący do tego wszystkiego. Tego bym nie zniosła.

– Gdybym miał panią opisać – rozważał – nie sądzę, żeby „cierpliwa” i „uległa” znalazły się wśród pierwszych przymiotników, jakich bym użył.

Nie była pewna, czy powinna się martwić, czy cieszyć tym, że miał na jej temat jakąś opinię, a nie traktował czysto funkcjonalnie, jak – na przykład – zegar na kominku albo powóz. Jakich użyłby pan słów? Dawna, wygadana, zuchwała, mniej ostrożna Elise, która nie była zatrudniona na próbną dwa tygodnie przez gburowatego arystokratę, mogłaby o to zapytać, ponieważ chciałyby wiedzieć. I byłoby to jak złapanie kogoś za ramię w tańcu, w wyczerpującym, zalotnym tańcu.

Mogłoby też okazać się pułapką.

Ta myśl szybko ją otrzeźwiła.

– Jeśli jestem bardziej zarumieniona niż zwykle, milordzie, to dlatego, że rozpałam w piecu w kuchni, więc jest tam dość gorąco. I biegłam po schodach, bo nie chciałam, żeby musiał pan dzwonić dwa razy.

– Ach, rozumiem. Tarta jabłkowa i uległość. Znowu muszę wyrazić uznanie dla pani priorytetów, pani Fountain.

– Pańskie priorytety są moimi priorytetami.

– Doprawdy.

Zapadła dziwna cisza, w której wręcz dało się wyczuć, że obojgu ta chwila sprawia niemal niestosowną przyjemność.

– Czy czuje się pan może nieco lepiej, lordzie Lavay? – zaryzykowała cicho.

– Rzeczywiście, pani Fountain. Czemu pani pyta? Czy obawia się pani, że zamienię się w jednego z tych narowistych, podszczypujących pokojówki lordów? – spytał bardzo poważnie.

– Nie wiedziałam, że istnieje taka odmiana lordów – odparła jeszcze poważniej. – Ale mam doskonały refleks i jestem, jak pan pamięta, nieustraszona. A więc nie. Nie martwię się.

To tyle jeśli idzie o unikanie flirtowania. Bo niewątpliwie flirtowała z nim. W tańcu, jeśli ktoś wyciąga do ciebie rękę, przyjmujesz ją. Tak nakazuje uprzejmość.

– Ach tak, oczywiście. Nieustraszona. Dziękuję, że mi pani przypomniała, madame *Je-sais-tout*.

Jesteś jedynym, co mnie przeraża. Pod tak wieloma względami.

I zapewne zawsze tak będzie.

Znowu poczuła ów dreszcz ekscytacji, jaki towarzyszy zbliżaniu się do krawędzi czegoś, do czego nie należy się zbliżać. Zapomniała już, jak to jest. Jak mężczyzna może sprawić, że każda chwila jest bardziej intensywna; przypomnieć, do czego służą wzrok i węch, a cóż dopiero skóra i zakończenia nerwowe, i serce. Że mężczyzna tak łatwo może sprawić, że serce zaśpiewa jak słowik albo runie w dół jak kamień.

Ten mężczyzna najprawdopodobniej umie uwodzić samym skinieniem palca.

Jest księciem.

A ona jest gospodynią.

To oczywiście nie ma żadnego znaczenia.

To ją ściągnęło na ziemię.

– Jak panu smakowała herbata z kory wierzby, lordzie Lavay?

– Ohydna. Ale z drugiej strony, na statku jadłem suchary z wołkami zbożowymi, więc wszystko zależy od perspektywy.

– Czuję się w obowiązku zauważyć, że nie przewidział pan w budżecie wydatków na wołki zbożowe.

– Szkoda. Smakują trochę jak gorczyca.

Roześmiała się.

Zamrugał, jakby błysnęła mu czymś w oczy, i przez jego twarz przemknął znowu ów wyraz lekkiego zakłopotania. Odwrócił się gwałtownie i odsunął o krok.

– Miałem nadzieję, że zechce pani pomóc mi odpowiedzieć na niektóre z tych listów. Z powodu rany pisanie jest dla mnie dość bolesnym doświadczeniem – uniósł rękę – a niektóre sprawy nie mogą czekać w nieskończoność. Prawdę mówiąc, niektóre są raczej pilne.

– Oczywiście, z przyjemnością pomogę.

– Może pani pisać po angielsku, jeśli tak będzie szybciej. Moi korespondenci przeczytają bez trudu.

Odsunął lewą ręką tak znajomy brązowy fotel i wskazał jej z lekkim ukłonem. Usiadła, wzdychając cicho.

Ach, brązowy fotelu, mój stary przyjacielu, znowu się spotykamy.

Papier, pióro, atrament i piasek już na nią czekały.

Odwrócił się do okna, które najwyraźniej było dla niego źródłem inspiracji i zadumy.

Drogi dziadku – zaczął.

Zerknął przez ramię, żeby zobaczyć, czy zaczęła pisać.

– Drogi dziadku – powtórzyła sumiennie.

– *Mam nadzieję, że ten list zastanie cię w dobrym zdrowiu. Niezmiennie zdumiewa mnie, jak szybko mogą się rozchodzić wieści i jakimi kanałami. Najszczerzej przepraszam za zwłokę w odpowiedzi. Przykro mi, że cię martwię i dziękuję za twoją troskę. Obawiam się, że jest nieco prawdy w tym, co słyszałeś...*

– Pani Fountain, nadaża pani? – spytał.

– ...prawdy... w tym... co słyszałeś – potwierdziła.

– *...ale żyję i mam się całkiem dobrze w miasteczku zwanym Pennroyal Green w Sussex, gdzie przywiózł mnie mój drogi przyjaciel, hrabia Ardmay, którego miałeś okazję poznać. O ile pamiętam, nazwałeś go „sympatycznym zbirem”. Wrócę do Paryża, kiedy tylko będę mógł bez trudu podróżować. Jeżeli zauważyłeś różnicę w piśmie, to dlatego, że dyktuję ten list asystentce.*

Zapisała szybko i zanurzyła pióro w kałamarzu.

Jeden lok wyzwolił się ze szpilki i opadł na czoło.

Nie powiedział jej o tym.

Zatrzymał się, żeby zerknąć jej przez ramię. Miała piękne, kaligraficzne pismo o niecierpliwych, śmiałych liniach, energicznych szczytach liter i ponętnych pętlach.

Kiedy wdychał powietrze, zauważył, że pani Fountain używa delikatnego kwiatowego mydła, którego zapach niewątpliwie został wyzwolony przez żar z pieca, bieg po schodach i być może ten intrygujący rumieniec przed chwilą.

Zauważył własny cień na kartce papieru.

Zamarła, kiedy się nad nią pochylił.

– Wszystko jest napisane poprawnie. – W jej głosie dało się słyszeć napięcie. – Jeśli tym się pan martwi.

Ile czasu minęło, odkąd był tak blisko kobiety? Najwyraźniej zbyt dużo, co tłumaczyłoby, czemu poczuł niemal gwałtowną falę zmysłowej przyjemności i chęć dotknięcia językiem jasnego paska skóry między kołnierzykiem a włosami. Doświadczenie mówiło mu, że to miejsce jest doskonałym początkiem uwodzenia.

Cofnął się o dwa kroki. Zakręciło mu się lekko w głowie, jakby wstąpił na chwilę do palarni opium.

– Proszę przeczytać, co pani napisała – rzucił.

Odczytała szybko – jak wszystko, co robiła – treść listu.

Mile zaskoczony, uniósł brwi.

– To może się jednak sprawdzić. A więc...

Wziął głęboki oddech. Dziadek będzie chciał wiedzieć o wszystkim.

– *Była ciemna, bezksiężycowa noc, a ich było sześciu, dziadku. Pojawili się jakby znikąd przy Horsleydown Stairs nad Tamizą. Znalazłem się w Londynie na rozkaz króla, który wyznaczył mi to zadanie. Przypuszczam, że chcieli mnie powstrzymać przed zrobieniem tego, za co mi zapłacono, to znaczy przed powstrzymaniem ich przed zrobieniem tego, co chcieli zrobić. Wiem, że przeląłem krew więcej niż jednego z nich. Czulem, jak moje ostrze wbija się w brzuch jednego*

przekłętego kundla, który odczołgał się, żeby gdzieś zdechnąć, podczas gdy ja... Pani Fountain, dlaczego pani nie pisze?

Zamarła w bezruchu. Twarz miała niemal równie białą jak pióro, którym pisała, i patrzyła na niego ze zgrozą.

– Pani Fountain? – spytał niecierpliwie.

– Sz-sześciu?

– Tak. Mój dziadek lubi dramatyczne historie o odważnych czynach – powiedział to z nutą ironii.

Rozpromieniła się.

– Och! Więc tak naprawdę nie było ich sześciu?

– Nie. Jak powiedziałem, było ich sześciu – odparł powoli, jakby mówił do nierozgarniętego dziecka. – Pani Fountain, proszę się skupić.

Rozchyliła lekko usta. Wydobył się z nich cichy jęk.

A potem wybuchnęła.

– Ale... Ale żyje pan.

Uśmiechnął się blado.

– Zaczynam dochodzić do wniosku, że na moim nagrobku powinno być napisane: „Tym razem było ich siedmiu”.

Wpatrywała się w niego, jakby ją zaatakował.

– To miało być zabawne, pani Fountain. Może się pani zaśmiać.

Posłusznie wykrzywiła usta w zupełnie nieprzekonującym uśmiechu.

– Ale... skąd pan wie, że było ich sześciu? Przecież była bezksiężycowa noc? Było ciemno?

– Może pani założyć, że wszystko, co pani dyktuję, jest prawdą.

Prawdę mówiąc, Philippe nie wiedział, jak mu się udało policzyć. Ale nie miał wątpliwości, że było ich sześciu. Kiedy walczył, jego wzrok stał się bardziej wyostrzony, bardziej precyzyjny. Wszystko pamiętał. Błysk każdej twarzy, szczęk broni, odgłosy zadawanych i przyjmowanych ciosów, smród niemytych ciał, chwila, kiedy zdał sobie sprawę, że cios, który właśnie otrzymał, może się okazać śmiertelny. Powinien być śmiertelny. Gdyby którykolwiek z tych ludzi posługiwał się szablą w połowie tak sprawnie jak on, już by nie żył.

A gdyby pewien Redmond nie pojawił się w środku nocy, niczym senny majak, otoczony przez własnych zbirów, Lavay zdechłby jak pies na Horsleydown Stairs.

– Kiedy walczę, mój wzrok czasem staje się... ostrzejszy. Wiem, że było ich sześciu, tak samo, jak wiem, że słońce jutro wzejdzie i że pani zada mi kolejne pytanie, kiedy będę wolał, żeby zostawiono mnie w spokoju, i tak samo, jak wiem, że nie uda się pani zdobyć błękitnych liberii dla lokajów przed końcem miesiąca.

Powiedział to, żeby zobaczyć, jak się prostuje i jak kolory wracają na jej policzki. Zadziałało niemal natychmiast.

– Kiedy pan walczy – powtórzyła, niemal ironicznie. Wciąż mu się przyglądała, jakby chciała się upewnić, że nie jest duchem. – Mówi pan to tak, jak ja mogłabym powiedzieć: „kiedy robię tygodniowe zakupy”.

Ale w jej oczach widział niepokój. To, jak na niego patrzyła, przynosiło mu dziwną ulgę. Jakby na krótką, szczęśliwą chwilę rozciągnął się na puchowym materacu i aż do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jaki był zmęczony. Przypuszczał, że jego życie stało się niepewne i niebezpieczne, a jednak – mimo tego wszystkiego – przyziemne.

– Czy temat listu jest zbyt dużym wyzwaniem dla pani delikatnych nerwów, pani Fountain? – spytał szorstko. – Widzi pani, ta historia jest przeznaczona dla mojego dziadka, który

ma prawie siedemdziesiąt lat i zawsze miał słabość do krwawych opowieści.

– Proszę kontynuować – powiedziała pospiesznie. – Moje nerwy są wykute z żelaza.

Bardzo w to wątpił, ale odetchnął i zebrał myśli.

– *Ale jak wiesz, dziadku, kiedy Lavay ma szansę walczyć ze swoimi wrogami, a nie być szlachtowanym jak prosię w tchórzliwy i niegodny sposób, Lavay zawsze zwycięży.*

Słyszał we własnym głosie szcęk stali, jakby rozmawiał z dziadkiem, który rzeczywiście lubił opowieści o bohaterskich czynach.

– Szlachtowany... jak prosię... – powtórzyła z napięciem pani Fountain, cały czas pisząc.

– *Dziękuję ci za nowiny o Les Pierres d'Argent. Ja także często o nim myślę. Do tego stopnia było częścią mojego dzieciństwa i częścią tego, kim się stałem, że jego strata także jest...*

– zamilkł i odchrząknął – *jak kolejna śmierć. Często budzę się ze snu o nim i uśmiecham się. Ale ponieważ jest jak śmierć, mam nadzieję na zmartwychwstanie.*

– ...jak kolejna śmierć...

– *Gorączka dopadła mnie, kiedy leczyłem rany, i zobaczyłem ojca, który wyglądał dokładnie tak, jak dzień przed aresztowaniem, taki dumny, arogancki i odważny. To dało mi odwagę i zrozumiałem, że muszę przeżyć dla niego, a także dla mamy, dla Marie-Helene i dla...*

– Pani Fountain – rzucił ostro.

Znowu siedziała nieruchomo.

Odchrząknęła, ale nie uniosła głowy.

– Proszę mi wybaczyć, lordzie Lavay. Czy mógłby pan powtórzyć ostatnie zdanie?

– *To dało mi odwagę i zrozumiałem, że muszę przeżyć dla niego, a także dla mamy, dla Marie-Helene i dla ciebie, żeby nikt, kogo kochaliśmy, nie umarł na próżno.*

– ...umarł na próżno – powtórzyła cicho.

Zamilkł. Zawsze trudno mu było pisać do dziadka, ponieważ tyle się zdarzyło, ale nie można było o wszystkim opowiedzieć. Miał tylko nadzieję, że dziadek wystarczająco dobrze zna swojego wnuka.

– *Całuję cię w oba policzki, dziadku, i przesyłam wyrazy miłości. Proszę, nie martw się o swój czynsz; zadbam o fundusze dla ciebie najszybciej, jak to będzie możliwe. Pewnego dnia odzyskamy nasz dom. To trwa bardzo długo, ale niedługo znowu będziemy razem.*

Przestał dyktować.

Przestała pisać.

Zapadła dziwna cisza, jakby wypowiedział zaklęcie, które zamieniło ich oboje w posągi. Philippe wyglądał przez okno w Sussex na spróchniały drewniany płot pastwiska w oddali, ale jeśli przymknął oczy, widział długi, niski mur otaczający ogród domu jego dzieciństwa – Les Pierres d'Argent. Srebrnych Kamieni.

W czasie rewolucji posiadłość została zajęta przez motłoch dyszący żądzą krwi Burbonów i wszystkich, którzy byli z nimi związani. Równie dobrze mogli mu wyrwać rękę. Członkowie jego rodziny – ci, którzy nie zostali pojmani i straceni za ciężką zbrodnię polegającą na tym, że należeli do starej i bogatej rodziny, która może rzeczywiście miała nieco zbyt dużą władzę we Francji – musieli się rozproszyć, zabierając tylko to, co mogli unieść lub przemyścić z Francji. I dopiero teraz powoli wracali do domu. Niektórzy nigdy nie wrócili.

– Podpiszę – powiedział lakonicznie.

Nagle odwrócił się do pani Fountain, w samą porę, by zobaczyć, jak fascynujący wyraz znika z jej twarzy.

Drgnęła zaskoczona.

– Doskonale. Czy chce pan, żebym ja wysłała list, czy pošle pan z nim lokaja? – spytała, przybierając jego dziarski ton.

– Może powinienem przeczytać jeszcze raz; może się okazać, że chciałbym coś jeszcze dodać. Jestem w stanie napisać słowo „Philippe”, nie ośmieszając się. Czy możemy kontynuować?

– Jak pan sobie życzy.

Rozłożyła przed sobą kolejny arkusz papieru.

Jeszcze jeden lok wydostał się na wolność. Ten zauważyła i przywołała do porządku, wsuwając za ucho.

– Czy Pierre d’Argent było pańskim domem?

– Tak – odparł sucho. – Proszę słuchać, pani Fountain.

– *Drogi panie LeGrande. Przepraszam, że tak późno odpowiadam na pański list w sprawie sprzedaży Pierre d’Argent. Wprawdzie nie uszła mojej uwagi ironia konieczności kupienia domu, który został przemocą odebrany mojej rodzinie, a i pan niewątpliwie ją dostrzega, ale rozumiem, dlaczego jest pan zmuszony wystawić go na sprzedaż. To bardzo uprzejme z pańskiej strony, że poinformował mnie o otrzymaniu bardzo atrakcyjnej oferty kupna, i dziękuję panu za to...*

Tu urwał nagle, jakby następne słowo miało sprawić mu fizyczny ból. Odchrząknął.

– *Pokornie...*

Przez chwilę znowu nic nie powiedział.

– Pokornie... – przypomniała ostrożnie.

– Tak, tak – rzucił cierpko.

– *Pokornie proszę pana o cierpliwość, ponieważ spodziewam się, że będę w stanie przedstawić dobrą ofertę, skoro tylko... skoro tylko... moje małżeństwo zostanie oficjalnie zawarte.*

Zamarła.

Pióro równie dobrze mogłoby być pierzasto zakończoną cegłą. Dziwnie nie potrafiła się zmusić do napisania słowa „małżeństwo”.

– Nie – powiedział szybko, odwracając się do niej nagle. – Proszę zakończyć na „dobrą ofertę”.

Opuściła głowę.

– ...ofertę – powtórzyła posłusznie. Znowu poczuła ciepło na policzkach.

Nie odezwał się.

– Czy to wszystko?

– Może jeszcze jeden list, pani Fountain, jeśli jest pani tak dobra.

– Jak pan sobie życzy – odparła cicho.

Jedynym dźwiękiem, jaki dało się słyszeć, był szelest rozwijanego papieru.

– *Najdroższa Marie-Helene. Dziękuję za twój list i mam nadzieję, że miewasz się dobrze. To doprawdy tragiczne, że twoje suknie balowe są niemodne i że wstydzisz się pokazać twarz w eleganckim towarzystwie...*

– ...towarzystwie... – powtórzyła Elise.

– *...tym bardziej że lady Montrose ma cztery nowe suknie, a ponadto strój do konnej jazdy. Powinnaś pamiętać o swoim pochodzeniu, które oznacza, że to TY... – proszę podkreślić to słowo, pani Fountain – jesteś eleganckim towarzystwem i powinnaś się zachowywać stosownie do tego, czyli przyjąć nowy strój do konnej jazdy z uniesioną głową. I...*

Zerknął ponad jej ramieniem na list, na który odpowiadał, i wskazał coś palcem.

– Co to za słowo, pani Fountain? Wygląda, jakby rozmyte gorzkimi łzami.

– „Nieczuły”, jak sędzę – odparła.

– A to?

– „Obojętność”.

– Ach. Tak właśnie myślałam. Kontynuujmy.

– ...*Gdybyś była tak dobra i poinformowała mnie, czy dach przecieka, czy inwentarz ocalał, czy twój koń głoduje, czy macie dość jedzenia na stole i czy służba uciekła, czy też pozostała, byłoby mi znacznie lżej na nieczułym, obojętnym sercu. Z wyrazami miłości, twój brat*

Elise przestała pisać i przechyliła głowę, wyobrażając sobie Marie-Helene, piękną, rozpieszczoną i zrozpaczoną, która będzie czytać ten list, zupełnie nie dostrzegając, że cały jest wielkim sardonicznym arcydziełem.

– Przeczytam jeszcze raz ten list i podpiszę, pani Fountain. Zadzwoń, kiedy będę chciał je wysłać.

– Doskonale.

Posypała kartkę piaskiem, jakby sypała garść ziemi na trumnę. Lavay milczał. Czują, że wpatruje się w nią z napięciem. Może to jej skóra, właściwie całe jej jestestwo stawało się tak wyczulone za każdym razem, gdy spoczywał na niej jego wzrok.

– To wszystko na razie, pani Fountain. Może pani odejść.

Wstała niemal chwiejnie i dygnęła z roztargnieniem, a wtedy ich oczy się spotkały.

Wytrzymała jego spojrzenie.

Twarz miał nieruchomą i obojętną.

Zastanawiała się, czy twarz zdradza jej myśli, ponieważ nie sądziła, by potrafiła je ukryć. Nie była jeszcze wystarczająco długo służącą.

Odprowadził ją wzrokiem i z zaskoczeniem uświadomił sobie, że chciałby złapać ją za łokieć, zanim wyjdzie.

Odwrocił się i spojrzał na trzy listy. O wiele więcej czekało na odpowiedź, ale te trzy przynajmniej na chwilę zatamują strumień pytań, próśb i żądań. Czuł jednak, jak narasta w nim znajome ciśnienie. Czas mijał zbyt szybko. I pieniędzy nigdy nie było dość. Był jak Tantal, nieustannie próbujący złapać coś, co wymykało mu się z rąk.

Sięgnął po list do dziadka, żeby go jeszcze raz przeczytać. Był pewien, że dziadek powie o nim Marie-Helene – i dobrze.

Przyglądając się listowi, zmarszczył lekko brwi.

Niestety, trzeba go będzie jeszcze raz przepisać.

Ponieważ jedno słowo było tak rozmazane, że niemal nie dało się go odczytać.

Najprawdopodobniej kapnęła na nie łza.

Dotknął go kciukiem, bardzo delikatnie, jakby ścierał tę łzę z jej policzka. Papier rzeczywiście był wilgotny.

Przyjrzał się uważniej i zobaczył słowo „dom” zapisane eleganckim pismem pani Fountain.

Elise odruchowo oparła dłoń na balustradzie i dała się jej prowadzić w dół schodów; zeszła powoli, zamiast zbiegać jak zwykle. Dotyk gładkiego drewna pomógł jej ukoić wzburzone emocje.

Wolałyby być raczej zegarem lub powozem, a nie kobietą. Wówczas nie ulegałyby tak łatwo emocjom, podczas gdy chciałyby być jak wykuta z kamienia; może wtedy miałyby dla niego większą wartość niż zegar lub powóz, ponieważ służący powinni być spokojni i obojętni. Och, gdyby mogła stanąć pewnie i przyjąć ze spokojem i na zimno cokolwiek los jej przyniesie – tak jak lord Lavay.

– Może pani odejść – powtórzyła szyderczo, naśladowując surowy baryton. Próbowwała podnieść się na duchu. Nigdy tego nie polubi. Będzie musiała to po prostu znosić cierpliwie.

Tak samo, jak musiała znieść słowo „małżeństwo”. A właściwe dlaczego miałyby to mieć

dla niej jakiegokolwiek znaczenie? W końcu znalazła się tutaj tylko na chwilę. Mężczyźni tacy jak on żenią się dla pieniędzy i dla potomków, a potem płodzą kolejnych takich samych mężczyzn, którzy zatrudniają gospodynie, i tak dalej. Tak już jest na tym świecie.

Pokręciła głową i pociągnęła nosem.

Zwolniła kroku, napawając się jedwabistym dotykiem gładkiego drewna pod dłonią.

To tylko...

Zatrzymała się.

Kiedy wypowiadał słowo „dom”, głos nieznacznie mu się załamał.

To było niczym pęknięcie w jego skorupie, przez które zaczęło się sączyć światło.

Jak bardzo pragnęła zajrzeć pod tę skorupę.

W tym momencie poczuła, że jej serce zaczyna się kruszyć pod jego wpływem.

Zacząła przypuszczać, że „niewzruszony” jest przeciwieństwem „nieczułego”.

Przypomniała sobie wyraz jego twarzy, kiedy podała mu herbatę z wierzbowej kory.

Dzisiaj naprawdę wyglądał, jakby miał poczucie winy z powodu tego, że cierpiał.

Jakby nie miał prawa do cierpienia. Jakby powinien być nieczuły.

Cóż za szczęście, że potrafiła ukoić swe wzburzone emocje, zajmując się pieczeniem jabłkowej tarty.

Pociągnęła nosem i otarła oczy.

Dzięki Bogu on nie widział ani jednej jej łzy. Przynajmniej za to powinna być wdzięczna.

Godzinę później Elise opuściła z satysfakcjonującym stuknięciem wałek i całym ciężarem naparła na ciasto. Zaczernnęła garść mąki i przesyłała ją między palcami niczym magiczny pył, a potem znowu zajęła się energicznym ugniataniem ciasta.

Najpierw skontrolowała poczynania swoich podwładnych i z zadowoleniem stwierdziła, że wszyscy pilnie pracowali, nawet Dolly Farmer. Nie było tak, że nagle poderwali się na jej widok. Przesuwali meble, zamiatali podłogi, polerowali, zwijali dywany i wynosili je na zewnątrz do wytrzepania – wszystko z własnej woli.

Posłała ich, by jeszcze raz wytrzeć dywany w jednym z pokoi, gdy zauważyła plamę kurzu pod nogą fotela. Właściwie plamy prawie nie było widać, ale zdążyła się nauczyć, jak skuteczne jest utrzymywanie służby w stanie czujności. Wskazała pasek kurzu na gzymsie.

– Myślę, że po prostu trochę wyszliście z wprawy – powiedziała słodkim tonem. – W odróżnieniu od innych, którzy będą się starać o wasze posady. Książę z rodu Burbonów nie zniósłby nawet pyłku.

Zapewne nieco kusiła los, ale nie sposób zaprzeczyć, że autorytet lorda Lavaya był bardzo użyteczny. Nie wspominając o tym, że wszechstronny. Mogła szermować jego nazwiskiem we wszelkich okolicznościach. Jako nauczycielka nauczyła się wykorzystywać wszelkie dostępne narzędzia, by skłonić swoje uczennice do zrobienia tego, czego chciała.

Przez deszczowe chmury przebił się do kuchni promień słońca, a wraz z nim spłynęła inspiracja.

Może i nie mogła sobie pozwolić na rzucanie przedmiotami w chwilach irytacji, ale niewątpliwie wolno jej było śpiewać.

*Lepiej na drodze nie stawaj,
Gdy idzie srogi lord Lavay.
Wazę lub filiżankę w ciebie rzuci
Albo cię stratuje i nawet się nie obróci!
Dziesiątki zbirów pokonał z łatwością,
Zaraz to powtórzy z wielką przyjemnością.
Przed nim więc zmykaj zaraz,
Bo cię dopadnie naraz!
Oooo...*

Lepiej nie wchodzić mu w drogę... Au!

Pląsała, wymachując wałkiem, gdy nagle dostrzegła kątem oka, że coś się poruszyło.

I ziemia usunęła jej się spod nóg, gdy zobaczyła, że to on we własnej osobie.

W jednej strasznej chwili całe życie stanęło jej przed oczami.

Zapadła cisza, w powietrzu unosiła się chmura mąki, złowieszczą jak londyński smog. Elise obawiała się, że większość z tego osiadzie jej na włosach.

– Na litość, niechże pani nie zostawia mnie w niepewności. Jak idzie dalej ta piosenka, pani Fountain? – Jego głos zabrzmiał leniwie, niemal jak mruczenie. Z tym słodkim akcentem, który mógł być równie dobrze pieszczotą, jak i groźbą.

Opierał się o futrynę, odcinając jej drogę ucieczki. Ręce miał skrzyżowane na piersi, twarz kamienną i obojętną.

Dalszy ciąg piosenki? Nie była w stanie mówić, a co dopiero śpiewać. Trzymała w górze walek niczym Posejdon trójząb.

– Lordzie Lavay – powiedziała cicho. – Ja...

Ona co?

– Istotnie, tak brzmi moje nazwisko. Znalazła pani do niego wiele zgrabnych rymów.

Rymy rzeczywiście były zgrabne, ale nie zamierzała tego w tej chwili potwierdzać.

Skinęła głową.

Dlaczego skinęła?

Boże, czuła, że policzki jej płoną.

Jego twarz była dziwnie napięta, jakby coś powstrzymywał.

– Proszę odłożyć broń, jeśli łaska, pani Fountain.

– Broń? Oh. – Delikatnie odłożyła walek i aby zrobić cokolwiek z rękoma, splotła je na piersi i spojrzała na Lavaya.

– Jest coś, co mnie niepokoi, pani Fountain – powiedział poważnie, a jej serce zamierało coraz bardziej. – Widzi pani, mam wiele różnych stron. Pani uchwyciła całkiem dobrze moje wojownicze cechy, ale jestem znany również z innych zalet. Na przykład nie użyła pani słowa „szarm”, które tak pięknie rymuje się ze słowem „alarm”.

Zamarła.

I nagle poczuła lekki dreszcz podniecenia.

– Nie wspominając o „strach dla dam” – zaryzykowała. Boże, po prostu nie mogła się powstrzymać.

Przyglądał się jej uważnie, a coś w jego spojrzeniu sprawiło, że poczuła dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa.

– A jestem nim? – spytał jedwabistym głosem.

Boże, ależ oczywiście. Ale nie w taki sposób, w jaki powinien.

Poczuła gorąco na karku.

– Ma pani piękny głos – zauważył niespodziewanie.

Teraz była pewna, że się z nią drażni.

Uśmiechnął się. Powoli, aby w pełni ten uśmiech doceniła, aby zdążył owinąć się jak wąż wokół jej serca i pozbawić tchu. Uśmiechał się szelmowsko, radośnie, wyglądając o dwadzieścia lat młodziej. Jego uroda rozkosznie bolała.

I ten uśmiech był jak błogosławieństwo.

Przyszło jej do głowy, że bardzo niewiele jest rzeczy, których by nie zrobiła, żeby zasłużyć na taki uśmiech.

– Wygląda pan uroczo, kiedy się uśmiecha.

Wielki Boże! Wcale nie chciała powiedzieć tego na głos!

Co gorsza, w jej głosie zabrzmiało niedowierzenie.

Zasłoniła usta dłonią, jakby próbowała wtłoczyć te słowa z powrotem.

Wybuchnął śmiechem.

Właśnie to starał się stłumić. Wybuch śmiechu, wspaniały jak słońce po burzy. Odbijał się echem w kuchni, brzmiał swobodnie i naturalnie. Doszła do wniosku, że właśnie tego było tu trzeba, żeby oczyścić dom i odświeżyć atmosferę. Mnóstwo właśnie takiego śmiechu. Nawet jeśli miałyby to być jej kosztem.

– ...*I nie robiłem tego od czasu dłuższego* – zaśpiewał ciepłym barytonem.

Szczęka jej opadła.

A potem roześmiała się i klasnęła w ręce, wzbijając chmurę mąki. Kasłała i parskała, ale słyszała, że on śmieje się znowu, aż w końcu śmiech przeszedł w pełne szczęścia westchnienie.

Pokręcił głową. Jakby Elise była dla niego niewyczerpanym źródłem wesołości.

– Byłbym wdzięczny, gdyby mogła mi pani przysłać tartę jabłkową i herbatę z kory wierzby, kiedy skończy pani z pieczeniem, pani Fountain. To, po co zszedłem na dół, może poczekać. Ach, i ma pani mąkę na... – Pomachał palcem wskazującym w okolice jej lewej piersi.

Paskudny, nieprzyzwoity człowiek.

A potem wyszedł, podśpiewując:

Lepiej na drodze nie stawaj,

Gdy idzie potężny lord Lavay...

– Moim zdaniem „potężny” brzmi tutaj znacznie lepiej, nieprawdaż, pani Fountain?! – zawołał przez ramię.

Zje sobie jabłkową tartę,

Zanim cię dopadnie!

Wydawało jej się, że zilustrował „dopadnie” cięciem niewidzialnej szabli.

Wierzbowa kora najwyraźniej działa.

Kiedy odprowadzała go wzrokiem, nabrała wyraźnego, niepokojącego podejrzenia, że zszedł po tych wszystkich schodach i dotarł aż do kuchni po to, by... zobaczyć ją. Po prostu żeby ją zobaczyć. Pospiesznie odsunęła od siebie tę myśl.

Przez chwilę stała nieruchomo i wpatrywała się w miejsce, gdzie zniknął. Wiedziała, że wielu niższej rangi służących w wielkich rezydencjach nigdy nawet nie widuje pana domu; żyją wprawdzie pod jednym dachem, ale w zupełnie odrębnych światach. A panowie domu często nie znają imion swoich służących, a wręcz w ogóle ich nie zauważają. Większość panów domu ma kontakt tylko z lokajem lub pokojowcem.

Służący powinni być posłuszni, ulegli i nie rzucać się w oczy.

Gdyby oceniał ją na podstawie tych kryteriów, nie przesłaby próby.

Pokręciła głową.

– Cóż za sakramencki nonsens, Elise – powiedziała sama sobie stanowczo. – Przyszedł do kuchni, ponieważ mógł. Przywróciłaś mu zdolność ruchu herbatą z kory wierzby i teraz będzie pojawiał się wszędzie, gdzie się go nie spodziewasz, jak kasztany w łóżku albo mysz wisząca w komodzie z porcelaną. Tylko po to, żeby wyprowadzić cię z równowagi.

Mysz przypomniła jej o zaległej rozmowie ze służącymi, co przewrotnie poprawiło jej nastrój. Jak im wspomniła wcześniej, wyzwania zwykle tak na nią działały.

A świadomość, że za mniej więcej godzinę zobaczy Jacka, pozwoliła spojrzeć na wszystko z innej perspektywy. Nikt i nic, nawet urok Lavaya, nie mogłoby przeszkodzić matce zdeterminowanej, by zatroszczyć się o swoje dziecko.

Elise stała w drzwiach kuchni, ze wzrokiem utkwionym we wzgórze między domem a plebanią, i zrobiło się jej ciepło na sercu, kiedy zobaczyła dwie postacie – jedna mała pędziła jak zwykle, druga znacznie wyższa biegła w ślad za nią i wymachiwała rękoma, bezskutecznie próbując nakłonić ją, by nieco zwolniła.

– Mama!

– Dobry wieczór, Jack, kochanie.

Roześmiany, rzucił się jej w ramiona, objął i uściśnął mocno.

– Ojej! Mamo, mamy coś dla ciebie.

Tuż za nim przybiegł zdyszany Seamus, zatrzymał się i uklonił, po czym położył rękę na sercu i wyrecytował:

Róże są czerwone,

Fioletki są nieczęste,

We włosach pani Fountain wyglądałyby pięknie.

*Jednak tylko lilie mamy,
więc proszę, te właśnie damy!*

On i Jack wręczyli jej kwiaty. Istotnie, lilie.

Przyjęła je i dygnęła ze śmiechem. Lilia Jacka była nieco bardziej zgnieciona niż kwiat Seamusa.

Seamus działał jak balsam po spotkaniu z Lavayem. Nie fascynował, nie irytował, nie poruszał, nie miotał jej emocjami niczym zimowy wichur opadłymi liśćmi, nie zajmował znacznej części jej myśli przez cały dzień. Ale schlebiał jej i niewątpliwie miło było na niego popatrzeć.

Oczywiście dla niektórych kobiet Seamus był wcieleniem pokusy.

Jego oczy były zielone i teraz błyszczały, gdy na nią patrzył.

– Dostarczono mi lilie i pewnego małego zbója. Czyż kobieta mogłaby być szczęśliwsza? Wielkie nieba, Jack, czy masz galaretkę na kołnierzu?

– Nie, mam, to krew! – odparł radośnie.

Elise przytrzymała się futryny, tylko po części udając wstrząśniętą.

– Pani się nie martwi, pani Fountain. Mocowali się trochę i Jack trafił Liama łokciem w nos.

– Mocowali się? Nie wiedziałam, że to jest w planie lekcji.

– Właśnie tym się zajmują chłopcy, pani Fountain. W jednej chwili odrabiają lekcje i nagle zaczyna się wojna. Adam... znaczy, wielbny Sylvaine... i ja rozdzieliliśmy ich. Nadal są najlepszymi kumplami.

– To głównie krew Liama – wyjaśnił wesoło Jack. – Wikary kazał nam stać w kącie i myśleć o przemyśle i o tym, dlaczego to niczego nie rozwiązuje.

– O przemyśle... Och, myślę, że chodzi ci o przemoc, kochanie. Przemysł to nielegalne przywożenie towarów. Przemoc oznacza bójkę, walkę na pięści i tak dalej. I wielbny ma rację. Przemoc nig... hm, rzadko jest dobrym rozwiązaniem.

Zawahała się, ponieważ przed oczami stanął jej obraz sześciu mężczyzn napadających Philippe'a Lavaya w bezksiężycową noc; w wyobraźni dodała do tej sceny samą siebie, okładającą zbiorów pięściami, zanim zdążą się do niego zbliżyć. Na samą myśl o tym wszystkim poczuła ucisk w żołądku.

Skąd, u diabła, wzięły się u niej tak niestosowne myśli?

– Och. – Jack zmarszczył nos. – Ja myślałem o przemyśle, kiedy stałem w kącie. Ale nie wiem, o czym myślał Liam. A Seamus gra na skrzypcach! Będzie grał na przedstawieniu świątecznym.

– Tylko trochę – powiedział skromnie Seamus. Uniósł niewidzialne skrzypce, udał, że gra energicznie, i zakończył ukłonem.

– Jakoś nie jestem zaskoczona.

– ...że jestem człowiekiem wielu talentów? – Uśmiechnął się. – Przemoc może i nie jest rozwiązaniem, ale skrzypce często nim są.

– Mama układa piosenki. – Jack opierał się o nią.

Elise poczuła, że się rumieni.

– Jack – powiedziała ostrzegawczo.

– Wie pani co, pani Fountain? Może pani przyjdzie do pubu Pod Prosiakiem i Ostem, jak będzie pani miała wolne, i zaśpiewa razem ze mną. Mamy kogoś, kto gra na flecie i na bębnie, i kogoś, kto twierdzi, że zna całą *Balladę o Colinie Eversea*. Wszyscy przychodzą: wikary, pani Endicott i chłopcy Eversea. Jeśli przyprowadzi pani małego, przysięgam, że będziemy śpiewać tylko przyzwoite wersy. O ile jakieś są.

– To bardzo miłe zaproszenie, panie Duggan. Może pewnego dnia przyłączę się do was. Tymczasem dziękuję za odprowadzenie Jacka. Proszę przyjąć cztery tarty z dżemem za fatygę.

Wręczyła mu pakunek zawinięty w ściereczkę, a on oddał jej szmatkę, w którą zawinęła tarty poprzedniego dnia.

– Och, to żaden kłopot, a raczej przyjemność, pani Fountain. Do jutra.

Uklonił się, odwrócił i odszedł. Z ogrodu dobiegał jeszcze jego wyraźny, czysty tenor ze śpiewnym irlandzkim akcentem.

Och, jeśli chcecie wiedzieć,

Jak skończył Colin Eversea,

Chodźcie posłuchać...

Odprowadziła go wzrokiem, uśmiechając się nieznacznie. Czyżby Seamus Duggan... zalecał się do niej?

Na pewno nie. Skoro całe rzesze młodych kobiet niemających dzieci chętnie padłyby mu w ramiona nawet bez zachęty w postaci kwiatów.

Biedne, biedne młode kobiety. Gdyby tylko wiedziały...

Lubiła myśleć, że Edward w gruncie rzeczy uodpornił ją na mężczyzn takich jak Seamus.

I na wszystkich mężczyzn obdarzonych onieśmielającym, podejrzanym urokiem. Niegdyś była na to podatna. Teraz musi być naprawdę bardzo odporna.

Stała jeszcze chwilę w drzwiach, patrząc jak Seamus znika w oddali, i myślała o zupełnie innym mężczyźnie.

Dla pewności postanowiła wysłać Jamesa lub Ramseya z herbatą z wierzbowej kory i tartą jabłkową.

Godzinę później, kiedy już nakarmiła Jacka, wszyscy zgromadzili się – niczym trybunał – przy długim kuchennym stole.

Elise czuła się, jakby to ona miała być sądzona.

– Mamy warunki – wycedziła Dolly, kiedy już w milczeniu nałożyli sobie na talerze chleb i duszone mięso, które okazało się całkiem znośne.

– Chciałabym zauważyć, Dolly, że nie masz żadnych podstaw do stawiania warunków. Ale jeśli masz rozsądne propozycje lub prośby, z przyjemnością je rozważę albo, jeśli będzie trzeba, przekażę lordowi Lavayowi, który chętnie je z wami omówi.

Dolly Farmer patrzyła na nią z takim samym jak zwykle wyrazem cynicznego rozbawienia. Może dobrzy gracze w karty potrafili rozpoznać, kiedy ktoś blefuje.

Elise doszła do wniosku, że bez względu na talenty Dolly jako praczki i sprzątaczkę, nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby nagle trafił ją piorun.

Z drugiej strony, wszyscy oni widywali lorda Lavaya rzucającego przedmiotami i jego nazwisko wciąż budziło respekt. Nikt nie miał ochoty powtórzyć tego przeżycia.

– A więc? – odezwała się słodkim głosem. – Co mam powiedzieć lordowi Lavayowi o jego pracownikach?

– Że chcę zostać, pani Fountain – oznajmiła wspaniałomyślnie Dolly Farmer. – Myślę, że to będzie prawdziwa przyjemność pracować dla pani.

Elise spojrzała podejrzliwie na Dolly.

A ona patrzyła na nią z miną niewiniątka. Uśmiechnęła się promiennie i zatrzepotała rękami.

Może była szczerą? Z takimi jak Dolly Farmer nigdy nie wiadomo...

Ramsey odchrząknął.

– Ale... Ale naszym warunkiem jest, żebyśmy dostali liberie.

Elise skinęła głową.

- Doskonale. Dostaniecie je najpóźniej w ciągu dwóch tygodni.
- I chcemy mieć jeden wieczór w tygodniu na grę w karty.
- Jeżeli lord Lavay nie będzie potrzebował waszych usług, możecie grać w jeden wieczór w tygodniu. Jeśli w domu będą przyjmowani goście, gra zostanie odwołana. To znaczy, że wtedy nie możecie grać. A jeśli zobaczę, że gracie, kiedy powinniście pracować, zostaniecie natychmiast zwolnieni.
- To uczciwe – uznał z zadowoleniem James i wpakował sobie do ust pół kromki chleba.
- Świetnie pani piecze, pani Fountain.
- Dziękuję, James – odparła z godnością. – Wiem o tym.

Po zjedzeniu zupełnie przyzwoitej duszonej wołowiny z kromką dobrego chleba i popitej szklaneczką wina z butelki, którą podarował mu hrabia Ardmay, Lavay niemal odruchowo zadzwonił po panią Fountain. Tak, jak niektórzy mężczyźni po kolacji sięgają po kieliszek brandy lub cygaro.

Zanim przyszła, zaczął się już nieco niecierpliwić. Miał pewien plan.

Jednak kiedy się pojawiła, na chwilę zapomniał, po co ją wzywał. Zobaczenie jej okazało się tak wielką przyjemnością, zwłaszcza że najwyraźniej biegła po schodach i policzki miała zarumienione, a włosy wcale nie tak uporządkowane, jak sądziła.

– Ach, dobry wieczór, pani Fountain. Chciałbym powiedzieć, że podanie mi herbaty z wierzbowej kory to wielka uprzejmość z pani strony. A może raczej w trzech czwartych uprzejmość i w jednej czwartej rozpaczliwa chęć sprawienia, żebym był choć trochę mniej nieznośny.

W jej oczach pojawił się niepokój, ale po chwili Lavay zauważył, że doszła do wniosku, że się z nią drażni.

– Dodam do moich rodzinnych przepisów receptę na poskromienie księcia.

Uśmiechnął się.

– A zatem pochodzi pani z długiej linii gospodyń i służących, pani Fountain?

– Nie! – W jej głosie zabrzmiało zaskoczenie.

– Ach, tak, oczywiście. Uczyła pani dziewczęta w akademii panny Endicott? Najróżniejszych rzeczy, jak sądzę.

– Tak. – Nagle stała się wyraźnie nieufna.

– I lubiła pani tę pracę?

– Tak.

– O. Moja elokwentna nowa gospodyni nagle stała się małomówna. Dlaczego teraz jest pani gospodynią, a nie nauczycielką?

Zawahała się.

– Myślałam, że odbyliśmy tę rozmowę w dniu, kiedy zostałam zatrudniona, lordzie Lavay.

– Pani Fountain, może będzie pani uprzejma usiąść i zaspokoić moją ciekawość.

Powiedział to tonem przyjemnym, ale jednocześnie nie dopuszczającym sprzeciwu. Usiadła w fotelu, jakby wchodziła na stopnie gilotyny. Usiadł naprzeciwko. Blask padający z kominka nadał jej skórze barwę bursztynu, a spojrzenie stało się zamglone.

– Odezwałam się nie w porę.

– To szokujące.

Uśmiechnęła się na to; tak było znacznie lepiej.

Odrobinę martwił się, że gdyby powiedziała „popęłniłam morderstwo”, znalazłby jakiś sposób, żeby to wytłumaczyć. Może tylko starałby się trzymać ją z dala od tasaków i podobnych przedmiotów.

Wzruszył lekko ramionami.

– W jednych miejscach coś takiego jest lepiej widziane, w innych gorzej. Oczywiście należy mądrze wybrać moment i przeciwnika. I widzi pani? Wzruszanie ramionami sprawia mi

teraz znacznie mniejszy ból. Przywróciła mi pani moje możliwości, pani Fountain, swoją herbatką z kory i mówieniem nie w porę.

– Miło mi to słyszeć, milordzie.

– A teraz muszę poprosić, żeby przepisała pani list do mojego dziadka.

To również ją zaskoczyło.

– Czy nie jest zadowolający?

Rozbawiło go zdumienie w jej głosie. Najwyraźniej pani Fountain rzadko bywała niezadowolająca.

– Ktoś na niego napłakał.

To było podstępne. Celowo ją zaskoczył.

Zamarła.

A kiedy na niego spojrzała, dostrzegł w jej oczach niemą prośbę, jakby została przyłapana na gorącym uczynku.

Zachwyciło go to, że nie zaprzeczyła.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

– Gdzie jest pani dom, pani Fountain? – spytał cicho.

– W Northumberland – odparła niemal bezmyślnie. Wciąż zaskoczona jego zasadzką.

– Ach.

W kominku głośno strzełiło płonące polano.

– Dom staje się częścią nas samych, nieprawdaż?

Wyglądała, jakby oddychanie sprawiało jej ból.

– Tak – odparła pośpiesznie.

– Moim domem było Pierres d'Argent – mówił cicho. – Moja rodzina ma wiele domów.

Ale tam był dom, który znałem i kochałem. Należał do mojej rodziny od ponad dwustu lat. Znam tam wszystkie drzewa, jak towarzyszy dziecinnych zabaw. W pewnym sensie były moimi towarzyszami. Wychowałem się wśród nich, z niejednego spadłem.

Uśmiechnęła się blado. Ale wciąż była spięta. Dłonie ukryła pod stołem – przypuszczała, że ciasno splecione i zaciśnięte.

– Znałem każdy kwiat w ogrodzie. Każdy kamień na ścieżkach i w murach. Rozbijałem sobie kolana, łowiłem ryby, wspinałem się, dostawałem lanie za kradzież tarty przeznaczonej na kolację, biłem się i bawiłem z moimi braćmi, siostrami i kuzynami. Tam uczyłem się, jak być mężczyzną. Głosy mojej rodziny, śmiech i płacz, to, kim jesteśmy... wszystko jest zapisane w belkach i kamieniach tego domu. On jest częścią mnie w takim samym stopniu jak... jak moja ręka. I został nam odebrany. Ci z nas, którym się udało, musieli uciekać do obcych krajów jak robactwo. Zabieraliśmy tylko to, co mogliśmy unieść w rękach. Rzeczy takie jak... sosjerki. Srebrne łyżeczki.

Wyobrażała sobie wszystko, o czym mówił, a w jej oczach malowała się udręka.

Myśl, że mógłby sprawiać jej ból, była dla niego nieznośna. Ale z jakiegoś powodu chciał, żeby to wszystko wiedziała.

– Przykro mi – powiedziała cicho. – Ja zabrałam tylko szczotkę do włosów.

Skinął głową, ale nie zadawał żadnych pytań.

– Tęskni pani za domem, pani Fountain.

Chwila ciszy.

– Tak.

To krótkie słowo zabrzmiało tak niepewnie, że musiało bardzo dużo skrywać.

– Kiedy wybiera się tam pani z wizytą?

– Nie mogę.

Zbladła z napięcia.

– Ma pani prawo wziąć wolne, pani Fountain. Oczywiście pod warunkiem, że wytrzyma pani dłużej niż dwa tygodnie i wyposaży lokajów w liberie.

Liczył, że to skłoni ją do uśmiechu.

Próbowała się uśmiechnąć...

– Ja... nie mogę.

Wyczuł, że nie powinien naciskać.

A jednak.

– Dlaczego? Powiedziała pani coś nie w porę?

Tu w końcu się uśmiechnęła.

– W pewnym sensie.

Ale jej oczy błagały, by nie zadawał więcej pytań.

Ustąpił.

– Czy byłaby pani tak miła i przepisała ten list jeszcze raz? Chciałbym, żeby jutro został wysłany.

– Oczywiście, milordzie.

Z wyraźną ulgą pochyliła głowę i zajęła się pisaniem. Najpewniej szczęśliwa, że nie musi patrzeć mu w oczy.

– Nie muszę wracać do domu. Świetnie radzę sobie sama – odezwała się nieoczekiwanie po chwili.

– Oczywiście, że sobie pani radzi – powiedział niefrasobliwie.

Chyba mówiłem, że nie toleruję kłamców, pani Fountain.

Usiadł na sofie z Markiem Aureliuszem w dłoni. Dobrą stroną rekonwalescencji było to, że mógł czytać, kiedy tylko miał na to ochotę. Oczywiście wolałby siedzieć w siodle i pędzić gdzieś przed siebie, ale taki dzień wkrótce nadejdzie, a tymczasem może popracować nad swoim umysłem.

Odwrócił stronę i nie przeczytał na niej ani jednego słowa; patrzył na bursztynowy odbłask płonącego ognia na jej policzkach, jak czubkiem języka dotyka górnej wargi, zanurza pióro w kałamarzu. Przewrócił kolejną stronę i spojrzał na nią, gdy ciszę przerwało głośne pukanie w futrynę drzwi.

– Posłaniec do pana, milordzie. Wydaje się, że to raczej pilne...

Posłańcem był ten sam mężczyzna o kamiennej twarzy, który minął Elise jak burza i nie chciał herbaty, a teraz przepchnął się obok Ramseya do pokoju.

Elise zauważyła, że Lavay nawet nie mrugnął. Jakby się go spodziewał.

Zerknęła na posłańca i pomyślała, że musi być interesującym człowiekiem, po czym odruchowo pochyliła głowę, starając się jak najmniej rzucić w oczy. Nie była od niego buta ani siła, ale też nie wydawał się pokorny ani uniżony; jego twarz była pozbawiona wyrazu. Już jutro nie potrafiłaby rozpoznać go wśród tłumu, tego była pewna. Ale otaczała go aura pełnej napięcia determinacji.

Lavay wstał.

Posłaniec podał mu jakiś list, ukłonił się, zsalutował, odwrócił się i już go nie było.

Lavay złamał pieczęć.

Spojrzał na nią.

– Pani Fountain, czy skończyła pani pisanie? – Głos miał nieobecny i lekceważący.

– Tak, milordzie.

– To wszystko na dziś. Dziękuję.

I tak po prostu, po tym, jak odsłonił jej najgłębsze cierpienie, zaczynając od jednej łyzy na

papierze, teraz odprawił ją z typową dla siebie, przyprawiającą o zawrót głowy opryskliwością.

Ale, co ciekawe, dzielił też z nią moment absolutnego spokoju, coś tak niezwykłego i wyrazistego, że uświadomiła sobie, jak bardzo brakowało jej tego w życiu w ciągu ostatnich sześciu lat. Jego milczące zrozumienie, nić porozumienia między nimi, wypełniło wszystkie takie pęknięcia, bolące jak rozcięta skóra.

Widziała wyraz jego twarzy, kiedy czytał wiadomość przyniesioną przez posłańca. Stał się zimny, napięty, skupiony jak drapieźnik.

Poczuła ucisk w żołądku i z niepokojem uświadomiła sobie, że to lęk.

Została zapomniana.

Ale przypuszczała, że są rzeczy ważniejsze niż jej duma.

Następny dzień upłynął Elise bez choćby jednego dzwonka lorda Lavaya, który na całe popołudnie zamknął się z hrabią Ardmayem. Najprawdopodobniej miało to coś wspólnego z wiadomością dostarczoną poprzedniego wieczoru. Coś w tym wydało się jej złowieszcze, niczym ciężkie, szare burzowe chmury, które teraz wisiały nisko nad ziemią między kuchennymi drzwiami a plebanią.

Przy takich chmurach zachód słońca będzie piękny, o ile nie zacznie padać deszcz.

Stała na schodach przed kuchennymi drzwiami, ze wzrokiem utkwionym w plebani, niczym myśliwski pies. Odetchnęła dopiero, gdy zobaczyła w oddali dwie postacie, maleńkie jak ptaki na łące.

Powoli stawały się coraz większe.

Kiedy zaczęły wyglądać już jak ludzie, a nie ciemne plamki, zrobiło się jej lżej na sercu.

Jack zobaczył ją i puścił się biegiem, zaś Seamus dzielnie starał się dotrzymać mu kroku.

– Wiemy, że je lubisz, mamó, więc przynieśliśmy ci więcej – wydyszał Jack.

Jack trzymał garść stokrotek i kilka róż, które niegdyś miały znacznie więcej płatków, lecz nieco wyłysiały w drodze z plebanii do domu.

Seamus szturchnął go.

– To był pomysł Seamusa.

– Naprawdę? Dziękuję, panie Duggan. Dziękuję, Jack.

– Będę owcą, mamó!

– Kiedy dorośniesz? A nie dzwonnikiem?

– W świątecznym przedstawieniu. Beeee! Beeee!

Pochylił się i pomachał pupą.

– Bardzo przekonująco. Doskonale obsadzona rola przez...

– Panią Sneath. – Twarz Seamusa pociemniała, a głos miał tak posępny, jakby mówił „Belzebub”.

Elise знаła panią Sneath. Była budzącą respekt przewodniczącą Towarzystwa Opieki nad Ubogimi w Sussex i blisko współpracowała z wikarym. Należała do tych kobiet, które nigdy nie pozwoliłyby, żeby Seamusowi uszło coś na sucho ani żeby zbliżył się do którejkolwiek z młodych kobiet zaangażowanych w działalność dobroczynną.

I pani Sneath była kobietą czynu. Jeśli coś powinno być zrobione, zawsze pilnowała, by tak się stało.

A... do przedstawienia będą potrzebne kostiumy.

Nagle przepełniła ją nadzieja i poczuła przyływ inspiracji.

– Dziewczyny też będą, mamó! Młodsze dziewczyny od panny Endicott zagrają w przedstawieniu. Będą aniołami.

– Chciałabym zamienić słówko z panem Dugganem, gdy pobiegiesz na górę, Jack – powiedziała to z takim napięciem, że Seamus spojrział na nią ze zdziwieniem. – Idź i opowiedz Kitty, Mary, Jamesowi i Ramseyowi, jak ci minął dzień. Na pewno chętnie posłuchają o owcach i aniołach.

Niemal cała służba była zakochana w Jacku. Kitty i Mary traktowały go jak ulubione zwierzątko, a James i Ramsey żartowali z nim i wygłupiali się. Jack omijał jednak szerokim

łukiem Dolly, instynktownie wyczuwając – jak potrafią dzieci i zwierzęta – że spotkanie z nią mogłoby nie być miłe.

– Dobrze, mam. Czy w kuchni są tarty?

– Tak, ale żadnych tart przed kola...

Ale on już pomknął jak strzała.

Odwróciła się do Seamusa.

– Proszę mi wybaczyć, że od razu przejdę do rzeczy, panie Duggan...

– Mówiłem to samo niejednej młodej damie.

Spojrzała na niego z osłupieniem – był niepoprawny. Szybko odzyskała kontenans.

– ...ale czy panie z Towarzystwa będą szyły kostiumy na przedstawienie?

– Tak. Owce, pasterze i tak dalej. I Jezus. I anioły. Wielebny chce, żebym zagrał. I będę też śpiewy. Hymny i w ogóle.

– Mam mały problem, panie Duggan. Potrzebuję dwa uniformy dla lokajów. Kurtki, kamizelki, spodnie, pończochy i wszystko, łącznie z butami. W dwa tygodnie. Przed drugim dniem świąt.

Seamus zastanawiał się przez chwilę.

– Hm, tak... mały Jezus był wyjątkowy – powiedział łagodnie – ale nie sędzę, żeby miał lokajów, pani Fountain.

– A czymże są mędracy, jeśli nie... świętymi lokajami, w pewnym sensie?

Seamus spojrział na nią z ukosa.

– Musi pani mieć naprawdę duży kłopot, jeśli plecie pani takie bzdury.

– Mędracy byli królami, a królowie mają lokajów! – wypaliła pod wpływem nagłego olśnienia.

To spodobało się Seamusowi.

– Tak może być trochę łatwiej...

– Muszą być ciemnobłękitne. I obrzeżone srebrem.

– Czy nie ma pani odrobinę zbyt dużych wymagań, pani Fountain?

– I pończochy. Jedwabne pończochy.

– Buty?

Seamus intensywnie myślał.

– I buty.

– Jeśli uda mi się przekonać panie z Towarzystwa Opieki nad Ubogimi, żeby dodały do przedstawienia dwóch lokajów, będę chciał czegoś w zamian, pani Fountain, i nie będą to tarty jabłkowe.

Boże.

– Przyjdzie pani Pod Prosiaka i Oset w swoje dwa następne wolne wieczory – dodał pospiesznie.

– To wszystko?

Parsknął śmiechem.

– To wystarczy – odparł. – Rozczarowana, gołąbeczko? – mrugnął do niej. – Przyjemność nakłonienia do czegoś pani Sneath będzie dostateczną nagrodą. Jeżeli mi się uda.

Wyglądało na to, że szykuje się bunt.

Królewski posłaniec przyniósł Lavayowi kilka krótkich linijek nabazgranych na kartce papieru: zawierały datę, miejsce spotkania, nazwiska kilku ludzi, których miał odnaleźć i śledzić, i nazwiska ludzi, z którymi miał pracować – ludzi, których znał, wśród nich hrabiego Ardmaya.

Było to, oczywiście, niebezpieczne. Miał przeniknąć w ich szeregi, podając się za Francuza rozgoryczonego wynikiem wojny.

To nie stanowiło poważnego wyzwania.

A pieniądze... och, pieniądze, jakie proponowali, rozwiązałyby niemal wszystkie problemy.

Problem w tym, że Lavay miał świadomość, że w tej chwili fizycznie nie nadaje się do tego zadania. Miał swoją dumę, ale nie był głupcem i nigdy nie naraziłby na niebezpieczeństwo ludzi, z którymi pracował.

Miał miesiąc na podjęcie decyzji.

I właśnie ta decyzja dzieliła go od wszystkiego, czego pragnął.

Hrabia Ardmay dostał podobną wiadomość i przez cały wczorajszy dzień rozmawiali. Wspominali dawne przygody, a unikali tego, o czym naprawdę powinni mówić: czy przyjąć to zadanie, czy też nie.

Albo czy Philippe zajmie się nim sam.

Philippe wyczuwał, że przyjaciel nie ma na to ochoty, mimo oferowanej nagrody – ze względu na żonę i dziecko. Teraz miał zbyt dużo do stracenia. Philippe, który stracił niemal wszystko, co kochał, nie miał mu tego za złe.

Bezwiednie poruszał ręką, wciąż jeszcze nieco sztywną. Podobnie jak reszta ciała, chociaż herbata z kory wierzby działała zbawiennie, co jednak nie poprawiało mu humoru.

A ponieważ był w nieco masochistycznym nastroju, wyłowił ze stosu korespondencji ostatni list od Marie-Helene i otworzył go.

Wskazówka jego wewnętrznego barometru skoczyła w górę.

Niemal odruchowo szarpnął energicznie sznur dzwonka.

A kiedy przyszła pani Fountain, przez chwilę przyglądał się jej bezmyślnie. Humor już mu się poprawił, jakby wypił kieliszek brandy.

Jej suknie były proste i skromne, a choć zostały doskonale uszyte, widać było, że projektowała je kobieta myśląca o oszczędnościach. Powinna nosić więcej kolorów. Żywszych. Głębokich. Z miękkich tkanin, które łagodnie opływałyby jej sylwetkę, która była niezwykle zgrabna. Zastanawiał się, jak mogłaby wyglądać w sukni balowej. Albo czy kiedykolwiek miała na sobie suknię balową.

– Czerwień – mruknął.

– Przepraszam?

– Ja... hm, to znaczy... chciałbym, żeby mi pani pomogła odpowiedzieć na list.

– Czy chciałby pan, żebym rzuciła za pana tym wazonem, milordzie?

Lekko drgnął mu kącik ust.

– Gdyby była pani tak uprzejma.

Podniosła go i delikatnie postawiła na przeciwległym krańcu kominka, poza jego zasięgiem.

– Doskonałe oko – rzucił cierpko.

– Dziękuję.

– To będzie odpowiedź na list od mojej siostry – wyjaśnił z napięciem w głosie.

– Ach – skomentowała.

Głębia zrozumienia, które zawarła w tej sylabie, podziałało na niego jak balsam.

Usiadła w brązowym fotelu, a on obserwował z rozbawieniem, jak stłumiła westchnienie. Pani Fountain była zmysłową istotą.

Tylko ktoś podobny mógł to zauważyć.

Zaczął, zanim jeszcze chwyciła pióro.

– Najdroższa Marie-Helene. Choć najszczerzej pragnę, abyś nie smażyła się w piekle...

– Najdroższa Marie-Helene – powtórzyła stanowczo, pisząc jednocześnie. – Mam

nadzieję, że ten list zastanie cię w zdrowiu i szczęśliwą...

– ...jeśli chodzi o twoje ostatnie żądanie pieniędzy na suknie nadążające za najnowszą modą, z przyjemnością informuję, gdzie możesz je sobie włożyć...

– ...jeśli chodzi o twoją ostatnią prośbę o pieniądze, muszę cię prosić, żebyś okazała cierpliwość i oszczędność; zapewniam cię, że wyglądasz pięknie we wszystkim i powinnaś zawsze pamiętać o swoim pochodzeniu i nosić głowę wysoko.

– ...zaś co do twojego pytania o powody, dla których marnuję czas w Sussex – nie powinno cię obchodzić, gdzie i jak spędzam czas.

– ...zaś co do twojego pytania o powody, dla których marnuję czas w Sussex, dziękuję ci za troskę i zapewniam, że wkrótce znowu się zobaczymy...

Przestała pisać i patrzyła na niego pytająco.

Posłał jej ponure spojrzenie.

– Czy właśnie to chciał pan powiedzieć?

– Tak. Niechże panią, pani Fountain.

Pochylił się, wyjął pióro z jej palców i podpisał się u dołu. Jakby kończył z Marie-Helene na zawsze.

A potem westchnął ciężko i z udręką.

– Lordzie Lavay...

– Zamierza pani zadać pytanie, pani *Je-sais-tout*? – spytał cierpko. – Myślałem, że wie pani wszystko.

Nawet nie mrugnęła.

– Czy Marie-Helene wie, że został pan... powiedzmy zaczepiony... w Londynie? I że przebywa pan w Sussex, ponieważ musi pan wrócić do zdrowia?

– Oczywiście, że nie – rzucił lekceważąco.

– Dlaczego nie?

– Jestem podwójnie odpowiedzialny za Marie-Helene. Muszę chronić ją przed takimi nieprzyjemnymi szczegółami rzeczywistości, a także zadbać, by dobrze wyszła za mąż i nigdy niczego jej nie brakowało.

Przez twarz pani Fountain przemknął dziwnie uroczy i niejasny wyraz smutku, jakieś uczucie, którego nie potrafił zidentyfikować, ale w tym momencie cały kobiecy rodzaj działał na niego irytująco.

– Czy rewolucja nie była jednym długim, nieprzyjemnym szczegółem rzeczywistości? – spytała.

Zamarł na chwilę.

– Tak – odpowiedział w końcu lakonicznie.

Zastanawiała się nad czymś, stukając końcem pióra o wargę.

Białe pióro na tle tak czerwonych warg. Hipnotyzujące.

– Czy Marie-Helene nie straciła także ojca i brata? A może również innych krewnych i przyjaciół?

Przyjrzał się jej, mrużąc oczy.

W końcu westchnął ciężko i otarł twarz dłońmi.

– Właśnie dlatego – powiedział ze znużeniem – nie chcę, żeby kiedykolwiek się dowiedziała, co mi się przydarzyło. Wystarczająco dużo przeszła. A kiedy widziałem wszystko, co przeżywała... a ja nie mogłem tego powstrzymać ani obronić jej...

Patrzyli na siebie w milczeniu.

A przez co pani przeszła, pani Fountain, żeby rozumieć takie rzeczy? – bardzo chciał zapytać.

– Podczas gdy pan brykał po łąkach przez ostatnią dekadę – zauważyła.
– Jestem za nią odpowiedzialny, pani Fountain – powtórzył powoli, jakby mówił do nierozgarniętego dziecka. – Nie powinno ją obchodzić, co robiłem, żeby o nich zadbać.
– A czy przyszło panu do głowy, że ona może się o pana martwić? Że może być zirytowana, ponieważ za panem tęskni? A może jest silniejsza, niż pan przypuszcza?
– Ba. – Wzruszył ramionami. – Jest młoda i rozpieszczona. I tak powinno pozostać. Ale złość mu już mijała.
Nigdy wcześniej nie mówił o tym wszystkim nikomu, a teraz odczuł ulgę, jakby ktoś zdjął mu z piersi kolejną warstwę ciężaru, pozwalając lżej oddychać.
– Ile ma lat? – dopytywała się pani Fountain.
– Osiemnaście.
– Jest dorosłą kobietą.
– Dorosłą kobietą, która powinna być już mężatką, ale z posagiem stosownym do jej nazwiska. A za jej posąg ja jestem odpowiedzialny. Nie pozwolę, żeby moja siostra została starą panną albo wyszła za kogoś o niższej pozycji.
Mówił coraz głośniej, aż ostatnie słowo odbiło się echem w pokoju.
Oczywiście nie powiedział głośno, że pozycja pani Fountain była znacznie niższa niż ich. Ale Anglicy niewiele pojęć rozumieją lepiej niż „pozycja społeczna”.
– Jest już wystarczająco dorosła, by podjąć samodzielnie pewne decyzje – powiedziała łagodnie Elise.
– Nie została wychowana do podejmowania decyzji, pani Fountain – rzucił cierpko.
– Jeżeli jest choć odrobinę podobna do pana...
Wyprostował się i parsknął ponurym śmiechem.
– Nawet pani nie może być na tyle nierozważna, by dokończyć to zdanie – ostrzegł.
Uniosła dumnie głowę.
– ...jeśli jest choć odrobinę podobna do pana, to przetrwa. Czy to wolno mi powiedzieć? Kobiety często są bardziej odporne, niż sądzą mężczyźni. I często silniejsze, niż przypuszcacie. To wszystko, co chciałam powiedzieć.
– Na razie – zauważył posępnie Philippe.
Wzruszyła ramionami. Wyraźnie starała się nie roześmiać. Cóż za tupet.
Przyglądał się jej przez chwilę bez słowa.
– Czy może przemawia przez panią doświadczenie, pani Fountain?
Wytrzymała jego spojrzenie. To wystarczyło za całą odpowiedź.
Przeszedł kilka kroków po pokoju.
A potem odwrócił się i zaczął niepewnie. Z jakiegoś powodu chciał, żeby wiedziała.
– Nie jestem na nią zły. Jestem zły na samego siebie. Jestem zły na los. Jestem zły na to – machnął zranioną ręką w powietrzu – i jestem zły na ten czyściec, w którym nie mogę zarobić pieniędzy potrzebnych, żeby odkupić własny dom i zapewnić mojej siostrze posąg i wszystkie suknie balowe, jakich mogłaby zapragnąć. Jestem wściekły, ponieważ moja rodzina została rozbita przez rewolucję, a ja muszę ją na powrót poskładać. Najlepszym lekarstwem na gniew jest konstruktywne działanie, pani Fountain. Mój czas ucieka. Mogę się ożenić szybko i bogato. Ale muszę podjąć decyzję, nim zima dobiegnie końca, ponieważ Pierres d’Argent zostanie sprzedane komuś innemu, jeśli tego nie zrobię.
Słuchała uważnie tej pełnej pasji przemowy.
– A więc... więc może pan znowu narażać się na niebezpieczeństwo, ponieważ to przyniesie panu pieniądze, albo...
– Narazić się na małżeństwo.

Kolejne słowo, które zabrzmiało złowieszczo. Raczej jak dzwon pogrzebowy niż radosny dzwon kościelny poruszany przez dwóch małych chłopców uwieszonych u sznura.

– Czy właśnie dlatego był tu królewski posłaniec?

Zaskoczyła go jej przenikliwość.

– Tak. Korona ma dla mnie... zadanie.

– A przez „zadanie” rozumie pan zapewne coś, co wymaga użycia broni.

– Jestem ceniony również ze względu na mój urok, pani Fountain. I znajomość języków.

– Ani jedno, ani drugie nie miałyby żadnego znaczenia dla Jego Królewskiej Mości, gdyby nie umiał pan posługiwać się szablą. Zgaduję, że chcą, żeby znowu zrobił pan coś niebezpiecznego.

Ku jej zaskoczeniu – i własnemu – uśmiechnął się.

– *Lepiej na drodze nie stawaj, gdy idzie potężny lord Lavay...* – zaśpiewał cicho, drażniąc się z nią. – Tęsknię za czasami, kiedy mój urok był także potrzebny, żebym mógł utrzymać dach nad głową.

To powinno ją rozbawić.

Ale ona przyglądała mu się uważnie, a wyraz jej twarzy stał się bardziej mroczny.

Wyraźnie zastanawiała się, czy powinna się odezwać.

Westchnął.

– Proszę powiedzieć to, co ma pani do powiedzenia – polecił.

– Co... dokładnie pana boli? Oprócz dłoni? – zaryzykowała.

Uniósł brwi.

– Przepraszam... czy to nietaktowne pytanie?

– Czy „wszystko” to nietaktowna odpowiedź?

– Naprawdę? Bardzo mi przykro, jeśli tak.

– Dziękuję – powiedział w końcu. Tak po prostu.

Ponieważ było zupełnie jasne, że mówiła szczerze. W jej głosie nie było oskarżenia, przymilania się ani hysterii.

Uniósł rękę w niemym geście.

– Oto, co martwi mnie najbardziej, jak pani wie. A właściwie stanowi największą niedogodność.

– Mogę... zobaczyć? Jak mówiłam, jestem córką lekarza. Wiem to i owo o ranach.

– Czy stara się pani uczynić mnie zdolnym do walki, aby uchronić mnie przed małżeństwem, pani Fountain?

Zdał sobie sprawę, że wstrzymuje oddech, czekając na jej zręczną odpowiedź.

Coś mignęło w jej oczach. Jakby patrzył na chmury przemykające na tle słońca.

– Myślę, że obie te sytuacje wymagają od pana użycia rąk, lordzie Lavay.

Roześmiał się, zaskoczony. I sprawiło mu to przyjemność.

Potem usiadł w fotelu naprzeciwko niej i wyciągnął rękę, jakby była Cyganką wróżącą z dłoni i mogła odczytać jego przyszłość.

Ujęła ją delikatnie i nieco nieśmiało, jakby podawał jej nie dłoń, lecz małego śpiącego jeża.

Przyglądała się przez chwilę tak poważnie, że aż się uśmiechnął.

Jakiż to luksus, móc się na chwilę oddać w czyjeś ręce. Dłonie miała miękkie i chłodne, lecz nie jedwabiste i wypielęgnowane jak jego krewne i wszystkie kobiety, z którymi tańczył lub się kochał. To były dłonie, którym można powierzyć coś, co jest cenne, co jest poważne.

Tyle czasu minęło, odkąd piękna kobieta dotykała jego dłoni, niczego nie chcąc ani nie oczekując.

To spostrzeżenie także go zaskoczyło. Nie było całkiem przyjemne i nie wątpił, że każdy mężczyzna może dojść do podobnego wniosku. To było coś nieuchwytnego; jakaś magiczna formuła złożona z uroczej łagodności jej rysów połączonej ze sposobem, w jaki się poruszała, jak jej skóra odbijała światło, przepastnymi oczami, które błyszczały jak gwiazdy, kiedy się uśmiechała, żywym poczuciem humoru, którym tak sprawnie się posługiwała, i tym, co ukrywała.

Przyszło mu do głowy, że cokolwiek może ujawnić jego ręka, stanie się to właśnie teraz.

Ale ona jej nie puściła.

I nagle powietrze wokół nich stało się aksamitne, jakby znaleźli się pod kopułą oddzielającą ich od reszty świata.

Ogarnął go niezwykle spokoj. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek doświadczył podobnego uczucia.

Nie umiałby tego nazwać.

– Kto zszuł ranę? – mówiła szeptem, jakby jego dłoń była pacjentem, który wciąż jeszcze musi odpoczywać i któremu nie należy przeszkadzać.

– Hm... nazwałbym go samarytaninem, który szczęśliwie znalazł się w tym samym miejscu i czasie co ja i przyszedł mi z pomocą. A potem znalazłem się pod opieką kogoś, kto bardziej martwił się, i nie bez powodu, o to, bym nie wykrwawił się na śmierć, niż o wygląd mojej dłoni. Widzi pani, wieloma częściami mojego ciała trzeba było się wtedy zająć. Porozcinane i tak dalej.

– Mówi pan to tak beztrasko: „wykrwawić się na śmierć” – przytoczyła jego słowa.

– Wolalaby pani, żebym tak nie mówił?

Wzruszyła ramionami, co go rozbawiło. Najwyraźniej to było zaraźliwe.

– Niemal wypatroszyli mnie jak rybę. Ale jestem szybki jak kot, więc przetoczyłem się w bok, zanim zdążyli wyjąć mi wątrobę nabitą na szablę jak korniszona na widelcu.

Znowu uniosła głowę i spojrzała na niego z podziwem mieszającym się z przerażeniem.

Uśmiechnął się niczym niesforny chłopak.

– Proszę to potraktować jak próbę odwagi i pomysłowości, pani Fountain: czy uda się pani nie zblednąć, kiedy mówię takie rzeczy. Chociaż przyjemnie jest wiedzieć, że interesuje panią mój los.

Natychmiast spuściła wzrok.

Uświadomił sobie, że mówi tak po to, by zobaczyć jej reakcję.

Przez kilka minut słychać było tylko ciszę.

– Pański problem wynika po części z tego, że powinien pan mieć założonych więcej szwów i powinny być gęstsze. Jak... litery na haftowanej poduszce. Wtedy mógłby pan swobodniej poruszać dłonią.

– Co wyhaftowałyby pani na mnie, pani Fountain?

– *Caveat emptor* – odparła z powagą.

Roześmiał się.

Pomyślał, że chciałby przez resztę dnia siedzieć naprzeciwko pani Fountain i czekać, aż któryś z niesfornych kosmyków jej włosów wymknie się na wolność, podczas gdy ona będzie patrzeć na niego wzrokiem składającym się w trzech częściach ze współczucia, w jednej części z nieufności i w jednej z szelmowskiego poczucia humoru, które tak bardzo starała się tłumić.

Przypuszczał, że to ostatnie było najistotniejszą częścią pani Fountain.

I tę część tak bardzo pragnął wywabić z ukrycia.

Dotknął różowej blizny na swoim policzku.

– Zważywszy, że twarz jest moim największym atutem, przypuszczam, że mam szczęście,

że to reszta ciała przyjęła cały impet.

Jej wargi drgnęły. Jeśli liczył na komplement, czekało go rozczarowanie.

– Gdzie jeszcze odniósł pan rany?

Nie zrobił nic, żeby zabrać dłoń z jej delikatnych objęć.

Ona nie zrobiła nic, żeby ją puścić.

W tym momencie wkroczyli na teren, po którym żadne z nich nie wiedziało, jak się poruszać.

– Cięcie odtąd – wskazał drugą ręką środek swej piersi i przesunął palcem, obserwując, jak śledzi go wzrokiem – dotąd. – Zakończył w miejscu, do którego jej wzrok nie dotarł.

Nie odrywała wzroku od jego piersi.

A potem powoli uniosła głowę. Ich oczy się spotkały. Mówiąc ściślej, niemal się zderzyły. Philippe zastanawiał się, czy i on ma źrenice tak wielkie, jak pani Fountain.

– I wszystko... staje się tak... sztywne – dodał posępnie.

Gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Wiem, co poradzić na tę sztywność – rzekła z powagą.

Oczy mu się rozszerzyły. Ciekawe doznanie przebiegło mu wzdłuż kręgosłupa. Ów słodki szept pożądania, który tak łatwo może rozpaść się w wielki pożar.

– Doprawdy? Zamieniam się w słuch, pani Fountain. – Mówił szeptem.

Zawahala się znowu. Przygryzła wargę z namysłem i nachyliła się lekko ku niemu.

– Hm. Przede wszystkim musi pan ją ogrzać...

A potem uniosła drugą rękę i przykryła jego dłoń niczym zwierzątko, które chciała złapać i wypuścić na wolność.

– ...żeby rozluźnić mięśnie.

Nie był w stanie powiedzieć ani słowa.

Zupełnie jakby wyłożył karty w ryzykownym zagranium.

– Ach – odezwał się w końcu cicho. Wyraźnie słyszał napięcie we własnym głosie. –

Doprawdy?

– Rozciąganie powinno pomóc. Prawdę mówiąc, musi pan ją rozciągać, jeśli chce jeszcze kiedykolwiek chwycić szablę.

Czy te błyski w jej oczach to rzeczywiście błyski, czy tylko odbijało się w nich światło lamp?

– A ponieważ moja szabla ma znaczną długość i grubość, a ja jestem słynnym szermierzem, ma to dla mnie ogromne znaczenie – zauważył cicho i bardzo poważnie. Jakby byli na pogrzebie.

W powietrzu niemal iskrzyło, trochę jak tuż przed burzą.

– A potem, kiedy już będzie ciepła, lordzie Lavay, musi pan ją rozcierać... aby rozluźnić mięśnie.

Przyłożyła kciuki do środka jego dłoni i nacisnęła.

Raz.

Drugi.

W końcu westchnął i wydawało się, jakby wstrzymywał to westchnienie od lat.

– Matko boska, jakie to przyjemne.

Zamarła.

Prawie usłyszał dźwięk pękającego zaklęcia.

– Gdybym tylko miał coś ciepłego, czym mógłbym okryć moje biedne poranione ciało, żeby mogło być giętkie, pani Fountain.

Jej oczy otworzyły się szerzej z przerażenia.

Niemal odepchnęła jego dłoń.

Teraz naprawdę nią wstrząsnął.

A może to ona sama sobą wstrząsnęła.

On zresztą też był wstrząśnięty.

Pragnął ją ratować, bez względu na wszystko.

– Dziękuję – powiedział z werwą. – To pomaga, a już zaczynałem myśleć, że nic nie może mi pomóc.

– Cieszę się – odparła równie dziarsko. – Będzie pan mógł sam masować sobie dłoń, drugą ręką. Myślę, że poprawa będzie następowała naprawdę szybko.

– Przyzwyczajam się do masowania drugą ręką.

Zamarła.

I nagle zobaczył jedną z najdziwniejszych wewnętrznych walk, jakie kiedykolwiek miał okazję oglądać. Jeden kącik jej ust uniósł się w górę, a po chwili pociągnął za sobą drugi kącik.

Lecz pochyliła głowę, zanim zdążył ujrzeć jej uśmiech. Kilka razy odetchnęła głęboko.

Kiedy spojrzała na niego, była znowu poważna i spokojna. Chociaż znacznie bardziej zarumieniona. Nagle wyobraził ją sobie schodzącą powoli po schodach i zanoszącą się śmiechem, kiedy już nie mógłby jej usłyszeć.

– Czy mam jutro wysłać list do pańskiej siostry, lordzie Lavay?

– Dziękuję, pani Fountain. Proszę go zabrać.

Zerwała się na równe nogi tak gwałtownie, że omal nie przewróciła brązowego fotela.

– Powinnam już wrócić do kuchni. Myślę, że coś się pali.

Delikatnie ujęte. Kusilo go, by powiedzieć, że to jego lędźwie płoną, ale pomyślał, że mógłby jej już nigdy więcej nie zobaczyć.

Wyszła tak szybko, że aż świsnęło.

Odprowadził ją wzrokiem.

Patrzył na drzwi jeszcze długo po tym, jak odeszła, a potem wzdrygnął się, gdy uświadomił sobie, co robił.

Zmarszczył brwi i rozejrzał się po pokoju. Trzeba będzie zapalić jeszcze jedną lampę. Wewnątrz dziwnie pociemniało.

Spojrzał na swoją dłoń, spróbował ją zgiąć. To było dziwne uczucie – w końcu ją odzyskać. Co jeszcze dziwniejsze, czuł, jakby teraz jego dłoń należała do niej.

Elise wcale się nie śmiała.

Prawdę mówiąc, gdyby miała pod ręką jakiś wazon, z przyjemnością cisnęłaby nim ze schodów, aby rozbił się na drobne kawałeczki.

– Dlaczego, dlaczego, dlaczego? – pytała sufit, rozkładając szeroko ręce w geście tak przypominającym Lavaya. – Dlaczego stworzyłeś mnie kobietą, a jego mężczyzną, dlaczego stworzyłeś jego tak uroczym, dlaczego sprawiasz, że taką przyjemnością jest dotykanie go, dlaczego czuję się, jakbym dotykała płomienia, dlaczego muszę być tak kuszona? Dla niego to tylko frywolny sposób spędzania czasu, zanim dobrze się ożeni albo da się zabić. A ja nie chcę się przejmować. Nie jestem słaba. Nie potrzebuję nikogo oprócz Jacka.

Przedstawiwszy swoje pragnienia niebiańskim istotom, które mogłyby tego słuchać, poczuła się nieco podniesiona na duchu.

Co by wołała? Żeby rzucił się w paszczę niebezpieczeństwa czy w ramiona jakiejś kobiety odpowiedniej do jego pozycji?

Czy to złe, że wołałaby pierwsze?

Cicho zaśmiała się z samej siebie. Problem w tym, że... kiedy go dotknęła, poczuła chaos i spokój. Nic nigdy nie wydawało się bardziej słuszne. I nic nigdy nie wydawało się bardziej niewłaściwe.

I och, jakąż ogromną przyjemnością było dotykanie go. Ciepło jego skóry, szorstka elegancja dłoni, stwardniałych i pokrytych bliznami. To wszystko mogłoby rozpalić jej nocne marzenia tak, że trudno by było zasnąć.

Wiedziała, co mogą sprawić ręce mężczyzny, mając swobodny dostęp do ciała kobiety.

To wspomnienie otrzeźwiło ją równie skutecznie, jak ochłapanie twarzy lodowatą wodą.

Zatrzymała się i wzięła głęboki oddech, aż w końcu jej rozhuśtane emocje odzyskały względną równowagę. Lecz czuła się trochę jak Lavay; poruszała się sztywno i powoli, jakby nie chciała urazić ran.

Pomyślała, że teraz rozumie jego oszczędny budżet. Ten człowiek troszczył się o wszystko i wszystkich dookoła, oprócz samego siebie.

Zerknęła na list, który trzymała w dłoni. Zaadresowany do Marie-Helene.

Zatrzymała się i myślała przez chwilę.

Doszła do wniosku, że brakuje w nim kilku zdań, czym mogła zająć się w swoim pokoju.

I doszła do wniosku, że zadba o to, by Lavay miał coś, czym mógłby okryć swoje biedne, poranione ciało.

– Beee! – powitał ją Jack tego wieczoru. I dźgnął rogami z palców przyłożonych do głowy. – Poznałem dzisiaj anioła... no, ona będzie aniołem... ma na imię Colette.

– Hm, cóż... beee również tobie. Pewnego dnia wszyscy zostaniemy aniołami, Jack.

– Wszyscy oprócz mnie – rzekł Seamus. Wciąż dyszał ciężko, jak zwykle, po biegu za Jackiem.

– Jeszcze nie jest pan martwy, panie Duggan. Wieści, które pan dzisiaj przynosi, mogą mieć wpływ na to, czy wejdzie pan do nieba. Jack, kochanie, zapytaj Kitty i Mary o tartę...

Śmignął po schodach.

– Na plebanii właśnie skończyły się kwiaty, ale zamiast tego przynoszę nowinę –

powiedział natychmiast Seamus.

Zamknęła oczy i złożyła dłonie w niemej modlitwie.

– Mędrzy będą mieli lokajów. Pani Sneath całkiem spodobał się ten pomysł... Uważa, że doda przedstawieniu elegancji, i ma syna, który jest kupcem i podaruje materiał, szamerunki i całą resztę. Ona lubi się nim chwalić i mówić, co ja mógłbym osiągnąć, gdybym... Cóż, dość powiedzieć, pani Fountain, że sporo dla pani wycierpiałem.

– Och. – Elise odetchnęła z ulgą i usiadła na schodach. – Myślę, że będą musieli zostać w swoich butach. Ale pończochy... to znaczy... dziękuję Seamus.

– U Postlethwaite’a można dostać jedwabne pończochy. Dla pań. Może męskie też.

Mogła się tylko domyślać, skąd to wiedział.

Ale na pewno nie uda się jej wygospodarować w budżecie Lavaya pieniędzy na jedwabne pończochy dla lokajów, jakkolwiek by go przycinała i manewrowała. Oboje wiedzieli, jakie są drogie.

– Proszę powiedzieć pani Sneath, że przyślę Ramseya i Jamesa do przymiarki. Pomogę przy szyciu, kiedy będę miała wolny wieczór. I będzie mogła dysponować moim wolnym czasem przez kilka najbliższych miesięcy, jeśli pozwoli mi zatrzymać kostiumy lokajów.

– Jak pani sobie życzy, pani Fountain – powiedział, wycofując się.

– I widzimy się Pod Prosiakiem i Ostem w przyszłym tygodniu.

Zdobyła się nawet na posłanie mu całusa w powietrzu, na co on udał, że próbuje go złapać, a potem ścigał niczym motyla przez całą drogę do plebanii.

Lavay ślęczał nad mapą londyńskich doków, kiedy lokaj zapukał do drzwi.

Podniósł gwałtownie głowę.

Zmierzył go ponurym wzrokiem.

Lokaj wyglądał doprawdy niezbyt zachęcająco. Który to z nich? James? Ramsey?

Liberia poprawiłaby jego prezencję, ale od pierwszej rozmowy pani Fountain nie wracała do tego tematu, a Lavay po prostu nie potrafił sobie wyobrazić, jak mogłoby się jej udać zdobyć dwa uniformy dla lokajów. Westchnął z rezygnacją.

– Tak?

– Przyniosłem coś dla pana, milordzie.

Kimkolwiek był, trzymał w objęciach coś, co wyglądało jak workowata poduszka.

– Co to jest, u diabła?

– Pani Fountain to przysłała. To zaszyta pończocha wypełniona ziarnem i rozgrzana na piecu. Może pan przyłożyć do bolących mięśni. Powiedziała, że pan... – przerwał na moment i spojrzał w górę, jakby przypominał sobie słowa, które miał wyrecytować – ...potrzebuje czegoś ciepłego, żeby okryć „swoje biedne poranione ciało”.

Potężny lokaj położył sobie wypchaną pończochę na kark i obrócił się w jedną i w drugą stronę, demonstrując, jak należy jej używać. Następnie podał ją Lavayowi.

Philippe powoli wyciągnął rękę.

Niechętnie przyjmował dar, ponieważ odczytał przesłanie, które miało być w nim zawarte. Głęboko w trzewiach poczuł palącą kulę wstydu. Wielkie nieba, poczuł się... odrzucony.

Było to absurdalne i z całą pewnością nieznanne mu uczucie, tym bardziej że wzbudzone przez kobietę. Do tego służącą. I dlaczego miałby czuć się odrzucony, skoro ten gest był w gruncie rzeczy...

W końcu wziął pończochę od Ramseya.

– Powiedz pani Fountain...

– Tak?

Uśmiechnął się kwaśno.

– Powiedz pani Fountain, że to bardzo uprzejme z jej strony.

A ponieważ Elise zwykła dotrzymywać danego słowa i ponieważ wilebny Sylvaine z małżonką zaproponowali, że podwiozą ją swoją bryczką, udała się do pubu w swój wolny wieczór, kiedy Kitty i Mary zgodziły się zaglądać co jakiś czas do Jacka, zanim wróci, co miało nastąpić dobrze przed północą.

Gdy weszli do pubu, ogarnęła ich fala światła, muzyki i zabawy; jak na ironię, poczuli się nieco, jakby weszli na plebanię – w końcu kościół i pub miały tę samą klientelę. I podobnie jak w kościele, wydawało się, że stare belki wchłonęły odrobinę wszystkiego, co tu było: dym z kominka i z cygar, rozlane piwo, pieczone mięso i paszteciki. Stoły i krzesła były poobijane, lecz solidne i wyślizgane przez lata użytkowania.

Dla niezmiernie popularnego wilebnego zarezerwowano stół tuż przy ogniu; Elise usiadła wraz z nim i jego żoną, wśród śmiechów, szczęku szklanek, podniesionych głosów i tupotu nóg, kiedy muzycy w kącie zagraли pierwsze nuty.

Gdy weszli, Seamus miotał się w ferworze tańca. Zakończył melodramatycznym ukłonem i wyrzucił w górę skrzypce i smyczek, niczym akrobata przed publicznością w cyrku.

Rozległ się głośny gwar zachwyconych głosów i ze wszystkich stron posypały się prośby o następną melodię. Seamus wskazał smyczkiem kogoś z tłumu.

Ktoś zawołał coś, czego Elise nie usłyszała.

Ale kiedy piosenka się zaczęła, rozpoznała ją natychmiast.

Głos Seamusa i dźwięk skrzypiec przebiły się przez zgiełk, który szybko ucichł.

Czym jest dla mnie to nudne miasteczko?

Robina w nim nie ma.

Co chciałbym zobaczyć?

Co chciałbym usłyszeć?

Gdzie jest radość i zabawa?

Niech tu będzie raj na ziemi,

Och, wszyscy uciekli z tobą,

Robinie Adair.

Robin Adair. Jak na ironię, brzmi podobnie do „Philippe Lavay”. I teraz, we wszystkich następnych wersach, słyszała tylko to podobieństwo.

– Chyba potrzebuję trochę świeżego powietrza – oznajmiła nagle wikaremu i jego żonie; zanim zdążyli cokolwiek odpowiedzieć, odsunęła gwałtownie krzesło, precyzyjnie się przez tłum, wyszła na zewnątrz i oparła się o ścianę Pod Prosiakiem i Ostem, pogrążona w ciszy.

Oddechnęła głęboko.

Niebo było ciemnogramatowe. Gwiazdy były srebrzyste.

A jej oddech tworzył obłoczki pary, jak małe, białe duszki.

Kilka minut później drzwi otworzyły się gwałtownie i Elise drgnęła zaskoczona.

Ktokolwiek je otworzył, czekał chwilę w ciemności.

– Niebo jest ciemnobłękitne, pani Fountain.

To był Seamus.

Uśmiechnęła się.

– Liberie będą piękne. Jeszcze raz dziękuję, panie Duggan. Wyszłam na chwilę, żeby pomyśleć, jak mogłabym zdobyć jedwabne pończochy dla dwóch bardzo wysokich lokajów. Są strasznie drogie.

Seamus oparł się o ścianę obok niej, trzymając skrzypce w opuszczonej ręce.

– Och, nie jestem pewien, czy to dlatego pani tu wyszła. Tam w środku jest wesoły tłum,

dobrzy przyjaciele, dobra muzyka i najlepsze piwo w całej Anglii. A jednak wygląda pani na samotną i stoi tutaj sama pod gwiazdami.

Westchnęła.

– Pięknie pan gra, panie Duggan.

– Aha – przyznał skromnie. – Podobało się pani?

– Och, może i tak. Ale nie z powodu, na jaki pan liczy.

Wyszło bardziej opryskliwie, niż zamierzała.

Zapadła cisza.

– Mam więcej zalet, niż ludzie wiedzą, pani Fountain – powiedział cicho.

Wygląda na to, że uraziła dumę Seamusa Duggana.

Wygląda na to, że ostatnio bardzo często zdarzało się jej ranić uczucia innych.

Mówiła coś, czego nie powinna, robiła coś, czego nie powinna. Dotykała rąk, których nie powinna dotykać i tak dalej. Nigdy nie uważała się za jędzę i wcale jej się to nie podobało.

– Przypuszczam, że ludzie wyciągają wnioski na podstawie tego, co widzą, panie Duggan. A ostatnio wszyscy widzieli, jak skradł pan całusa pannie Annie Wimpole.

Roześmiał się.

– Życie jest wielkim bufetem, z którego można podkraść drobne przyjemności. Czyż nie?

– Myślę, że mężczyznom częściej uchodzi płazem podkradanie tych przyjemności niż kobietom.

Parsknął krótkim, smutnym śmiechem.

– Taak. Pewnie ma pani rację.

– Panie Duggan, jestem pewna, że interesuje się pan mną tylko dlatego, że ja nie jestem zainteresowana panem.

– Nie, to nie jedyny powód – powiedział przebiegle, lecz nie wyjaśnił, co ma na myśli, i wcale nie sprawiał wrażenia urażonego.

– Do kogo należy pani serce, pani Fountain? – Jego głos złagodniał. – Bo jedno, co na pewno umiem rozpoznać, to kiedy kobieta oddała komuś serce, nie dostając nic w zamian.

Była wstrząśnięta.

Wcale nie chciała, by otaczali ją mężczyźni mówiący jej niewygodne prawdy.

Milcząc, zapewne przyznawała się do winy, ale nie przychodziła jej do głowy żadna gładka odpowiedź.

Lecz na pewno nikomu nie „oddała serca”. Cóż za absurdalnie poetyckie określenie, do tego w ustach sentymentalnego Irlandczyka nasączonego piwem.

A jednak nie potrafiła myśleć o niczym innym niż o tym, jak cudownie byłoby stać przed pubem i oglądać gwiazdy w towarzystwie lorda Lavaya, być może nawet opierając się o jego szeroką pierś, wręcz stworzoną do tego, by się o nią opierać.

To było najbardziej nierealne i beznadziejne marzenie, jakie mogło przyjść do głowy kobiecie, a ona nie miała do niego prawa.

Ale coś jest nie w porządku, kiedy uczucie jest tak potężne i rozpierające, że wolisz zostać z nim sama na zewnątrz wśród gwiazd niż przebywać w gwarnej sali pełnej radosnych, rozbawionych ludzi, bardziej odpowiednich dla jej... Jak brzmiało to słowo? Ach tak, pozycji. Oczywiście.

– Nie jestem taki najgorszy – powiedział najzupełniej poważnie Seamus.

– Wcale nie – przyznała wielkodusznie.

Roześmiał się i odwrócił w stronę drzwi.

– Poproszę, żeby wielebny Sylvaine odwiózł panią do domu, jeśli pani chce.

– Zostanę jeszcze trochę – powiedziała mężnie.

I została.

Z panią Fountain u steru, dzień po dniu, pokój po pokoju, Alder House stawał się czystszy, jaśniejszy, bardziej wygodny. Bardziej podobny do domu. Poprawiły się posiłki. Poprawiło się morale. Poprawiła się atmosfera. Poprawiło się zdrowie Lavaya.

Nie poprawił się nastrój Lavaya.

Albo raczej przekształcił się w niepokój, a teraz, dzięki herbatce pani Fountain i jej radzie, by sam się masował, nieco łatwiej było mu się poruszać, dlatego zaczął chodzić po domu, wyglądać przez okna, zaskakiwać pokojówki przy pracy. Kiedy nie padał deszcz, wychodził do ogrodu, a pewnego razu wypuścił się aż do sklepu Postlethwaite'a, choć po powrocie przyszło mu za to zapłacić. Pokręciło go – jego, który zawsze był tak bez wysiłku sprawny; czuł mrowienie w całym ciele i wcale nie było to przyjemne. Musiał się położyć i odpocząć, co doprowadzało go do wściekłości, ale to wywoływało w nim napięcie, więc starał się zrelaksować i oddychał miarowo.

Jeśli będzie cierpliwy, nim zima dobiegnie końca, może znowu dosiąść konia. Ale cierpliwość była umiejętnością, której musiał się nauczyć, tak jak niegdyś uczył się szermierki lub gry w szachy. Przez ostatnie lata cierpliwość nie była mu do niczego potrzebna. Od tak dawna składały się na nie beztrioskie, natychmiastowe reakcje.

Co dziwne, w czasie swych niespokojnych wędrówek rzadko spotykał panią Fountain. Może wyrobiła sobie instynkt, który pomagał jej go unikać.

Mógłby znaleźć jakiś pretekst, żeby się z nią zobaczyć. W końcu płacił jej za to, by reagowała na jego dzwonek. Lecz ona trzy razy dziennie przysyłała lokaja z herbatą z wierzbowej kory, a on przyjmował każdą filiżankę niczym pokutę.

On i pani Fountain byli niemal jak dwoje ludzi otrząsających się z kłopotliwej sytuacji, jakby przyłapała go na dłubaniu w nosie lub drapaniu się w intymne miejsce. Z przyczyn, których nie umiałby określić, czuł, jakby był nagi.

A kiedy starał się leżeć spokojnie i doskonalić umysł lekturą Marka Aureliusza, uświadomił sobie, że jeszcze dwa listy wymagają odpowiedzi. Charakter jego pisma wciąż jeszcze był niedoskonały, z powodu niesprawnej ręki. Oba listy wiązały się z podjęciem decyzji, które miały wpłynąć na całe jego dalsze życie. I żadnej z tych decyzji nie mógł odwlekać w nieskończoność.

Pływał po morzach, przeżył starcie z motłochem w czasie rewolucji i pokonał sześciu zbirów w Londynie.

W najśmielszych marzeniach nie przypuszczał, że będzie musiał zebrać całą odwagę, by zadzwonić po swoją gospodynię.

Elise była aż nazbyt świadoma, jak rzadko odzywał się ostatnio jej dzwonek. Ale to nie była martwa cisza. To była cisza pełna napięcia. Trochę jak chwile oczekiwania między potyczkami w czasie wojny – a może raczej jak przerwy między częściami symfonii. Ta melodramatyczna metafora przyszła jej do głowy, kiedy leżała w nocy, nie mogąc zasnąć. Trzymała się za własną rękę i wyobrażała sobie, że to dłoń Lavaya.

Obiecała sobie, że dziś już czegoś takiego nie zrobi.

Doszła do wniosku, że ta cisza stanowi doskonałą okazję, by stłumić wszystkie swoje nedorzeczne fantazje, odzyskać kontrolę i kiedy następnym razem zadzwoni – bo była pewna, że zadzwoni – wcale nie poczuje ukłucia w sercu.

Poza tym na razie miała bardziej przyziemne zmartwienia. Na przykład: jak, u diabła, zdobyć jedwabne pończochy dla lokajów? Liberie wymagały już tylko wykończenia, a James i Ramsey wyglądali w nich niezwykle elegancko.

Kiedy już położyła Jacka, sama w pokoju, wyjęła wszystkie szpilki z włosów, włożyła je starannie do miseczki na biurku i sięgnęła po szczotkę z kości słoniowej, którą dostała od matki w dniu czternastych urodzin.

Sto pociągnąć przed zapleceniem warkocza. Przepis na tartę jabłkową, na napary z ziółek i maści do ciała. Potrzeba piękna i czerpanie z niego przyjemności, umiejętność znajdowania go w skromnych, codziennych rzeczach. Matka nauczyła ją tego wszystkiego. Były do siebie podobne pod tak wieloma względami, od wielkich, ciemnych oczu, po bystry umysł.

Teraz, kiedy sama była matką, nie mogła sobie wyobrazić, że matka kiedykolwiek ją kochała, skoro odsunęła się od niej. Nic nie powstrzymałoby jej przed kochaniem Jacka, nawet gdyby – niech Bóg broni! – trafił na szafot, a wtedy zrobiłaby wszystko, co w jej mocy, żeby z niego zniknął w kłębach dymu i został bohaterem ludowych legend jak Colin Eversea.

Dotknęła kciukiem inicjałów wygrawerowanych na szczotce do włosów. ELF. Elise Louise Fountain.

Niegdyś sądziła, że miłość jej rodziców jest równie trwała jak te inicjały.

Ostatnie lata osłoniły ranę, niczym warstwy waty, ale kiedy była zmęczona, czuła ją, jak stary uraz sprawiający ból w czasie deszczu.

Miała jeszcze jedną szczotkę. Ale to ta była, jak powiedziała lordowi Lavayowi, jedną z niewielu rzeczy, jakie zabrała, kiedy powiedziano jej, że ma opuścić rodzinny dom na zawsze. Była jej bardzo droga, dzięki niej czuła się kochana i dorosła.

I już wiedziała, jak zdobyć jedwabne pończochy.

Bo nauczyła się, że kiedy jest jej najgorzej, może znaleźć przyjemność w uszczęśliwianiu innych ludzi, a teraz mogła uszczęśliwić Jamesa i Ramseya.

Ale przede wszystkim mogła uszczęśliwić lorda Lavaya; jeśli miała być szczerą wobec samej siebie, musiała przyznać, że na tym najbardziej jej zależało. A zwykle była wobec siebie bezwzględnie i bezlitośnie szczerą.

– Doszłaś do setki, mamgo?! – zawołał Jack, doskonale znający wieczorną rutynę.

– Do setki. Zaraz będzie opowieść na dobranoc.

– Ta o lwie?

– Oczywiście – odparła.

Następnego dnia pan Postlethwaite był właśnie zajęty układaniem w gablocie grzebieni, kiedy u drzwi sklepu rozległ się dzwonek.

Odwrócił się i uśmiechnął promiennie do Elise.

– Dzień dobry, pani Fountain. Czy przyniosła pani listy do wysłania?

– Mam dla pana propozycję, panie Postlethwaite.

– Och, nieczęsto już piękne młode damy składają mi propozycje. Słucham z uwagą.

– Czy byłoby możliwe wymienienie tego na dwie pary jedwabnych pończoch?

Jedwabnych męskich pończoch?

Pokazała mu szczotkę do włosów.

Trzeba przyznać, że pan Postlethwaite nawet nie mrugnął. Wziął szczotkę do ręki, ważył ją w dłoni, oglądał uważnie wprawnym okiem kupca.

– Ach, jest piękna, pani Fountain. Te inicjały... to pani?

– Tak.

– ELF. Doprawdy niezwykle.

– Tak sądzę. Czy myśli pan, że ktoś ją kupi, nawet z takimi inicjałami?

– O, z pewnością. W końcu. To piękna szczotka, a inicjały nie rzucają się w oczy. Taka transakcja będzie dla mnie przyjemnością. Proszę wybrać pończochy, pani Fountain.

Następnego ranka Philippe obudził się gwałtownie. Znowu wydawało mu się, że słyszy jakieś szepty za drzwiami.

I wtedy, jak można było oczekiwać, rozległo się pukanie.

Ziewnął.

– Wejść – wychrypiał.

Drzwi otworzyły się z impetem. Ku jego zaskoczeniu odezwał się męski głos:

– Jestem do usług, milordzie, gdyby potrzebował pan pomocy przy ubieraniu.

Lavay usiadł i patrzył. Przetarł oczy pięściami i spojrział jeszcze raz.

Oczywiście śniło mu się, że znowu jest w Pierres d'Argent. Ponieważ naprzeciwko niego stał wysoki, elegancki lokaj...

...w ciemnobłękitnej liberii.

Ze srebrnymi obszyciami.

Philippe wstał z łóżka i obszedł go dookoła, jakby był duchem.

Powoli uniósł rękę i lekko szturchnął go palcem.

Lokaj nawet nie drgnął.

– Kim jesteś, u diabła? – spytał w końcu.

– Jestem Ramsey, milordzie. Pański lokaj, milordzie.

– Jesteś jednym z dwójki lokajów, którzy byli w tym domu?

– Tak, milordzie.

– Dlaczego to ty przyszedłeś?

– Wygrałem rzut monetą.

– Wy...

– Pani Fountain nie mogła zdecydować, którego z nas wysłać do pana, ponieważ obaj, jak powiedziała, „się nadajemy”. Więc rzuciliśmy półpensówką, milordzie. Wypadł lew i oto jestem.

Philippe cofnął się i przyjrzał mu uważnie. Ostrożnie pokręcił głową. Lokaj wyglądał zjawiskowo, w doskonale skrojonej liberii, kamizelce w pasy, jasnych jedwabnych pończochach i butach wypolerowanych niczym lusterka.

Lavay roześmiał się z podziwem.

– Hm, jesteś *magnifique*, Ramsey.

– Dziękuję, milordzie. Tak mi się wydaje.

– Dziękujesz – potwierdził Philippe. – To znaczy, że wyglądasz wspaniale.

Ramseyowi nawet brew nie drgnęła. Był niewzruszony i majestatyczny. Trzymał się prosto jak maszt okrętu. Był w każdym calu takim lokajem, jakich zawsze znał Philippe.

Fala podziwu ogarnęła go niczym słoneczny blask.

– I dziękuję, milordzie, że był pan tak uprzejmy i pomyślał o mnie i Jamesie. Pani Fountain powiedziała nam, że to był pana pomysł.

Niezwykle sprytnie strategiczne posunięcie ze strony pani Fountain.

– Pani Fountain poczyniła pewne sugestie, na które przystałem. Nigdy nie zapominajcie, jakie macie szczęście, że to ona kieruje domem, Ramsey. Ona jest... jest prawdziwym cudem.

– Oczywiście, milordzie. Trzyma wszystko silną ręką.

Lavay się lekko uśmiechnął. Nagle poczuł się bardzo lekko.

– Proszę powiedzieć, w czym mogę się przydać, milordzie.
– Cóż... jak sobie radzisz z brzytwą, Ramsey?
– Mógłbym ogolić pupę niemowlaka i nawet jej nie drasnąć, milordzie.
– W takim razie przypuszczam, że uda ci się ogolić i mnie.
– Ależ oczywiście, milordzie. Czy mogę zasugerować spodnie z nankinu, jeśli zamierza pan wychodzić dziś z domu? Pogoda nie jest najlepsza, milordzie.
– Dziękuję, Ramsey. Ale kiedy już doprowadzimy mój wygląd do porządku, chciałbym, żebyś zrobił dla mnie coś jeszcze.

Elise czekała z zapartym tchem na powrót Ramseya, ale nie spodziewała się, że lokaj wróci biegiem.

– Szybko, pani Fountain! Nie ma czasu do stracenia! Lord Lavay chce, żeby pani wzięła wazon ze swojego pokoju i przyniosła mu go natychmiast!

– Żeby co? Ale co powiedział o...

– Szybciej, pani Fountain! Szybciej!

No cóż, dobrze.

Policzki piekły ją z rozczarowania. Może tak bardzo nie spodobała mu się liberia, że chciał czymś rzucić, a wrodzona oszczędność kazała mu wybrać coś skromnego, a nie kosztownego.

Z ciężkim sercem weszła po schodach do swojego pokoiku.

I stanęła jak wryta.

Pod oknem stał brązowy aksamitny fotel i mały stolik do pisania. Proste drewniane krzesło, które wcześniej zajmowało to miejsce, zostało najwyraźniej gdzieś wyniesione.

Podeszła powoli, jakby miała halucynacje.

Innymi słowy, zupełnie tak samo, jak lord Lavay podchodził do lokaja.

Najpierw go okrążyła, a potem ostrożnie pogładziła miękką, tak już znajomą aksamit.

– Co tutaj robisz? – spytała.

Fotel pozostał nieprzenikniony.

Roześmiała się z zachwytem i zamknęła oczy, czując ogarniającą ją radość, ciepłą, miękką i jasną. Uniosła dłonie do twarzy i opuściła.

Sięgnęła po wazon, choć przypuszczała, że był to tylko wybieg.

Odwróciła się i oszołomiona zeszła po schodach, odruchowo kierując się do kuchni. Tam wszystkie meble były na swoim miejscu.

Potem zatrzymała się i obejrzała swoje odbicie w najbliższym wypolerowanym przedmiocie (którym był dzbanek do kawy) i z niestosownym pośpiechem rzuciła się ku schodom.

Pamiętała o tym, by już bliżej drzwi zacząć iść bardziej dostojnym krokiem, i kiedy dotarła na miejsce z wazonem w ręce, wyglądała już na najzupełniej spokojną.

Ale oczywiście serce jej zadrżało, kiedy go zobaczyła. Ani trochę nie zbrzydł w ciągu ostatnich dni.

– Dziś rano obudził mnie lokaj, pani Fountain – zaczął bez żadnego wstępu Lavay. Zupełnie jakby rozmawiali wczoraj, a nie kilka dni temu.

– Doskonale, milordzie.

– Zaproponował, że mnie ogoli i ubierze.

– Czy skorzystał pan z tej propozycji?

– Co pani myśli o moim podbródku, pani Fountain?

– Jest bardzo błyszczący.

Na jego wargach zaczął się pojawiać uśmiech, który otulił ją niczym złocista siatka. Ona

także nie mogła się nie uśmiechnąć.

Przez chwilę napawali się nawzajem swoim szczęściem.

– Jak pani to zrobiła, pani Fountain? – spytał pełnym podziwu szeptem.

– Dzięki pomysłowości, milordzie.

Roześmiał się radośnie.

W miejscu, gdzie zwykle siadała, zobaczyła fotel, przyniesiony z drugiego, mniejszego gabinetu. Był w kolorze rumu i także wyglądał na całkiem wygodny. Widziała go w jednym z pokojów, ale nigdy na nim nie siedziała.

– Lordzie Lavay, w moim pokoju jest brązowy aksamitny fotel. Czy wie pan dlaczego?

– Doprawdy? To zadziwiające. Może tęsknił za panią i pani pieszczołą. Może wszedł tam na własnych nogach.

Przemaszerował palcami po biurku, zapewne demonstrując, jak fotel wchodził po schodach.

– Moją pieszczołą?

Twarz omal jej nie zapłonęła. Oczywiście zauważył, jak dotykała fotela. Wszystko zauważał. Również to, jak teraz się zaczerwieniła.

Jeszcze raz przemaszerował palcami po biurku.

– Widzi pani? Jeszcze tydzień temu nie mógłbym tego zrobić tak swobodnie. Wkrótce znowu będę mógł dzielnie walczyć z opryszkami.

To ją najwyraźniej przeraziło, ponieważ nagle spoważniała.

– Daję pani ten fotel, Fountain. Pani dała mi lokajów i sprawiła, że poczułem się jak w domu, jak nie czułem się od bardzo dawna. To uczciwa wymiana, *n'est-ce pas?* Jako pani pracodawca chcę, żeby pani przyjęła mój prezent. Jest w mojej rodzinie od pokoleń. Prawdę mówiąc, przez pewien czas służył nawet jako tron.

Wielkie nieba. Teraz była bliska omdlenia.

– To był tron?

– Na miłość boską, nie, pani Fountain. – W jego głosie zabrzmiała udręka. – Myślałem, że jest pani sprytniejsza. To tylko dwa pokolenia. I zdaje się, że moja ciotka Louise-Anne na nim umarła. Miała dziewięćdziesiąt lat, zamknęła oczy, umarła i spadła z fotela, grając w faraona. Tak przynajmniej głosi rodzinna legenda.

Roześmiała się.

– Ale nie mogę zatrzymać pańskiego fotela. To rodzinna pamiątka.

Prawdę mówiąc, za ten fotel ona i Jack mogliby przeżyć kilka lat.

– Oczywiście. Ale teraz to pani rodzinna pamiątka. Jeśli mi pani nie wierzy, mogę go zawołać i zobaczyć, czy do mnie przyjdzie. Jeżeli nie, to znaczy, że należy do pani.

Parsknęła śmiechem i pokręciła głową.

– Ja... nie wiem, co powiedzieć.

– Proszę powiedzieć: „dziękuję, lordzie Lavay”.

Odetchnęła głęboko.

– Dziękuję, lordzie Lavay.

Uśmiechnął się do niej z aprobatą.

– Być może zakocha się pani również w tym. – Wskazał fotel, który zajął miejsce brązowego aksamitnego.

Słowo „zakocha” zawibrowało w powietrzu niczym bicie serca, tym bardziej że wszystkie jej zmysły były wyostrzone.

Przez chwilę oboje wyglądali na skonsternowanych.

– Zastanawiałem się, czy byłaby pani tak miła – dodał pośpiesznie – usiadła w tym

nowym fotelu i napisała dla mnie list, pani Fountain.

– Z przyjemnością.

Usiadła w nowym fotelu – również całkiem wygodnym – wsunęła się, aż jej plecy dotknęły oparcia, i wzięła do ręki pióro.

Philippe wyszedł na środek pokoju, gotowy zacząć dyktować.

– Doskonale. To będzie do młodej damy, więc proszę się starać pisać pięknie, pani Fountain.

– Piszę wyłącznie pięknie, lordzie Lavay.

– Oczywiście, pani Fountain. Zacznijmy:

Najdroższa Alexo.

Pisała szybko i sprawnie.

– *Tyle czasu minęło, ale, jak piszesz z nadzieją w swoim liście, jestem rzeczywiście niezniszczalny i wszystkie istotne części mojego ciała pozostały nienaruszone. Jak możesz wątpić, czy chciałbym Cię zobaczyć, skoro wiesz, że sama Twoja obecność jest niczym wiosna w środku zimy i tak dalej? Nawet teraz słyszę Twój śmiech, ale jak mógłbym się oprzeć tej hiperboli, skoro wiem, że Cię rozbawi? Pani Fountain? Dlaczego pani nie pisze?*

– Och, proszę wybaczyć. „...że Cię rozbawi...”

Ale to... kim jest ta Alexa? I czemu jego proza zaczęła się nagle tak iskrzyć humorem?

Brzmiało to stanowczo zbyt entuzjastycznie, żeby mogło chodzić o jego siostrę.

– *Równie uroczym jest być znanym, jak przeżyć w Londynie atak, który zabiłby większość mężczyzn. Ogromnie żałuję, że nasze drogi się nie przecięły, kiedy ostatnim razem bawiłaś w Pennyroyal Green, i będę darł szaty, jeżeli nie zawitasz tu przed moim powrotem do Paryża.*

Zamilkł.

– Czy sądzi pani, że „będę darł szaty” to odrobinę za dużo, pani Fountain?

– Nie, o ile nie przeszkadza panu to, że złamie pan serca swoich nowych lokajów pokojowców, którzy uważają, że ma pan piękne ubrania.

– Lady Prideux uważa, że jestem zabawny, pani Fountain. Czuję się odpowiedzialny za podtrzymanie tej iluzji.

Zamarła.

Pióro zawisło nad kartką, nie dotykając go, niczym ptak zastygły w locie.

Opuściła je bardzo, bardzo powoli.

Była niezwykle nieruchoma.

Jakby coś ją bolało.

– Zauważyłem, że nie wzbudziło pani sprzeciwu słowo „iluzja”. Doprawdy, czuję się dotknięty, pani Fountain. W pewnych kręgach jestem uważany za czarującego.

Drażnił się z nią. Łagodnie.

Wyraz jej twarzy, pusty i oszołomiony, był zastanawiający.

Odchrząknęła.

– Lady Prideux? – spytała cicho. Nie patrzyła na niego. Jej wzrok był utkwiony w kartkę.

– Nasze rodziny przyjaźnią się, od kiedy się urodziłem. W czasie rewolucji ponieśli odrobinę mniejsze straty niż my, zarówno jeśli idzie o członków rodziny, jak i majątek – wyjaśnił krótko.

Czuł, że w pokoju narastało napięcie, i nie był pewien dlaczego.

– Ach – powiedziała po chwili. Parsknęła dziwnym, krótkim śmiechem.

W końcu na niego spojrzała. Patrzyła tak, jakby widziała go po raz pierwszy; albo raczej jakby po raz pierwszy widziała go wyraźnie.

Wydawało się, jakby przestała oddychać.

I dlaczego, na miłość boską, tak zbladła?

Odchrząknęła.

– Czy to wszystko, co chce pan napisać lady Prideux, lordzie Lavay?

– Nie – odparł z łagodnym rozbawieniem. – To nie wszystko. Byłaby pani tak miła, pani Fountain? Czy ma pani jakieś fotele do pieszczona?

– Oczywiście.

Wyprostowała się, jakby ją poprosił o podniesienie stołu, a nie pióra.

– *Mam nadzieję zorganizować spotkanie w domu, który wynajmuję, droga Alexandro, a jeśli wrócisz, na pewno to zrobię. Nic nie sprawia mi większej przyjemności niż wyobrażanie sobie, że znowu z Tobą tańczę, a możliwość ucałowania Twej dłoni sprawi, że zima stanie się cieplejsza. Zawsze twój... Tu podpiszę, jak zwykle.*

Siedziała spokojna, nieruchoma, sztywna i oficjalna; blask zniknął z jej twarzy. Zupełnie jakby radość poprzednich kilku chwil nigdy nie istniała. Był zaskoczony.

– Jeżeli to wszystko, lordzie Lavay, zajmę się wysłaniem listu.

– Zajmę się tym jutro, pani Fountain. Dobrze mi zrobi spacer do sklepu Postlethwaite’a.

– Doskonale.

Nie poruszyła się. Jakby znowu cierpiała jakiś wielki ból.

– Czy coś panią dręczy, pani Fountain? Czy sądzi pani, że ten fragment o całowaniu dłoni jest zbyt kwiecisty?

– Nie. Jeśli nie potrzebuje pan ode mnie nic więcej...

Wstała gwałtownie i odwróciła się do wyjścia, jakby w pokoju wybuchł pożar. Była już prawie przy drzwiach i wtedy ogarnęło go coś bliskiego panice.

– Na przykład gdybym miał panią pocałować, nigdy by pani tego nie zapomniała.

Niemal zarzucił na nią te słowa, jak sieć.

Zamarła w pół kroku.

Zupełnie jakby trafił ją strzałą w plecy.

I odwróciła się tak gwałtownie, że spódnica jeszcze się kołysała, kiedy ona już nieruchomiała.

Wyglądała na wstrząśniętą.

To mu nie schlebiało.

– Pani Fountain, zbladła pani. Jestem aż tak odpychający? Myślałem, że z nową blizną wyglądam zawiadziako.

Ale te słowa zabrzmiały niezręcznie. Zamierzał tym żartem zamaskować poważne pytanie, ale poniósł sromotną klęskę.

Pokręciła głową.

– Nie powinien pan drażnić się ze mną w ten sposób. – Jej głos był dziwnie ochryply.

Próbowała się uśmiechnąć, ale uśmiech spłynął z jej twarzy jak malinowa galaretka.

Podszedł do niej nagle, zaniepokojony.

Cofnęła się o krok.

– Drażnić się z panią? – spytał cicho, z napięciem w głosie.

Uświadomił sobie, że pali ją spojrzeniem, kiedy spuściła oczy.

Natychmiast tego pożałował, ponieważ chciał zaobserwować, jaki efekt wywrą jego słowa, a to, co zobaczył, było bardziej ekscytujące, niż powinno.

Ale jeśli miał być uczciwy wobec samego siebie, nie powiedział tego bez powodu.

Zapadła pełna konsternacji cisza.

Ona cierpiała, a on nie był pewien dlaczego. Wiedział tylko, że nie zniesie tego dłużej.

– Pani Fountain – powiedział łagodnie. – Czasami zapominam, że jestem Francuzem, a

inni nie. Anglicy są bardziej powściągliwi. My mówimy o takich sprawach jak o pogodzie.

Spojrzała na niego, jakby chciała sprawdzić, czy mówi prawdę.

– Ale zwykle nie z gospodyniami.

Powiedziała to spokojnie, jakby zwracała na coś uwagę dziecku, które jeszcze nie wszystko rozumie.

A jednak w jej słowach zadźwięczała nuta pytania.

Znieruchomiał.

Zaskoczony, w głowie miał kompletną pustkę.

I w jednej chwili poczuł się zawstydzony.

A potem ogarnął go podziw.

Niech go diabli, jeśli nie powiedziała prawdy.

Ona nie jest zabawką. Nie istnieje po to, żeby poprawiać mu humor. Nie jest jedną z kobiet należących do jego świata, dla których flirt jest po prostu drugim językiem, a prezenty nie mają żadnego znaczenia.

Ale jest kobietą. Ma swoje uczucia, zapewne swoje sekrety, a teraz cierpi.

Czy to... z jego powodu?

A może tylko próżność mu to podpowiedziała?

Ta myśl wprowadziła go w uniesienie, które bał się analizować.

Ale poczuł się głęboko nieszczęśliwy z powodu tego, że sprawił jej ból.

– Być może zapomniałem, gdzie jest moje miejsce – burknął w końcu.

Odetchnęła głęboko, jakby zbierała się na odwagę.

– Ja nie zapomniałam, gdzie jest moje.

Właśnie wtedy pomyślał, że to najgorsze słowa, jakie kiedykolwiek usłyszał.

Poczuł na karku początki oblewającego go rumieńca.

Kiedy ostatnim razem się rumienił?

Może kiedy miał czternaście lat.

– Proszę mi wybaczyć, jeśli niechcący panią uraziłem – powiedział sztywno.

– Och, nie ma czego wybaczać – odpowiedziała pospiesznie i posłała mu szczerý uśmiech. Uśmiech, przy którym robił jej się szelmowsko szpiczasty podbródek i dołki w policzkach, a oczy błyszczały jak gwiazdy. – Nic pan nie poradzi na to, że jest Francuzem.

Jej uśmiech zniknął zbyt szybko.

Philippe uświadomił sobie, że zaczął nieco za bardzo pragnąć znowu go zobaczyć.

To było lepsze niż laudanum. Lepsze niż brandy. A nawet niż paskudna herbata z wierzbowej kory.

A ona zawsze czuła się znacznie lepiej, niosąc mu ulgę w cierpieniu niż zajmując się własnym.

Ponieważ „upokorzony” było jeszcze jednym nieznanym mu stanem, milczał i zastanawiał się. Był zagubiony po raz pierwszy od... sam nie pamiętał, od kiedy.

– Jeśli w tej chwili nie ma pan dla mnie żadnych innych poleceń, milordzie, muszę dopilnować tart jabłkowych, inaczej się spalą. I dla przypomnienia, mam dzisiaj wolny wieczór.

– Proszę iść. Nic nie jest ważniejsze niż jabłkowe tarty. Miłego wieczoru, pani Fountain.

Ale sam słyszał, że jego głos był dziwnie zmieniony.

Nie miał pojęcia, czym zranił jej uczucia.

Dygnęła i minęła go pędem.

Odprowadził ją wzrokiem, obracając się, jakby on był kurkiem na dachu, a ona wiatrem. Czuł się bezradny.

Następny dzień zaczął się bardzo wcześnie i dość niewinnie, jeśli nie liczyć zasnutego chmurami nieba i padającego co pewien czas ulewnego deszczu, który zatrzymał Jacka w domu, w pomieszczeniach dla służby. Nikt nie miał nic przeciwko temu, ponieważ jego obecność była niczym powiew wiosny, toteż całkiem poważnie groziło mu absolutne rozpieszczenie przez wszystkich. Elise i służącym udało się osiągnąć porozumienie, a nawet ducha współpracy – naprawdę, wszystkim było przyjemnie przebywać w nieskazitelnie czystym domu, ze strategicznie rozmieszczonymi tu i ówdzie wazonami kwiatów; lokaje także wyglądali imponująco.

Właśnie wszyscy razem, również Jack, jedli śniadanie.

Nawet Dolly była... urocza.

Elise postanowiła dać sobie spokój z podejrzeniami i pogratulować odniesionego zwycięstwa.

Jack, być może kierując się instynktem, który pozwala dzieciom i zwierzętom wyczuwać ludzi, zwykle milkł w pobliżu Dolly i obserwował ją wielkimi, czujnymi oczami, które stawały się jeszcze bardziej czujne, kiedy się uśmiechała.

Na szczęście Dolly miała pół wolnego dnia i nie zamierzała z tego rezygnować, bez względu na burzę.

Odsunęła od siebie pusty talerz i czknęła głośno, przykładając pięść do mostka.

– Wkładam tylko płaszcz i idę, pani Fountain.

– Chcesz wychodzić w taki deszcz, Dolly? – Elise nalała do dzbanka kawę dla lorda Lavaya i dodała filiżankę herbaty. – Może wolisz odebrać sobie później cały dzień?

– Och, nie będzie tak lało przez cały czas, pani Fountain. Siostra prosiła, żebym ją odwiedziła, i czeka na mnie.

Elise stanęła na palcach i wyjrzała przez okno. Na końcu dojazdu do domu zobaczyła czekającą bryczkę z potężnym, szczelnie okutym woźnicą. Trzeba być szalonym albo zdesperowanym, żeby wychodzić w taką pogodę. Robiło się niemal niebezpiecznie.

Zmarszczyła brwi.

Wszyscy rozeszli się do swoich zajęć – Kitty i Mary do sprzątnięcia kuchni, lokaj sprawdzić kominki, a Elise doszła do wniosku, że to będzie dobry moment na nadgonienie polerowania sreber. Sięgnęła po klucze i zamarała.

Kredens z porcelaną wydawał się niedomknięty.

Skoczyła do niego, jednym szarpnięciem otworzyła drzwi i zajrzała do środka, czując, że serce pochodzi jej do gardła.

Niestety, jej podejrzenia się potwierdziły: mała błękitna sosjerka zniknęła.

Pociemniało jej w oczach z wściekłości.

Odwróciła się i nasłuchiwała. Dolly nie pojawiła się na schodach dla służby. A zwykle już z daleka słychać było, jak schodzi.

Dolly mogła być duża, ale Elise była szybsza.

– Jack, zostań w kuchni – poleciła, zamykając kredens, i puściła się biegiem.

Dopadła Dolly wychodzącą pospiesznie przez frontowe drzwi.

Dolly była spowita w obszerny płaszcz.

I, co ciekawe, niosła wypchaną walizę.

Elise stanęła przed nią, zagradzając wyjście.

– Będzie się pani musiała przesunąć, pani Fountain – wycedziła Dolly. – Moja siostra całkiem tam przemoknie.

– Dlaczego niesiesz walizkę, Dolly?

Dolly nie ruszyła się z miejsca. Wolną rękę trzymała pod płaszczem.

– Myślę, że to nie pani sprawa, pani Fountain – powiedziała uprzejmie, przez co jej słowa zabrzmiały złowieszczo.

– Pokaż mi, co masz w ręce, Dolly.

Dolly pozostała niewzruszona jak głaz.

– Już – warknęła Elise.

Dolly gwałtownym ruchem wyjęła rękę spod płaszcza; z rozszerzonymi ze zdumienia oczami wyglądała jak marionetka, którą ktoś pociągnął za sznurki.

W potężnej garści trzymała błękitną sosjerkę z sewskiej porcelany.

Elise poczuła się zdradzona. Jak, jak, jak mogła być tak głupia?

Kipiała z wściekłości. Już wcześniej komuś zaufała i przyszło jej tego żałować, nie zamierzała dopuścić, by to się powtórzyło.

– Dlaczego masz tę sosjerkę? Zamierzałaś jej użyć jako popielniczki na swojej wycieczce z „siostrą”? – pytała cichym, złowieszczym głosem.

Cisza była wręcz ogłuszająca.

Elise była mniejsza od Dolly, ale gniew promieniował z niej niczym z najeżonego futerka rozjuszonego kota. Czuli się trzy razy większa i dwadzieścia razy bardziej niebezpieczna.

Dolly wciąż milczała.

– Jak się dostałaś do komody, Dolly?

– Och, biedactwo, myślisz, że jesteś taka mądra i sprytna, a jesteś tylko amatorką. Taka uprzejma i słodziutka. Wystarczy raz stuknąć pięścią i się otwiera.

Elise patrzyła na nią zdumiona.

– Myślałam, że się porozumiałyśmy. – Z zaskoczeniem uświadomiła sobie, że pod wściekłością kryją się zranione uczucia i duma.

– Lepiej być szybką niż miłą, pani Fountain. A teraz, jeśli byłaby pani uprzejma się odsunąć...

– Posłuchaj mnie, oszustko. Właśnie zostałaś zwolniona bez referencji. Nie obchodzi mnie, co się z tobą stanie. Masz szczęście, że nie zależy mi na tym, żeby cię powieszono za kradzież.

Dolly w końcu pobladła, co nie było miłym widokiem.

Pierwsza właściwa rzecz, jaką zrobiła od przybycia Elise.

– To tylko jeden drobiazg. Ten bogaty gość ma tyle rzeczy, a ja...

– A ty co? Masz dach nad głową? Pełny brzuch? I żadnej wdzięczności? Jak śmiesz? Jak śmiesz! Ten „gość”, o którym mówisz, jest księciem z rodu Burbonów i przelewał krew za ten i za swój kraj, żeby tacy jak ty mogli czuć się bezpiecznie i cieszyć się, jak to ujęłaś, „drobnymi przyjemnościami”. Jest niezwyk... – Elise czuła, że głos zaczyna się jej łamać – niezwykłym, uprzejmym i sprawiedliwym człowiekiem i w tej chwili to on cię utrzymuje. To, co trzymasz, jest jedną z nielicznych rzeczy, jakie mu zostały, kiedy przemocą odebrano mu dom. A teraz ty mu to kradniesz? Byłaś traktowana o niebo lepiej, niż bywa traktowana służba, a odpłacasz mu kradzieżą, którą, co już zupełnie zdumiewające, próbujesz usprawiedliwić!

Był to taki atak pełnej pasji elokwencji, że Dolly stała tylko mrugając, oszołomiona, jakby obsypały ją odłamki szrapnela.

Zapadła pełna napięcia cisza.

– I co robi? – mruknęła złośliwie Dolly. – Będzie mnie gonić?

Elise nigdy jeszcze nie miała tak wielkiej ochoty kogoś uderzyć.

– On nie musi biegać, żeby cię zastrzelić, a jeśli zechce cię zastrzelić, przysięgnę, że zrobił to w samoobronie. Że oszalałaś i rzuciłaś się na niego, bo naprawdę musisz być szalona, żeby sądzić, że w końcu nie odkryłabym tej kradzieży. Zawsze wyglądałaś mi na kogoś, kto skończy na stryczku.

Twarz Dolly była czerwona jak burak.

– Łatwo osądzać innych, co, pani Fountain? – syknęła. – Ale ja też to i owo o pani słyszałam, o tak. Niech ten, kto jest bez grzechu...

Elise gwałtownie zbliżyła się do niej o krok i przysunęła twarz do jej twarzy. Tak blisko, że dokładnie widziała włoski w jej nosie, kolor oczu i drobne popękane żyłki rozchodzące się od jej drżących nozdrzy. Czowała jej kwaśny oddech, który nagle stał się przyspieszony.

– Dużo czasu spędzasz w kościele, prawda, Dolly? – powiedziała bardzo cicho, lecz w jej głosie brzmiała groźba. – Dokończ to zdanie, jeśli się odważysz.

Dolly przełknęła nerwowo ślinę.

– Jeżeli potrafisz mi powiedzieć, kogo ja okradłam i komu *ja* wyrządziłam krzywdę, zachowasz posadę.

Dolly milczała.

– Tak myślałam. Daj mi tę sosjerkę.

Dolly uniosła rękę, zamierzając się do rzutu, lecz Elise była szybsza i przechwyciła delikatne naczynie.

– Wynoś się z tego domu. Natychmiast. Jeśli zostawiłaś tu jakieś rzeczy, znajdziesz je na drodze jutro rano.

Dolly splunęła pod nogi Elise, wypadła z domu jak burza i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Elise odwróciła się energicznie i zamarła.

Na końcu holu stał lord Lavay.

Obserwował ją.

Na jego twarzy malował się niemal... podziw.

Jakby zaczynał sobie coś uświadamiać.

Musiał słyszeć, że broniła tej błękitnej sosjerki z taką pasją, jakby Dolly próbowała wynieść z domu samego lorda Lavaya.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Widząc jego spojrzenie, poczuła, że miękną jej kolana, tak było łagodne, a jednocześnie pełne ognia.

– Dziękuję, że broniła pani mojego honoru, pani Fountain. Przez chwilę miałem wrażenie, że jest pani gotowa popełnić morderstwo – powiedział cicho. – A proszę mi wierzyć, znam się na tym. Piraci często miewają ten szczególny wygląd.

Próbowała zdobyć się na uśmiech, lecz bezskutecznie.

„Gdybym miał panią pocałować...”

Bez słowa podała mu sosjerkę. Z czułością. Jak pocałunek.

Podszedł do niej powoli, delikatnie, niemal uroczyście wziął naczynie. Końce ich palców się musnęły.

Przez chwilę stał ze spuszczonego wzrokiem, przyglądając się sosjerce.

Zupełnie jakby nie chciał, żeby zobaczyła wyraz jego twarzy.

– Ona nie miała racji, pani Fountain. Lepiej być miłym niż szybkim. Proszę nie tracić ducha.

– Nie tracę. Ale myślę, że będziemy potrzebować nowego zamka do komody z porcelaną.

Spojrzał na nią.

– Znajdę sposób, żeby to wciągnąć do budżetu.

Uśmiechnęła się.

– Obawiam się, że ona była kucharką, lordzie Lavay.

Wzruszył ramionami.

– Jeśli trzeba, pożywię się chlebem i serem. Albo będę jadł u hrabiego i hrabiny Ardmay.

– To nie będzie konieczne – zapewniła pospiesznie. – Nie można się żywić tylko tartami jabłkowymi. Ja będę gotować, dopóki nie znajdziemy kucharki. I każę przynieść panu kawę. Przepraszam za dzisiejsze opóźnienie, jeżeli to sprowadziło pana tu na dół.

– Wytrzymam jeszcze kilka minut bez kawy. I proszę się nie martwić. Takie rzeczy się zdarzają. Miałem okazję wyrzucić już wiele osób z pracy. Chociaż żadna nie była tak duża jak Dolly Farmer.

Uśmiechnęła się do niego.

Odwrócił się i skierował do gabinetu, lecz zawołał jeszcze przez ramię:

– Ach, i gratuluję. Minęły dwa tygodnie, więc oficjalnie ma pani tę posiadłość!

Idąc po schodach i przez hol do swojego gabinetu, Philippe napawał się stojącym mu wciąż przed oczami obrazem broniącej go tak namiętnie pani Fountain.

Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek wcześniej widział taki wyraz na twarzy kobiety. Taka czuła zaciekłość. Chwile niebezpieczeństwa działały na niego jak alkohol: pozwalały dostrzec prawdę.

Trzymał sosjerkę delikatnie, jakby eskortował w bezpieczne miejsce jeńca wojennego.

Nagle stanął jak wryty, i to samo zrobił mały chłopiec, którego nigdy wcześniej nie widział. Zbliżyli się do siebie z przeciwnych kierunków.

Przyglądali się sobie nawzajem, skonsternowani i nieufni.

– Pan musi być tym olbrzymem – powiedział w końcu chłopiec.

– Olbrzymem?

Cóż w tym domu musiało rezydować sporo duchów, zważywszy, że miał co najmniej sto lat, ale Philippe jeszcze nie spotkał żadnego z nich. Ten wcale nie był przezroczystry. W kąciu ust miał coś, co wyglądało jak okruszki. Chyba jabłkowej tarty.

Philippe podszedł ostrożnie, jak do niebezpiecznego zwierzątka z ostrymi kłami, a nie chłopca.

Spojrzał na niego z góry.

Chłopiec wytrzymał, patrzył na niego wielkimi oczami.

– Proszę mnie nie zjadać.

– Nie jestem głodny – odparł bezmyślnie Philippe.

Czy ten chłopiec pracuje w kuchni? Co robi na tym piętrze domu?

– Może pan zjeść Liama – odpowiedział Jack, zręcznie niczym dworzanin snujący pałacową intrygę. – Biega szybciej ode mnie, ale jest go więcej. Na razie – dodał Jack. – Ja będę większy.

– Nie powinieneś zdradzać swojego kompana. To kwestia honoru, młody człowieku. – To też powiedział odruchowo.

– Honoru? – powtórzył Jack, jakby smakował to słowo; widać było, że mu się podoba.

– Tak. To znaczy być dumnym z tego, że robi się to, co jest słuszne. A prawdziwy mężczyzna jest lojalny wobec swoich towarzyszy.

Czuł się w tym ciemnym holu nieco jak we śnie. A chłopiec miał w sobie coś... Philippe nie potrafił tego sprecyzować, to było nieuchwytnie, jak słowo na końcu języka.

– Czy tworzysz to coś jak tarty jabłkowe?

– To-wa-rzy-sze to słowo, które oznacza przyjaciół i ludzi, z którymi się walczy ramię w ramię. Ludzi, którzy będą o ciebie dbali na polu bitwy. I w codziennym życiu też.

Dlaczego ten wykład przyszedł mu tak naturalnie?

– Chciałbym mieć lwa – oznajmił nagle chłopiec.

– To oczywiste. Każdy chce.

– I konia.

– Naturalnie.

Wyglądało na to, że zapuścił się w labirynt tej rozmowy bez kompasu.

Jack rozpromienił się.

– A więc jada pan małe dziewczynki? Wiem, gdzie może pan znaleźć ich mnóstwo. Tam, w akademii panny Endicott. Zwykle są czyste – zakończył triumfalnie.

– Auu!

Satysfakcjonująca reakcja.

– Kiedy jeszcze trochę urosnę, będę mógł sam bić w kościelny dzwon i nikt nie będzie mi musiał pomagać.

– Godne podziwu plany.

– I lubię tarty jabłkowe – wyznał chłopiec. – Czy spał pan w hamaku?

– Czy spa... Tak. Spałem.

Zaczął go ciekawić, w jakim kierunku pójdzie dalej ta rozmowa. To było trochę jak szermierka, lecz nie tak niebezpieczne.

– Byłem marynarzem na wielkim okręcie. Spałem na koi, to znaczy bardzo twardym łóżku. Ale moi ludzie spali w hamakach.

– Mama mówi, że marynarze śpią w hamakach.

– Twoja mama...

– Powiedziała, że bym nie skakał na łóżku, bo będę spał w hamaku.

Philippe poczuł mrowienie na karku. Jego mama...

– Jak pan myśli, co jedzą olbrzymy?

– Wyobrażam sobie, że wszystko, co mają ochotę zjeść. – Zdał sobie sprawę, że jego głos zabrzmiał nieco chłodniej, ponieważ zaczął się utwierdzać w pewnym przypuszczeniu.

Chłopiec zachichotał.

Lavay uśmiechnął się mimowolnie, bo musiałby być z kamienia, żeby nie uśmiechnąć się przy tak chichoczącym dziecku.

A, jak zauważyła pani Fountain, on z pewnością nie był z kamienia.

Och, z całą pewnością nie.

– Nie jestem olbrzymem, młody człowieku. Jestem po prostu bardzo wysoki. Ty też kiedyś będziesz.

– Tak pan myśli?

– To nieuniknione.

Philippe uważał, że dzieci są po prostu mniejszymi ludźmi i nie należy ich traktować jak nierozgarniętych.

– Bo myślę, że muszę być jeszcze trochę wyższy, żeby wspiąć się po łodydze fasoli. Byłoby wspaniale.

– A więc ktoś dał ci magiczne fasolki?

– Oooo! – zawołał Jack. – Pan też zna tę historię? Moja mama nazywa mnie Jack. I śpiewa mi piosenkę o Jacku, zanim pójdę spać.

Philippe zamknął oczy i teraz już nabrał głębokiego przekonania.

Łagodne, ciemne oczy, loki, ciemne brwi.

Mały dołek w podbródku.

Poczuł dziwny ucisk w żołądku.

Czuł się zdradzony, ale za nic nie umiałby wyjaśnić dlaczego.

Usłyszał szybkie, gorączkowe kroki na marmurowej podłodze, przyspieszony oddech.

– Jack, gdzie ty...

– Mamo! Znalazłem olbrzyma!

– Właśnie widzę. – Jej głos brzmiał wesoło, lecz ostrożnie.

– Ten młody dżentelmen mówi, że jest pani synem – rzekł Lavay.

– Rzeczywiście, jest. I nie ma na świecie szczęśliwszej matki.

Jack uśmiechnął się do niej promiennie, ona zaś położyła mu dłonie na ramionach niczym epolety i przytrzymała mocno. Oni dwoje przeciwko olbrzymowi.

– Jack, mam przyjemność przedstawić ci lorda Lavaya, do którego należy ten piękny dom, którym się zajmuję. Ale jestem rozczarowana twoim nieposłuszeństwem. My mieszkamy na najwyższym piętrze, a ta część należy do lorda Lavaya i nie wypada mu przeszkadzać. Czy ukłoniłeś mu się?

– Nie, mamo. Przepraszam, mamo. Szukałem cię, a on był tutaj. To był wypadek, mamo.

– A zatem bądź uprzejmy ukłonić się teraz.

Zdjęła ręce z jego ramion. Jack ukłonił się tak nisko, że czołem niemal dotknął kolan Philippe'a.

– Piękny ukłon, panie Jack. Dziękuję – rzekł poważnie lord Lavay.

Jack rozpromienił się i zaczął się wiercić radośnie.

Znowu położyła mu dłonie na ramionach; natychmiast się uspokoił i oparł o nią.

– A teraz proszę, wróć do swojego pokoju, kochanie. Ja muszę porozmawiać z lordem Lavayem. Trafisz sam?

– Idę za amorkami na balustradzie, potem jest tapeta ze wzorem, który wygląda jak piękne oczy, schodami na dół, aż poczuję tartę jabłkową, wtedy do kuchni, korytarzem i na górę po schodach.

Zabrzmiało to, jakby opisywał odległość dzielącą ich w hierarchii społecznej.

– Bardzo szczegółowo to opisałeś. Doskonale, Jack.

– W porządku, mamo. Do widzenia, olbrzymi lordzie Lavay.

– Do następnego spotkania, już-niedługo-wysoki panie Jacku – odpowiedział z powagą.

Jack roześmiał się i odwrócił, gotów do biegu.

– Idź spokojnie! – upomniała go.

Ruszył pokazowo wolnym krokiem, wywołując uśmiech na jej twarzy.

Obserwowali go, aż zniknął za zakrętem.

A właściwie ona go obserwowała.

Lavay obserwował ją.

Wyraz jej twarzy zapał mu dech w piersiach.

– Nie wiedziałem, że ma pani syna – powiedział cicho, jakby nie chcąc budzić jej z pięknego snu.

Spojrzała na niego gwałtownie.

– Przepraszam, jeśli poczuł się pan, jakbym zataiła tę informację, milordzie. Nie sądziłam, że może to pana interesować albo mieć jakiś wpływ na moje zatrudnienie.

– Nie ma – odparł krótko.

Znowu zapadła cisza.

– Przepraszam, jeśli pana niepokoił.

– Nie.

Pomyślał, że mogło to zabrzmieć nieco opryskliwie.

– Jest uroczy – dodał.

A potem stali w czystym, dobrze oświetlonym holu, przyglądając się sobie w milczeniu.

Powietrze było tak gęste od rzeczy, które nie zostały wypowiedziane, że niemal można by je rozgarnąć ręką. Miał wszelkie prawo zadać te pytania, zważywszy, że był jej pracodawcą i był na tyle arogancki, by to zrobić. Ale z drugiej strony nie powinien się nad tym zastanawiać, ponieważ była gospodynią w domu, w którym zamierzał mieszkać nadal, kiedy będzie już znowu mógł tańczyć walca, i w jego hierarchii powinna zajmować miejsce o stopień lub dwa wyżej niż meble.

Ale jeszcze bardziej żenujące było, że nie zadał tych pytań.

– Jest ładnym dzieckiem.

– Jest piękny – powiedziała natychmiast, pospiesznie, i zarumieniła się, ponieważ zabrzmiało to, jakby go poprawiała.

Milczenie.

Uśmiechnął się słabo.

– Tak – przyznał. – To jest słowo, o którym myślałem. Dziękuję, pani *Je-sais-tout*.

– Dziękuję – szepnęła to, co powinna była powiedzieć wcześniej.

Zarumieniła się.

– Czy niedługo będą jakieś tarty jabłkowe?

– Tak, oczywiście. Pójdę ich dopilnować.

Wyglądało na to, że zawsze można znaleźć bezpieczne schronienie wśród jabłkowych tart.

Mąż.

Oczywiście brał pod uwagę, że kiedyś sam zostanie mężem, ale nagle to słowo wydało mu się zaskakująco obrzydliwe.

Jeszcze bardziej odrażające, kiedy myślał o nim z dodatkiem zaimka jej.

Jej mąż.

Wrócił do swojego gabinetu, postawił na biurku sosjerkę, zaczął spacerować – jak dobrze znowu móc spacerować! – i powtarzał to słowo w myślach, jakby było środkiem przeczyszczającym albo włosiennicą. Czy dlatego skrzętnie ukrywała to, co w niej najlepsze?

Ponieważ jest panią Fountain, a zatem gdzieś musi być jakiś mąż. Gospodynie często tytułuje się honorowo „paniami”, nawet jeśli są niezamężne. Ale przecież ona ma syna.

Jej. Jego. Do tego służą zaimki – wskazują prawa własności. Może „własność” to nieodpowiednie słowo. Może lepiej byłoby powiedzieć „przynależność”. Ale w pewnym sensie to słowo jest bardziej bolesne, ponieważ sugeruje jakiś wybór. Wybrała, że będzie należeć do kogoś innego.

Nigdy nie uciekał przed nieprzyjemnymi prawdami, ponieważ kiedy pozna się prawdę, można coś z nią zrobić.

A więc, myślał, jakby sam siebie bicząc – właśnie to oznacza „przynależność”: jakiś mężczyzna wie, jak to jest patrzeć na jej lśniące czarne włosy rozsypane na białej poduszce, czuć jej nagie ciało splecione ze swoim i słyszeć jej śmiech w ciemności. Ktoś budzi się obok niej każdego ranka i wie, czy wstała radosna, czy gderliwa, czy zaczyna dzień od kawy, czy herbaty, a może czekolady?

On tego nie wiedział. Nie wiedział. Tak wielu rzeczy nie wiedział. Nagle wszystkie te zwykłe, przyziemne sprawy stały się najważniejsze na świecie.

I aż do tej pory nie uświadamiał sobie, że chciałby je poznać.

Podszedł do okna i odepchnął zasłony, jakby szykowały się do ataku na niego. Spojrzał oskarżycielsko na świat za oknem.

Skoro ma dziecko, ma męża, ponieważ mimo wszystko nie jest Madonną, choć doskonale prowadzi dom i piecze idealne tarty jabłkowe.

Ale z drugiej strony... ów mąż może być nieżywy.

Ta nadzieja absurdalnie podniosła go na duchu i nagle dzień znowu stał się piękny, a Philippe wyobraził sobie, że słyszy dobiegający z oddali śpiew ptaków.

– Ba! – powiedział sam do siebie i wzruszył ramionami, odchodząc od okna.

Wszystko to było śmieszne: dziwne parcie w piersi, jakby ktoś próbował rozerwać mu klatkę piersiową, cała ta komedia z zasłonami, życzenie, żeby ów uroczy dzieciak był sierotą, potrzeba wiedzy.

Był...

Był zazdrosny.

Jakie zwyczajne słowo.

Ach. Więc tak czują się zwykli ludzie, pomyślał cierpko.

Nie spodobało mu się to. Nie wiedział, co może na to poradzić; mógł próbować otępić się laudanum lub herbatą z wierzbowej kory. Nie potrafił sobie wytłumaczyć, że nie istnieje. Nie

mógł tego zastrzelić ani odpłynąć.

Dokuczało w zupełnie szczególny sposób.

Wydawało mu się, że przywykł do takich rzeczy.

Wygląda na to, że po prostu był otępiały. Ale teraz, kiedy uczucia się obudziły, dlaczego właśnie to postanowiło dać o sobie znać? Czy nie ma końca udrękom zsyłanym na dom Lavayów?

Ona wiedziała o nim tak wiele, a jednak nigdy nie wspomniała o czymś, co najwyraźniej było najcenniejsze w jej świecie.

Parsknął z irytacją.

– Jesteś załosny, Philippe!

Może to tylko zraniona próżność. Może zaczął myśleć o pani Fountain jak o kimś, kto do niego należy.

Zapewne był znudzony. W innych okolicznościach mężczyzna o jego pozycji nie interesowałby się przecież swoją gospodynią. Chociaż... jeśli byłaby ładna? We wszystkich domach jest mnóstwo ładnych służących, które kuszą właścicieli i wywołują najróżniejsze kłopoty.

Zbyt długo przebywał w zamknięciu, odcięty od rzeczywistego świata, w którym aż roi się od pięknych kobiet. Jednak z powodu żadnej z nich serce nie biło mu szybciej ani nie miał ochoty rzucać przedmiotami w porywie zazdrości, jak odrzucona kochanka.

Pora wydać ten bal.

I chwycił za sznur od dzwonka, jak za linę ratunkową.

– Dziękuję, że pani przyszła – powiedział, gdy weszła do gabinetu.

– Tak. Oczywiście. Zwykle tak robię, kiedy pan dzwoni.

Żartowała, a przynajmniej próbowała żartować. Ale zabrzmiało to niemal tak samo niezgrabnie jak powitanie. Nagle stali się sobie obcy.

Czuł się niezdarzy jak młody chłopak. Rozpaczliwie zastanawiał się, co powiedzieć.

– Przykro mi, że musiał pan być świadkiem tego... niefortunnego incydentu z Dolly Farmer – zaryzykowała, chcąc przerwać niezręczną ciszę.

– Mnie nie. Teraz nieco lepiej rozumiem cud, jakiego dokonała pani ze służbą. Chyba nie do końca zdawałem sobie sprawę, jak wielkie to było wyzwanie.

– To nic wiel...

Pokręcił głową.

– Było. Widzi pani... przez niemal całe życie, we wszystkich domach, w których mieszkałem, nigdy nie widywałem większości służby. Zauważałem służących tylko wtedy, kiedy nie wywiązywali się ze swoich obowiązków. Byli jak... układ krwionośny domu. Przypuszczam, że w takim razie pani jest sercem.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Zdarzało mi się już wcześniej wyrzucać ludzi, ale nigdy kogoś tak wielkiego, jak Dolly – dodał pospiesznie, niemal zdenerwowany.

Uśmiechnęła się na to miłosiernie. Ale na bardzo krótko. Nie potrafiła dłużej utrzymać tego uśmiechu, w napięciu spowodowanym wszystkim, co nie zostało wypowiedziane. Oboje znali prawdziwy powód, dla którego ją wezwał, i oboje go unikali.

Odchrząknął.

– Myślę, że teraz rozumiem, skąd pani czerpie odwagę, pani Fountain – powiedział łagodnie. – Matki są waleczne.

Otóż to.

Znieruchomiała. Jakby szykowała się do walki.

– Pani syn... ma na imię Jack? – spytał cicho.
– John. Ale bardziej podoba mu się Jack.
– Na cześć tego chłopca od magicznej fasoli.
– Tak – odparła krótko i odetchnęła głęboko, jakby zbierała siły.
– Lordzie Lavay... przepraszam jeszcze raz, jeśli sprawił panu kłopot... nie powinien chodzić... może powinnam panu powiedzieć o... nie chciałam, żeby on...

– Elise.

Zamilkła.

Zaskoczona w równym stopniu tym, że zwrócił się do niej po imieniu, jak i jego tonem. Serdecznym. Niecierpliwym. Ciepłym.

Pozwolili, żeby słowo wybrzmiało w powietrzu; oboje napawali się nim w ciszy.

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

Łatwiej byłoby rozmawiać o balach, pięknych kobietach, Alexandrze, o flirtach i rozpuście, gdyby Elise nie stała naprzeciwko niego. Wydawało mu się, jakby takie rzeczy już nie należały do jego świata, były niepotrzebne, chociaż rozum podpowiadał, że powinno być dokładnie na odwrót.

A jednak zawsze czuł się o wiele lepszy, kiedy stała obok niego.

– Ma urocze maniery, nawet jeśli jest odrobinę gadatliwy – drażnił się z nią łagodnie. – To bardzo mądre dziecko. Ma to po matce.

Rozpromieniła się.

– Dziękuję. Staram się. Zwykle całe dni spędza na plebanii. Wielebny Sylvaine poświęca trochę czasu i uczy go, razem z Liamem Plumem, miejscowym chłopcem, oraz kilkoma innymi chłopcami z niezamożnych rodzin. Mówiąc między nami, nie będzie barbarzyńcą ani głupcem, kiedy dorośnie. Mam nadzieję, że pewnego dnia znajdzie zawód, który pokocha. Obecnie jego największą życiową ambicją jest bicie w kościelny dzwon.

– Chce też mieć lwa. I konia.

– Hm, no tak.

– Jest mile widziany w całym domu, naprawdę. Lubię dzieci. Są obdarzone takim połączeniem szczerości, niewinności, dzikości i humoru z nieprzewidywalnością, jakie cechuje wszystkich ludzi, których lubię.

Roześmiała się znowu, radośnie.

Mógłby tu stać cały dzień i mówić rzeczy, które sprawiają, że będzie się śmiała.

– Jeśli utrzyma się tak brzydka pogoda, proszę przysłać go do mnie. Użyję globusa – zakręcił palcem w powietrzu – żeby pouczyć go geografii, jeśli będzie chciał. Podobnie jak pani, lubię dzielić się wiadomościami, a byłem w wielu miejscach. Albo możemy... rozwiesić hamak. W ładniejsze dni.

Znowu się uśmiechnęła.

– To niezwykle uprzejma propozycja; wiem, że Jack będzie zachwycony. Dziękuję.

Skinął tylko głową.

Pytanie, które chciał zadać, a ona wiedziała, że on chce je zadać, zakołysało się w powietrzu, zupełnie jak hamak.

Obawiał się powiedzieć to na głos. Jakby robił pierwszy, niepewny krok na skróconej kostce.

Starał się, żeby zabrzmiało swobodnie i od niechcienia, ale wiedział, że oboje na to czekają, więc nadał swoim słowom fałszywie zawadiacką aurę pantomimy.

– Ojciec chłopca...

Natychmiast się zamknęła.

Coś było nie tak; widział, że zastanawia się, jak odpowiedzieć, co znaczyło, że nie zamierzała powiedzieć mu całej prawdy.

– Odszedł – odparła lakonicznie.

– Odszedł?

– Tak. Sześć lat temu.

„Odszedł”? Czy to taki eufemizm? Odszedł na tamtą stronę? Do Londynu? Do Afryki? Czy ona jest wdową?

Dlaczego to takie ważne?

Nie jest ważne. Nie musi tego wiedzieć.

I to nie powinno mieć znaczenia.

Weź się w garść, Lavay – upomniał sam siebie.

– Rozumiem – powiedział, choć wcale nie rozumiał. – Pani Fountain – kontynuował dziarsko – zadzwoniłem po panią, ponieważ sądzę, że już pora zorganizować bal, o którym kiedyś rozmawialiśmy. Może, mówiąc ściślej, spotkanie z tańcami, ponieważ „bal” brzmi nieco zbyt ambitnie jak na ten dom. Myślę, że powinniśmy podać ten mdły napój, który tak lubią kobiety, ratafię. Może także kanapki i inne rzeczy, które ludzie lubią na balach. Proszę wstawić trochę roślin, żeby pijani mieli gdzie wymiotować, a kochankowie za czym się ukryć. Do tego trochę kwiatów i chorągiewek, jeśli da się je zdobyć. Przypuszczam, że skoro udało się pani ubrać lokajów w liberie, poradzi sobie pani i z chorągiewkami. Za dwa tygodnie? Na wsi nie ma zbyt wielu rozrywek, więc przypuszczam, że zaproszenia będą mile widziane.

– Bal! Och, to wspinała wiadomość! – Wyglądało na to, że zmiana tematu sprawiła jej ulgę.

Zmarszczył brwi.

Roześmiała się.

– Bale to bardzo przyjemne wydarzenia, milordzie. Tańce, muzyka, piękne suknie, wytworne towarzystwo, dobra zabawa. Jestem pewna, że pańska służba podoła temu zadaniu. Ja bywałam tylko na wiejskich potańcówkach.

– Lubię bale – przyznał. – Prawdę mówiąc, jestem w tym świetny.

– Czy w takim razie mogę spytać, czemu się pan nachmurzył?

– Martwię się, czy będę mógł tańczyć.

Cisza.

– Stara się pani nie roześmiać, pani Fountain.

– Wcale nie!

Oczywiście, że tak.

– Widzi pani, jestem jeszcze trochę zeszywniały i wyszedłem z wprawy. Nie chciałbym przynieść wstydu rodzinie, kuśtykając jak starzec. Zastanawiałem się, czy okazałaby pani tak dobre serce i pomogła mi poćwiczyć walca?

Ten pomysł przyszedł mu do głowy całkiem niespodziewanie, ale przyjął go jak dar z niebios.

Jego niedbały ton był odwrotnie proporcjonalny do tego, jak ważna dla niego była odpowiedź.

Zegar zdążył odliczyć kilka sekund, kiedy zastanawiała się nad tym, stojąc z lekko pochyloną głową.

– „Okazała dobre serce”. Jak kwieciście – szepnęła.

Czekał, czując, jak narasta w nim dziwne napięcie. Może dlatego, że wstrzymywał oddech.

– Nie mamy muzyki – zauważyła cicho.

– Może pani wymyślić piosenkę o tańczeniu walca z lordem Lavayem, który nadepnął pani na stopę. Albo możemy odliczać takt. Ustaliliśmy już, że oboje umiemy liczyć.

Roześmiała się.

Potem odetchnęła głęboko, ale wciąż nie odpowiadała.

– Jeśli ma pani teraz jakieś niecierpiące zwłoki obowiązków, pani Fountain, oczywiście zrozumieć. Chciałbym zrobić jak najlepsze wrażenie.

Właśnie. Postawił sprawę uczciwie. Dał jej możliwość odmówienia. Zasłonięcia się Jackiem albo tartą jabłkową. I miał maleńkie poczucie winy, ponieważ wiedział, że nie będzie umiała oprzeć się pokucie przyjscia mu z pomocą.

Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę. Jej spojrzenie było łagodne i nieufne, ale zauważył też błysk czegoś innego. Kapitulacja? Ale wyglądało bardziej na gniew. Błysnął i zniknął.

A potem powoli i głęboko dygnęła.

Zaczął go ogarniać poczucie triumfu niczym narastające dźwięki smyczków w symfonicznej uwerturze. W całym dotychczasowym życiu nie doznał takiego uczucia.

Uklonił się z taką samą pełną powagi elegancją.

Wciąż pochylony w ukłonie wyciągnął do niej rękę i mógłby przysiąc, że właśnie wtedy czas boleśnie zwolnił, żeby go bardziej dręczyć. Może ich dłonie nigdy się nie zetkną. Może ona cofnie rękę, zanim on zdąży jej dotknąć.

Jednak w końcu ją poczuł. Delikatnie, lecz mocno zacisnął palce na jej dłoni.

Nastąpiła chwila pełnej oszołomienia ciszy, gdy jego skóra dotknęła jej skóry.

Dopiero wtedy mógł przyznać, że cały ten nonsens z walcem był po prostu pretekstem, żeby móc znowu jej dotknąć.

Nie wiedział dlaczego. Ale to nie miało znaczenia. Liczyło się tylko, że trzyma ją za rękę i będzie miał powód, by położyć drugą rękę na jej talii, a chwilę później będzie tak blisko, że czuje ciepło jej ciała.

Oparł dłoń na jej smukłej talii. Nie potrafił odczytać spojrzenia, ale policzki miała już zaróżowione.

Położyła dłoń na jego ramieniu – delikatnie, jakby usiadł na nim ptaszek.

– Zaczniemy?

Skinęła tylko głową.

A on poprowadził ją do walca.

– Raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy, raz...

„Dwa” powiedział już szeptem.

A potem zapomniał o liczeniu.

Ponieważ sama cisza śpiewała. Cichy, łagodny dźwięk ich oddechów, rytm jej oddechu unoszącego klatkę piersiową pod jego dłonią, odgłos ich stóp tonących w (świeżo wytrzepanym) dywanie tworzyły wystarczającą muzykę. Rumieniec na jej policzkach. Gorąco na jego twarzy. Była tak lekka, że miał wrażenie, jakby w czasie rekonwalescencji wyrosły mu skrzydła zamiast blizn. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek czuł się tak lekko.

Co robisz, co robisz, co robisz, co robisz, rozlegał się w głowie Elise refren powtarzający takt walca.

Jednak nie potrafiła się oprzeć pokusie dotknięcia go, tak samo, jak nie potrafiła się oprzeć pokusie zaczerpnięcia następnego oddechu. Nie potrafiła, ponieważ po prostu wiedziała, że on także pragnie jej dotknąć. Jak mogłaby mu odmówić? Co złego było w tych kilku chwilach? Przypuszczała, że to samo mówi każdy uzależniony, sięgając po kolejną fajkę napełnioną opium. Jego ramiona pod doskonale dopasowanym surdudem były ekscytująco

twarde, jak ramiona, które mogą podtrzymywać całe światy. Znajdowała się tak blisko mocno zarysowanego podbródka, że mogłaby go narysować z zamkniętymi oczami, a jego spojrzenie – tak gorące – było utkwione w niej. Dłoń, ciepła i tak bardzo męska, spoczywała na jej talii. Nigdy nie czuła się bardziej kobieco. Gdyby miała sobie wybrać śmierć – a jeśli jej serce zacznie bić choćby odrobinę szybciej, może naprawdę tego nie przeżyć – nie mogłaby znaleźć doskonalszego momentu.

Chwilę później zniknął. Było to wtedy, gdy uświadomiła sobie, że zamknęła oczy. Jakby to wszystko było snem. Niedługo potem z roztargnieniem zdała sobie sprawę, że walc staje się coraz wolniejszy i wolniejszy. Kiedy poczuła zapach jego wykrochmalonej koszuli, wiedziała, że odległość między nimi się zmniejszyła i już nie tyle tańczą walca, co raczej poruszali się w objęciach. To niewłaściwe, to niewłaściwe, to niewłaściwe.

– Wygląda na to, że tańczy pan bez trudu, lordzie Lavay – stwierdziła bardzo spokojnie.

Przyszło jej do głowy kolejne słowo w takcie trzy czwarte, które naprawdę powinna dobrze zapamiętać. Służąca, służąca, służąca.

Nie powinna z nim filtrować. Nie, nie powinna z nim tańczyć. W ogóle nie powinna być sobą. Będzie tylko cierpiała, niczym Tantal.

– Ale trochę sztywno *oui*, jak słoń? – Jego głos zabrzmiał ochryple. I bardzo serdecznie.

Jak bardzo chciałaby oprzeć głowę na jego piersi. Usłyszeć głuchy pomruk, kiedy mówi. Bicie jego serca. Jeszcze jedna fraza wybijająca rytm: To jest złe, to jest złe.

– Słonie są pełne wdzięku – powiedziała cicho. – Widziałam kiedyś słonia w Covent Garden. Pokazywał sztuczki.

Roześmiał się, cicho i ciepło; na ten dźwięk przyjemny dreszcz przeszedł jej ciało. Narastało w niej słodkie napięcie pożądania, niczym rzeka, która za chwilę wystąpi z brzegów. Pragnę cię, pragnę cię, pragnę cię.

Występujące z brzegów rzeki niszczą wszystko na swej drodze.

Nikt nie wiedział o tym lepiej niż ona.

Każda komórka jej ciała krzyknęła w proteście, kiedy Elise gwałtownie się zatrzymała.

Zmusiła się, by zesztynnieć tak jak jego wykrochmalona koszula.

Omali się nie potknął.

Ale dość szybko odzyskał rezon. Jego twarz była spokojna i nieprzenikniona.

– Myślę, że porusza się pan z godnością, lordzie Lavay. Szczęśliwa kobieta, która będzie z panem tańczyć walca na pańskim przyjęciu.

Nie miał już powodu, by nadal trzymać jej dłoń. Puścił, niczym kieszonkowiec oddający sakiewkę prawowitemu właścicielowi. Jego ręka opadła z jej talii.

Cofnęła się o krok, jakby uciekała z pułapki, a nie od tego, czego pragnęła najbardziej na świecie. Skórę miała rozpaloną i napiętą od gniewu i tłumionego pożądania. Miała ochotę coś rzucić. Wazon. Albo swoje ciało, wprost w jego ramiona.

Niesprawiedliwe, niesprawiedliwe, niesprawiedliwe. Jej oczy płonęły. Była wściekła, ponieważ wiedziała, że musi sama się go pozbawić. Ale kiedy jej się udało, poczuła ulgę.

Stał i przyglądał się jej.

Kąciki jego ust nieznacznie opadły. Jego oczy się nie uśmiechały.

– Dziękuję – odezwał się łagodnie. – To było bardzo uprzejme z pani strony. Teraz czuję się znacznie pewniej.

Próbowała coś powiedzieć. Ale jeszcze nie była w stanie.

Skinęła tylko głową.

I odchrząknęła.

– Czy to wszystko, lordzie Lavay?

– Tak – powiedział.

Mijała go, kierując się do drzwi.

A Philippe patrzył niczym we śnie, jak jego ręka unosi się i chwyta ją za ramię.

To był odruch. Z jakiegoś powodu wydało mu się ogromnie ważne, by ją powstrzymać, jakby miała od niego odlecieć na zawsze, niczym latawiec, który zerwał się z uwięzi.

Odwrócił ją ku sobie.

Spojrzała na niego. Zaskoczona.

A wtedy zobaczył w jej oczach żar pragnienia, ból i pożądanie graniczące z furją.

To samo malowało się w jego oczach.

Nie pozwolił jej odejść.

Było zupełnie cicho.

Usłyszał dźwięk ich oddechów. Przyspieszonych, zdumionych, jednoczesnych.

– Philippe...

Nie wiedział, czy to protest, czy błaganie.

Wypowiedziała jego imię. Jego imię.

I teraz już wiedział, że ona myśli o nim właśnie tak, sama w ciemnościach, na najwyższym piętrze.

Przyciągnął ją do siebie. I wtedy jego dłoń zsunęła się po jej ramieniu – tak samo naturalnie, jak rzeka wpływa do morza – aż na krzyż, gdzie pasowała tak dokładnie, jakby Stwórca wyrzeźbił ją specjalnie w tym celu.

I uniosła twarz, kiedy on spojrzał w dół.

Czy kiedykolwiek wcześniej kogoś całował?

Sprawiło jej to przyjemność przyprowadzającą o dreszcz, słodka strzała nowości przeszła ją na wskroś. Oddała mu swoje usta, najpierw nieśmiało, lecz nie niechętnie. Dopasowała się do niego.

Poddała się.

Topniała.

O, Boże.

Jego pożądanie było drapieżne. Podobała mu się ta odrobina niepewności, co będzie dalej, co ona może powiedzieć i czego tak naprawdę chce. Podobało mu się, że czuł się niezdarny, zupełnie zagubiony. Podobało mu się to, że pragnął jej tak bardzo, że aż drżał, i podobało mu się, że umiał się powstrzymać.

Całował ją, ponieważ chciał ją całować. Nie żeby wiedział lub miał nadzieję, że to doprowadzi gdzieś dalej.

Rozchylił wargami jej usta i delikatnie, tak delikatnie smakował gorącą, wilgotną, aksamitną słodycz jej ust.

Jej ręce przesunęły się w górę i objęła go za szyję. To nie były wspomnienia ani żądania, nie obowiązek ani nie zemsta; myślał – być może po raz pierwszy w życiu – że w tej chwili był sobą w najczystszej postaci. A cały świat stał się tylko żarem i zakazaną słodyczą tej kobiety, nieśmiałym dotykiem jej języka, narastającym zmysłowym napięciem. A ona wiedziała, po prostu wiedziała, jak na niego wpływa i czego on pragnie, ponieważ przywarła do niego i czuła napięcie w jego spodniach.

Wciągnął gwałtownie powietrze, kiedy uderzyła mu do głowy, niczym mocny alkohol.

Chciała tego. Wyczuwał pożądanie w napięciu jej ciała i w nierównym oddechu, kiedy przesuwał dłońmi wzdłuż jej pleców. Odchyłała głowę coraz bardziej, pozwalając całować się głębiej i głębiej i odpowiadając pożądaniem na jego pożądanie.

Powoli, bardzo powoli zsunął dłonie na jej pośladki i przyciągnął ją mocniej do siebie.

Jej cichy jęk rozkoszy był najpiękniejszym dźwiękiem, jaki kiedykolwiek słyszał.
Przesunął wargami po jej szyi, wyczuwając bijący puls.
Jej skóra była jak cudowna kremowa satyna.
Drżącymi palcami zaczął podwijać tył jej sukni.
Oparła mu dłonie na piersi i powoli zacisnęła palce na koszuli.
Oderwała usta od jego ust i odchyliła głowę.
– Elise... – Był zaskoczony i oszołomiony.
Delikatnie, ale stanowczo odepchnęła go.
Niepewnie cofnął się o krok.
Ona także się cofnęła, tuż poza zasięg jego rąk.
Stali na dywanie, około czterech stóp od siebie.
Odetchnął głęboko, próbując wyrównać oddech, uspokoić bicie serca.
Opanowanie erekcji potrwało dłużej.
Zapadła niezręczna cisza.
Zupełnie stracił poczucie czasu. Może patrzyli na siebie przez bezpieczną przestrzeń dywanu minutę, może godzinę.
– Nie mogę – szepnęła w końcu.
To zabrzmiało jak błaganie.
On jeszcze nie był w stanie się odezwać.
– Musisz zrozumieć, Philippe, że ja... ja nie chciałam sprawiać wrażenia, że... że jestem...
– Nie sprawiłaś – powiedział, pragnąc rozwiać jej wszelkie obawy. – To ja pozwoliłem sobie na zbyt wiele. Wina jest wyłącznie moja.
Pogratulował sobie tego, że udało mu się odezwać, chociaż głos miał ochryply, a w głowie wciąż mu wirowało, jakby tańczył walca.
Nie poprosił jej o wyjaśnienia. „Nie mogę” mogło oznaczać cokolwiek. Jej syna, pozycję, męczyznę... wszystko.
Skinęła głową.
Jej oddech był jeszcze przyspieszony, przynajmniej to go cieszyło.
– Czy powinienem przeprosić? – spytał cicho.
Gwałtownie pokręciła głową.
Pocieszające.
– Powinienem. Przepraszam za ból, jaki ci sprawiłem, Elise. Może to... Walc jest uważany za bardzo erotyczny taniec.
Roześmiała się, co sprawiło mu wielką ulgę.
– Może nas poniosło. To wszystko.
– Tak. I może ty znowu byłeś Francuzem.
– Tak. To była francuska wersja walca, a ja byłem Francuzem.
– A więc będziesz głównym tematem rozmów na balu w sobotę. I zmęczony w niedzielę.
Roześmiał się.
I ona się roześmiała.
To był bolesny śmiech, ponieważ chyba po raz pierwszy w życiu śmiał się razem z kobietą, która czuła to samo co on i którą chciałby zabrać do łóżka i zmęczyć na wszelkie sposoby, w jakie można się kochać.
I zobaczyć następnego ranka.
I następnego.
Wyglądało na to, że powiedzieli już wszystko, co można było powiedzieć.

– Jesteś zły? – zaryzykowała.

To go zaskoczyło.

– Czy jestem... Nie. Nie. Nie jestem potworem ani feudalnym panem, który stawia żądania służbie, pani Fountain. Nie jestem zły. Nie będę już stawiał żądań.

Chociaż pytanie go rozzłościło.

Wypowiedział wszystkie słowa, które znowu zbudowały mur między nimi. „Pan”, „służba” i „żądania”. Po części żartował. Po części, ponieważ samo istnienie tego muru złościło go, ponieważ pragnął tej kobiety tak, jak nie pragnął nikogo innego w całym życiu.

Uniosła rękę, jakby chciała go dotknąć, udobruchać.

I opuściła ją.

Opuściła tam, gdzie powinna się znajdować.

Ponieważ wszystko ma swoje miejsce.

– Po balu będzie lepiej – powiedziała łagodnie.

Zapewne miała rację.

Nagromadzona namiętność wymagała ujścia. Niewątpliwie doszło do tego z powodu bliskości. A kiedy znajdzie się znowu wśród swoich – bogatych, dobrze urodzonych, prowadzących nic nieznaczące, wysublimowane rozmowy, biegłych we flirtowaniu, pięknie ubranych dziewcząt o jasnych oczach, z którymi powinien tańczyć i które powinien całować – może poczuje się zawstydzony tym, że pragnął gospodyni.

Ale teraz była tak piękna, że sprawiało mu to niemal fizyczny ból. Czuł, że nie powinni stać tak daleko od siebie, kiedy wystarczyłyby dwa kroki, żeby mógł znowu wziąć ją w ramiona.

Wiedział, że mógłby ją przekonać. Biegłością w romantycznej grze mógłby podbić każdą kobietę.

Ale jej nigdy by tego nie zrobił.

Wyprostował się.

– Oczywiście – powiedział.

Wydawało mu się, że jej twarz pociemniała, ale może to było tylko złudzenie, efekt przesuwających się cieni.

– Czy to wszystko? – spytała.

– Tak, pani Fountain. To wszystko.

Ponieważ tęsknota, erotyczne napięcie i tłumione pożądanie wkradły się do domu, wypełniając jego najmroczniejsze zakamarki, Philippe nagle uznał, że jest mu za ciasno; postanowił uciec od krzątaniny przygotowań do spotkania i wybrać się do sklepu Postlethwaite'a, żeby sprawdzić, czy nie przyszyły do niego jakieś listy.

Miał nadzieję, że czas zatrze wspomnienie tego pocałunku. Tymczasem od chwili, gdy powiedziała: „Nie mogę”, stawał się on coraz bardziej nierealny.

„Nie mogę” niekoniecznie musi znaczyć, że nigdy nie będzie mogła.

Był tak pochłonięty rozważaniem takiej możliwości, że nawet nie zauważył, kiedy dotarł do Postlethwaite'a; prawie nie pamiętał drogi. Stał, wsłuchując się we własne ciało. Był zmęczony, ale tylko odrobinę. Czuł ból, lecz nie nieznośny. A jednak był zmęczony i obolały po krótkim spacerze przez dolinę. Gdyby teraz napadło na niego sześciu zbirów, już byłby trupem. Na tę myśl poczuł zniecierpliwienie, które napięło mu wszystkie mięśnie, i pchnął drzwi sklepu bardziej agresywnie, niż zamierzał.

Zawieszony przy nich dzwonek zadźwięczał jak szalony.

Wewnątrz niemal musiał osłonić oczy przed blaskiem istnego skarbcza szali i bonnetów, rękawiczek w każdym możliwym odcieniu, wstążek, kokard, tasiemek, grzebieni, szpilek, wachlarzy i torebek, które błyszczały, lśniły i mieniły się kolorami – wszystkich rzeczy, jakich mogło zapragnąć kobiece serce. Uśmiechnął się, nieco ponuro, na myśl o Marie-Helene; wyobraził sobie jej okrzyki na widok tego wszystkiego. Powinna mieć takie rzeczy. A on powinien móc jej takie rzeczy dać.

Odwrócił się od nich gwałtownie, ale znalazł się naprzeciwko błyszczącej wstążki z bordowej satyny. Wstrzymał oddech. Podszedł bliżej i chwycił luźny koniec, powoli, leniwie przeciągnął między palcami, jakby była puklem włosów Elise, w końcu wyzwolonym ze starannie upiętej fryzury. Jak pięknie wyglądałaby w jej włosach. Była zaledwie o ton ciemniejsza od jej miękkich ust.

Odetchnął energicznie i puścił wstążkę.

Wielkie nieba, gdzie się podziewa pan Postlethwaite? Może poszedł na górę, skorzystać z nocnika.

Naprzeciwko olśniewających kobiecych drobiazgów leżało kilka akcesoriów dla dżentelmenów: krawaty, pończochy, rękawiczki i tak dalej. Na razie niczego stąd nie potrzebował.

Inna półka skrywała niewielki wybór zabawek.

Zatrzymał się, uśmiechnął i sięgnął po drewnianego lwa. Małą paszczę otaczała grzywa z farbowanej wełny, z tyłu wystawał sztywny ogon, a łapy miały ruchome stawy.

Bawił się nim przez chwilę, ustawiając na półce tak, jakby szykował się do skoku.

– Wrrrau – zaryczał bardzo cicho.

Odwrócił się gwałtownie, słysząc chrząknięcie.

Postlethwaite był niskim mężczyzną w okularach. Uważnie zlustrował Philippe'a wzrokiem i jego postawa stała się niemal służalcza. Umiał w jednej chwili ocenić swoich klientów i natychmiast rozpoznawał lorda.

Uklonił się bardzo nisko.

– Jestem Postlethwaite, proszę pana. Do usług.
– Lordzie Lavay. Czy byłby pan tak uprzejmy i sprawdził, czy nie ma dla mnie żadnej korespondencji, panie Postlethwaite?

– Oczywiście, milordzie. Natychmiast, milordzie.

Kiedy pan Postlethwaite zniknął na zapleczu sklepu, Philippe krążył dla zabicia czasu wśród falbanek.

Przystanął przed szafką z grzebieniami i szczotkami.

Tak niewiele wiedział o Elise. Opuściła dom, dom, do którego nie mogła wrócić, zabierając ze sobą tylko szczotkę do włosów.

Jedna ze szczotek leżała na boku; zauważył wyrzeźbione na niej inicjały: ELF.

Zmarszczył lekko brwi.

Zaczynało mu świtać pewne podejrzenie.

Postlethwaite przyszedł, niosąc kilka listów, po które Philippe sięgnął bez słowa.

– Zmyślny mały lew, nieprawdaż, lordzie Lavay? Czy przypadkiem szuka pan jakiegoś prezentu dla młodej damy?

Philippe słuchał go jednym uchem. Jeden z listów, które trzymał w dłoni, wydał mu się znajomy.

Philippe otworzył go z roztargnieniem.

Najdroższy Philippe,

Cóż to za pociecha i radość, usłyszeć znowu Twój głos, nawet jeśli tylko za pośrednictwem listu, chociaż muszę przyznać, że Twój charakter pisma stał się ładniejszy od mojego. Będę znowu w Sussex przed Twoim Spotkaniem, żeby zobaczyć się z siostrą i kuzynostwem, lordem i lady Archembault, którzy przebywają z wizytą u lorda Willama i jego rodziny. Moja dłoń będzie śniła o tym pocałunku i o niczym nie marzę tak jak o zatańczeniu z tobą walca.

Z najgorętszym poważaniem

Alexandra

Poczuł ukłucie wyrzutów sumienia. Ta kobieta może być jego przyszłością, ale w tym momencie myśl o całowaniu dłoni Alexandry wydała mu się irytująca i groteskowa; wprawiła go w zakłopotanie, jakby przypomniał sobie jakąś głupotę popełnioną przed laty, a nie przed kilkoma tygodniami. Przypuszczał, że pocałowanie Elise było najbardziej autentyczną rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobił; w porównaniu z tym, wszystko inne wydawało mu się sztuczne.

Może wystarczy, że znowu zobaczy się z Alexandrą.

Złożył list i wsunął go do kieszeni. I uświadomił sobie, że kiedy to robił, napięły się wszystkie mięśnie w jego dłoni.

– Tak, panie Postlethwaite. Rzeczywiście, szukam prezentu. Czy mógłbym zobaczyć tę szczotkę do włosów?

– Oczywiście, milordzie. – Postlethwaite otworzył szafkę, sięgnął po szczotkę i podał ją Philippe'owi z namaszczeniem, jakby była bezcennym antykiem. Lavay wziął ją delikatnie, tak delikatnie, jak Elise podawała mu sosjerkę z sewskiej porcelany. Czule przesunął kciukiem po inicjałach.

– Ma interesującą historię – powiedział Postlethwaite. – Proszę sobie wyobrazić, że pewna młoda dama sprzedawała ją za dwie pary męskich pończoch.

Elise kierowała służbą z niespożytą energią i poprosiła o dodatkową pomoc pokojówkę żony wikarego, Henny (obiecując jej znaczną część pensji Dolly Farmer), aby przygotować Alder House do uroczystego przyjęcia. Sala balowa – właściwie tylko nieco większe pomieszczenie – została wysprzątana, wyczyszczona i wypolerowana; podłogi lśniły jak lustra, kryształowe

kandelabry połyskiwały niczym sople lodu. Udało się zdobyć kilka roślin w doniczkach. Elise musiała w tym celu nieco naciągnąć budżet przewidziany na kwiaty. Kwiaty pochodziły z miejscowych szklarni. Seamus i kilku jego kolegów mieli zagrać na balu w zamian za jedzenie, napoje i możliwość flirtowania z gośćmi.

Kiedy przebywali w domu, ona i lord Lavay starali się nawzajem unikać; nie tyle dlatego, że spotkanie mogłoby ich wprowadzić w zakłopotanie, lecz tak, jak należy unikać zbliżania się do otwartego ognia. To było miłosierdzie. Ona sama czuła, jakby ten pocałunek rozpałił w niej światło, i obawiała się, że każdy może to zauważyć. Brakowało jej słowa, które oddałoby tę mieszaninę przerażenia i uniesienia, jaką czuła. Przerasienie?

Elise rozmyślała o tym, że zanim zrobiła to, co było nie do pomyślenia, i została – jak to ujęła panna Marietta Endicott – z dzieckiem, wszyscy uważali ją za najzupełniej zwyczajną, choć nieco zbyt skłoną do odzywiania się nie w porę. Ale nie: najwyraźniej los chciał, żeby miotała się niczym mała łódka po wzburzonym morzu romantyczności, pchana uczuciami, na jakie nie powinna sobie pozwolić matka sześciolatniego chłopca poczętego poza małżeństwem – takimi jak radość, strach i bezsenność nocnego pożądania. A potem budziła się zaplątana w pościel, niczym jakieś stworzenie szykujące się do przemiany w motyla, spocone po nocy udręki.

Tamten pocałunek nie był kaprysem ani frywolnym chwilowym impulsem, ani przemyślaną strategią, ani wyćwiczonym flirtem. I nie doszło do niego dlatego, że on był Francuzem. Nie, tamten pocałunek był uwolnieniem przekłętej tęsknoty i emocji, nieznośnie słodkich, erotycznych i przerażających jednocześnie.

To, co czuła do Philippe'a, było tak podobne do tego, co czuła do Edwarda, jak echo do rzeczywistego głosu. Doskonale pamiętała cierpienie z powodu tamtej chwili zapomnienia. Jaką byłaby kobietą, gdyby chciała jeszcze raz narażać swoje serce na coś podobnego?

On oczywiście nie chciał jej za cenę wszystkiego innego, czego pragnął.

Ani ona nie będzie jego kochanką. Nigdy. Ze względu na nią samą i na Jacka.

Dostała listę osób, które mają zostać zaproszone na przyjęcie – oczywiście znalazła się na niej hrabina Ardmay, a także, co ciekawe, państwo Eversea i Redmondowie, którzy akurat byli w Sussex, i inne ważne osoby, co do których można było liczyć, że będą się dobrze bawić, dużo tańczyć i dużo pić. Elise znała większość nazwisk. Miało to być przyjęcie, na które jej – ani w obecnym, ani poprzednim życiu – nigdy by nie zaproszono. Ale będzie widziała rozpromienione twarze kobiet przechodzących przez pokój wyznaczony na garderobę, poprawiających stroje i fryzury. I każda z tych kobiet będzie mogła tańczyć z lordem Lavayem.

Oczywiście wśród gości była również piękna lady Prideux.

Elise trzymała w palcach jej zaproszenie tak, jak mogłaby trzymać jadowitego węża.

A potem roześmiała się cicho, z desperacją. Ironia losu często dawała o sobie znać w jej życiu i wyglądało na to, że rola lady Prideux doczeka się drugiego aktu.

Przypomniała sobie wyraz twarzy Philippe'a, kiedy mówił o domu.

Pomyślała, że byłaby gotowa zrobić niemal wszystko, by on mógł zdobyć to, czego pragnął.

Tyle że nie mogła to być ona.

Wzięła głęboki oddech i dołożyła zaproszenie lady Prideux do stosu pozostałych, które lokaje mieli doręczać osobiście.

– Wygląda pan maniafik, milordzie.

– Jeżeli wyglądam *magnifique*, to dziękuję ci, James. Jeszcze raz gratuluję szczęśliwego rzutu monetą.

Lustro powiedziało Philippe'owi, że istotnie wygląda *magnifique* w wyprasowanym, wykrochmalonym czarnym fraku i spodniach, tradycyjnie zawiązanym, nieskazitelnym krawacie

wystającym spod grafitowej kamizelki, z twarzą idealnie ogoloną.

Tym samym jego lokaj pokojowiec pomógł mu wrócić do naturalnego środowiska.

Philippe powoli ruszył schodami w dół. Orkiestra, sprowadzona przez panią Fountain, grała jakąś dziarską melodię, która powoli stawała się coraz głośniejsza; głuchy pomruk mieszających się głosów gości przybierał na sile. Kiedy dotarł do półpiętra, wziął głęboki oddech. Poczul zapach perfum i alkoholu, krochmalu i rumu, potu, skandalu. To było jak pierwszy powiew słonego powietrza, zanim jeszcze zobaczysz ocean.

Zapach bogactwa.

Zapach jego dawnego życia.

Był dla niego drugą naturą, podobnie jak zapach morza, i podobnie jak on działał kojąco. Philippe wiedział dokładnie, jak się w nim poruszać, chociaż od bardzo dawna tego nie robił.

Aby się sprawdzić, próbował sobie wyobrazić Alexandrę – lady Prideux – taką, jaką ją widział ostatnim razem. I czekał na... coś. Coś, co się w nim rozpali lub obudzi. I wydawało się, że myśl o niej sprawiła mu przyjemność, choć może to tylko przez skojarzenie ze szczęśliwymi wspomnieniami. Ale uchwycił się tej nadziei, ponieważ zaczął się obawiać, że nigdy nie poczuje nic do nikogo oprócz Elise Fountain.

Ku własnemu zaskoczeniu poczuł dumę z tego, jak wspaniale wyglądał dom. Hol wypełniały kolory i łagodne, oniryczne światło, w którym wszystko i wszyscy wydawali się jaśnieć. Błyskały uśmiechy, połyskiwał jedwab, tafta i wypolerowane czubki butów, obcasy uderzały o podłogę w przyjemnym rytmie tańca. Napawał się tym przez chwilę.

Łatwo było dostrzec w tłumie Alexandrę.

Nie sposób jej nie zauważyć; zawsze umiała olśniewać. Miała olśniewającą powierzchowność, ale oprócz tego jej charakter został ukształtowany przez oczekiwania, które żywiła od urodzenia: żeby zawsze znajdować się w centrum uwagi. Żeby ludzie zalecali się do niej, pragnęli jej towarzystwa i zawsze się nim cieszyli.

A jednak, jeśli dobrze pamiętał, nie była całkiem nieznośna.

Powoli, niespiesznie lawirował wśród tłumu gości. Co chwilę przystawał, by z kimś się przywitać, komuś przedstawić, zamienić kilka słów, podziękować za przybycie, życzyć wspaniałej zabawy. Był tak naturalnie czarujący jak zawsze.

Alexandra obserwowwała, jak się zbliża.

Kiedy stanął przy niej, uśmiechnęła się promiennie i szczerze.

– Zawsze zaskakujesz, Alexa. Właśnie kiedy zaczynam myśleć, że przywykłem do tego, jak jesteś piękna... – Odegrał pantomimę ze strzałą trafiającą go prosto w serce.

Roześmiała się, pacnęła go lekko wachlarzem i nie cofnęła ręki. Jak dziecko, które łapie zabawkę i woła „moje!” Alexandra miała nadzieję, że wszystkie obecne kobiety zauważyły ten gest. Miała suknię z lodowato błękitnego jedwabiu – w odcieniu niemal identycznym z kolorem jej oczu – i nie zdobyła jej dzięki pomysłowości ani przez wymianę. Kupiła ją za pieniądze, których miała oszałamiająco dużo. Włosy o barwie miodu miała ułożone w wymyślną siatkę cienkich warkoczyków, spiętych z tyłu głowy diamentowymi szpilkami. Efekt siatki, którego uzyskanie musiało wymagać sprawnego współpracy czterech pokojówek, był olśniewający. Philippe zastanawiał się, czy istnieje jakaś specjalna szkoła dla takich pokojówek, do której mogą uczęszczać tylko kobiety.

Dwa starannie ułożone, zachwycające loki opadały jej na policzki.

U lady Prideux nie mogło być mowy o przypadkowych lokach.

Bardzo rzadko zdarzało się jej robić coś przypadkowego.

Philippe wyobraził sobie niesforny pukiel czarnych włosów na tle jasnego policzka i natychmiast poczuł niepokój.

Zerknął na schody, chociaż Elise najprawdopodobniej była w kuchni, a może w garderobie, gdzie pomagała damom poprawiać suknie i koafiury.

– Wyglądasz bardzo szykownie, Philippe. I wygląda na to, że z wiekiem coraz lepiej. Właśnie z tego powodu mój ojciec przechowuje pewną butelkę brandy. Przypuszczam, że spróbuje jej na łożu śmierci, a potem umrze naprawdę szczęśliwy.

Philippe roześmiał się.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz oszczędzać mnie aż do śmierci, Alexandro.

– Wolę nie odkładać przyjemności, jeśli nie muszę.

Teraz przypomniał sobie, że Alexandra zawsze była obdarzona nadnaturalną pewnością siebie i lubiła się uważać za ekstrawagancką i nowoczesną. Niegdyś wydawało mu się to zabawne; traktował ją pobłaźliwie, jak traktuje się kociaka, który wdrapuje się po nogawce spodni. Z jakiegoś powodu teraz wydało mu się to trochę jak... piknik pod bezlitośnie palącym słońcem. Nużące.

I jeśli na świecie żyła jakaś dziewczica, była nią Alexandra.

Ale Philippe zdawał sobie sprawę, że nadal jest cenną zdobyczą. Wciąż był Burbonem, nawet jeśli dość odległym od francuskiego dworu. To zaś zawsze było czymś, czego Alexandra pragnęła.

– Cóż za wspaniały detal; twoi lokaje noszą liberie podobne do tych z Les Pierres d'Argent, Philippe.

– Tak, dzięki temu czuję się prawie... jak w domu.

Zaskoczony uświadomił sobie, że naprawdę tak się czuje.

– Nie ma nic równie wspaniałego, jak Les Pierres d'Argent, Philippe. Zawsze wyobrażałam sobie, że tam mieszkam.

To niewątpliwie była doskonała okazja, by powiedział: „i pewnego dnia zamieszkasz”.

Jeszcze kilka miesięcy temu w podobnej rozmowie tak właśnie by stwierdził.

Teraz nie mógł z siebie wydusić tych słów i zapadła chwila krępującej ciszy.

Jej uśmiech stał się nieco napięty.

– Mam nadzieję, że zatańczysz ze mną walca – powiedział.

– Z pewnością będzie okazja zatańczyć więcej niż jednego walca. – W jej głosie zabrzmiała nuta niepewności.

– Ach, nie możesz być tak zachłanna, droga Alexandro. Jestem gospodarzem i mam pewne obowiązki, a akurat ty niewątpliwie wiesz, jak uroczy potrafię być. Nie wątpię, że jeden czy dwóch spośród obecnych tu dżentelmenów będzie pielęgnował przez całą resztę życia wspomnienie o tańcu z tobą.

Pochlebstwo przyszło mu tak łatwo, tak naturalnie. Złapał się na tym, że ma nadzieję, że nie jest aż tak łatwo nią manipulować.

Naburmuszyła się nieco – czarujaco i nie do końca szczerze.

– Dobrze.

– Ale chciałbym zachować najlepsze na koniec.

Lepiej, żeby Alexandra nie poczuła się zbyt pewnie.

Uklonił się nad jej dłonią i ruszył na poszukiwanie hrabiego Ardmaya, ponieważ mieli do zakończenia pewną sprawę. A od tego, co mu powie Ardmay, będą zależały dalsze losy Alexandry.

Jednak, choć był doskonałym nawigatorem, poszukiwania hrabiego dziwnym trafem zaprowadziły go do garderoby dla pań.

Elise i jej podwładni zamienili niewielki pokój obok sali balowej w szatnię i garderobę dla pań. Powiesili ogromne poziome lustro, ustawili przed nim krzesła, a także wydzielili zasłoną

narożnik przy drzwiach. Elise zaczęła tu wieczór; witała napływające olśniewającym strumieniem damy, odbierała peleryny, szale i pelisy. Kitty i Mary zajęły się ostatnimi poprawkami przy stertach kanapek i tart ułożonych na stołach w sali balowej.

– Dobry wieczór, pani Fountain. – Rozległ się cichy głos zza zasłony.

Serce jej drgnęło i Elise odwróciła się gwałtownie ku Philippe'owi w tej samej chwili, gdy jakaś dama podawała jej szal. Nieszczęsna kobieta runęła do przodu, wymachując rękoma. Philippe skoczył niczym tygrys i chwycił ją, zanim zdążyła upaść na podłogę.

Posadził ją, a Elise posłała jej ciepły uśmiech.

– Na pewno nie chce pani stracić walca – zwrócił się do niej. – Wkrótce zaczną grać.

Proszę pędzić!

Dama była tak zaskoczona, że bez słowa wstała i pobiegła.

Elise usilnie starała się nie roześmiać.

– Widzi pani, wszystkie kobiety już zakochują się we mnie.

Zignorowała to.

– Dobry wieczór, lordzie Lavay. Wślizgnął się pan tutaj ukradkiem. Wygląda pan bardzo szykownie.

Prawdę mówiąc, jego wygląd zapierał dech w piersiach i wstrzymywał bicie serca.

– Nieprawdaż? – Uśmiechnął się. – I myślę, że pachnę również wspaniale.

Jeśli zamierza uśmiechać się do niej w taki sposób i mówić takie rzeczy, znowu się zapomną i będą się sobą cieszyć, jakby na całym świecie nie było nikogo innego, a to po prostu nie może się udać. Cofnęła się podświadomie, jakby chciała zrobić miejsce na wszystkie uczucia, które wniósł ze sobą do tego pokoju. Odruchowo wyciągnęła rękę, aby odebrać kolejny płaszcz.

Starła się utrzymać bezpieczny dystans.

– Czy mam od pana wziąć płaszcz, lordzie Lavay? Chce pan o coś zapytać albo potrzebuje pan pomocy?

– Sala wygląda pięknie. Dziękuję pani za ciężką pracę.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– I chciałbym podziękować jeszcze raz za pomoc z walcem, ponieważ dzięki temu będę mógł dziś tańczyć, nie martwiąc się, czy podołam. Ale mam wrażenie, że teraz pani i ja wdaliśmy się w coś w rodzaju tańczenia reela.

Zaskoczona, wciągnęła gwałtownie powietrze w płuca.

Ponieważ zrozumiała.

Zbliżają się i oddalają. Zbliżają i oddalają. Zbliżają i oddalają.

Ich oczy się spotkały.

I nagle znowu poczuli się, jakby byli ostatnimi ludźmi na ziemi, mimo że wokół nich kłębili się rozbawieni goście.

Ktoś podał jej następny płaszcz.

Nie zauważyła tego.

Zniecierpliwiona kobieta potrząsnęła nim, żeby zwrócić uwagę Elise.

Odebrała ubranie i uśmiechnęła się ciepło do zdumionej damy.

– Czy dziś wieczorem zamierza pan znowu być Francuzem? – spytała szeptem Lavaya.

Była to swego rodzaju riposta.

– Czyż nie tego się pani po mnie spodziewa, pani Fountain? – odparł cicho.

Powietrze między nimi zdawało się iskrzyć.

Reel dobiegł końca.

Koniec tańca przywrócił Elise poczucie rzeczywistości. Odwróciła się i zobaczyła istny bukiet wyciągniętych ku niej rąk z szalami. Być może właściciele tych rąk mówili nawet coś do

niej. Ale jeśli tak, to ani ona, ani Philippe tego nie słyszeli.

Odebrała wszystkie okrycia.

– Dziękuję, dziękuję, dziękuję – mówiła do kobiet. – Wszystkie wyglądacie panie pięknie. Dziękuję.

Damy skupiły się przy lustrze, poklepując fryzury i otrzepując pogniecione w powozach suknie, po czym odplynęły, spowite w uśmiechy i promieniejące nadzieją.

Elise skrzyżowała ręce na piersi.

– Lordzie Lavay, goście znajdują w sali balowej ratafię i poncz owocowy, dość kanapek, by nakarmić armię, tarty z dżemem, które, jak sądzę, zaspokoją najbardziej wybredne podniebienia, i całkiem przyzwoitą orkiestrę, która może grać nieco za szybko, jeśli nie da im pan pić, ale jeśli wypiją za dużo, mogą stać się ckliwi, a potem wdać się w bójkę. Ramsey i James będą patrolować salę balową i pomogą wyrzucić każdego, kto stałby się uciążliwy. Będą też pilnować, czy nie brakuje jedzenia i napojów. A teraz proszę się pospieszyć, bo ominie pana pierwszy walc.

– Dziękuję, pani Fountain. Cóż począłbym bez pani?

– Zakładam, że to jest retoryczne pytanie.

Uśmiechnął się do niej, a ona poczuła ucisk w sercu.

Nic nie wskazywało, żeby zamierzał odejść.

Elise zrobiła to, co wiedziała, że powinna zrobić: odwróciła się od niego i odeszła, podchodząc do lustra i udając, że musi poprawić fryzurę.

Jakby odsyłała go z powrotem do jego naturalnego środowiska.

Nie mogąc sobie znaleźć miejsca, Philippe wrócił do sali balowej, która teraz wydała mu się mniejsza i ciemniejsza w porównaniu z małą garderobą – a właściwie z każdym pomieszczeniem, w którym przebywała Elise Fountain.

Szczęśliwie napotkał lorda Ardmaya częstującego się bez większego entuzjazmu ratafią.

– Pamiętasz ten bal dwa lata temu, Flint, na którym podsłuchałem grupkę młodych dam dyskutujących na temat twojego... jak to było? „Męskiego błogosławieństwa”?

Flint omal nie zakrztusił się ratafią.

– Lepiej to wypluj – poradził Lavay. – Nie obrażę się.

– Ten, na którym pierwszy raz tańczyłem z moją żoną. Oczywiście.

– Mówiąc ściśle, to ja pierwszy z nią tańczyłem. Ty zatańczyłeś później.

– Przewrotna jak zawsze Violet wybrała mnie.

– Co tylko dowodzi, że los mi sprzyja, przyjacielu, ponieważ nikt inny nie chciałby żadnego z nas.

– Jeśli fortuna toczy się kołem, to w końcu obróci się na moją korzyść. I twoją. A skoro już rozmawiamy o przeznaczeniu, Lavay...

Zamilkł, zawierając w tym milczeniu nutę wahania i przeprosin, co wystarczyło, by Philippe domyślił się, o co mu chodzi.

– Nie musisz tego mówić, Flint. Wiem.

Philippe był przygotowany na odpowiedź, lecz i tak nie była ona przyjemna: hrabia nie zamierzał przyjąć najnowszej królewskiej misji.

– Przykro mi, stary. Naprawdę. – Flint dobrze wiedział, jakie znaczenie mają dla Lavaya pieniądze i ta misja. – Duża część mnie chce przyjąć to zlecenie, i to nie tylko ze względu na pieniądze. Ale reszta mnie, ta część, która nigdy nie miała rodziny, za nic nie chce jej teraz opuścić.

– Nie musisz się tłumaczyć – powiedział z roztargnieniem Philippe. Wciąż starał się pogodzić z tą decyzją.

– I wiem, jak uchronić nas od śmierci głodowej, Lavay. A nawet zapewnić nam w końcu

dobrobyt. Możemy dołączyć do nowej grupy inwestycyjnej Jonathana Redmonda. Właśnie teraz mają na oku ładunek przypraw, herbaty i jedwabów z Indii, a możemy wykorzystać „Fortunę”. Nie musimy sami szukać załogi; wystarczy, że wynajmiemy kapitana razem z ludźmi. Ale na zyski będziemy musieli poczekać kilka miesięcy. Wiem, że potrzebujesz pieniędzy wcześniej.

Za mało powiedziane. Monsieur Le Grand sprzeda Les Pierres d’Argent, jeśli Philippe nie zapłaci w ciągu miesiąca.

Lavay niemal nieświadomie odwrócił się w stronę Alexandry, pochłoniętej oczarowywaniem jakiegoś młodego człowieka, którego nazwisko Philippe zdążył już zapomnieć.

To dziwne, ale zupełnie nie poczuł się zazdrosny.

– Przyjmiesz sam to zadanie? Będziesz szukał kogoś, kto mnie zastąpi? Jakby dało się mnie zastąpić. – Flint próbował żartować.

– Nie wiem – odparł nieobecny głosem Philippe. Naprawdę nie wiedział.

– Powinieneś się ożenić, Philippe – powiedział hrabia, podążając za jego spojrzeniem. – Jesteś samotny.

Philippe dla porządku przyjął tę sugestię lekceważącym parsknięciem. Ale obaj wiedzieli, że Flint ma rację.

Przez chwilę nic nie mówili.

– Czy myślisz – zaczął powoli Philippe – że poślubienie niewłaściwej osoby może sprawić, że poczujesz się jeszcze bardziej samotnie?

Na te słowa hrabia odwrócił się i przyjrzał uważnie Philippe’owi.

Philippe nie spojrzał mu w oczy.

– Mogę ci powiedzieć tylko tyle: byłem sierotą. I pamiętaj, ożeniłem się z jedyną kobietą, która chciała mnie poślubić. Ale uwierz mi, nieskończenie lepiej jest czuć, że gdzieś należysz. Albo do kogoś. I myślę, że ty też o tym dobrze wiesz.

Philippe nie odpowiedział. Zerknął w stronę garderoby i sama myśl o Elise Fountain była słodka i upajająca. Myśląc o niej, przez chwilę poczuł się lepszy, spokojniejszy.

– Uśmiechasz się. O czym myślisz? O kim? – spytał hrabia.

Philippe spojrzał na niego. Kapitulacja malująca się na jego twarzy wystarczyła za odpowiedź.

Ale nie zamierzał zdradzić jej imienia.

Hrabia westchnął cicho.

– Wiem też coś jeszcze, Lavay. Był czas, kiedy myślałem, że będę musiał żyć bez Violet. Wiesz o tym. Ona była warta tej ofiary.

– Przypuszczam, że każdy ma nieco inną definicję ofiary.

– Zgoda – potwierdził Ardmay.

– Czy myślisz, że Lyon Redmond wciąż kocha Olivię Eversea?

– Czy prowadziliśmy takie rozmowy, zanim się zestarzeliliśmy?

– Nie jesteśmy starzy. Tylko trochę zużyci.

Flint parsknął śmiechem.

– Rozmawialiśmy o miłości i ofierze i tak mi przyszło do głowy.

Znowu zamilkli.

– Strasznie jest pozostawać w stanie zawieszenia – powiedział Flint. Zabrzmiało to jak współczucie. Lavay zastanawiał się, czy Olivia Eversea jest w stanie zawieszenia.

– To prawda – przyznał Lavay. – Idź, zatańcz ze swoją żoną, Ardmay. Ja zamierzam zatańczyć z Olivią Eversea.

Znalazł ją drogą dedukcji: stała pośród znanych mu członków rodziny Eversea. Był tam Colin, Marcus, Chase i ich żony.

Z daleka Olivia wydała mu się drobniutka, krucha, a jednak obdarzona królewską godnością. Granatowa suknia podkreślała jasną jak porcelana cerę. Wyglądała jak królowa wrózek. Z bliska okazało się, że jest trochę za chuda, ale przez to jej oczy wydawały się ogromne i lśniące. Przypominała klejnot o wielu fasetkach, roziskrzony, twardy i odległy.

– Lavay! – przywitał go lord Landsdowne, jej narzeczony.

– Dziękuję za zaproszenie. Miło widzieć, że tak dobrze wyglądasz.

Przywitał ich wszystkich ukłonem.

– Dziękuję, Landsdowne. Panno Eversea, jak to miło, że pani przyszła. Czy mógłbym poprosić panią do tańca?

– Chyba niczego bym panu nie odmówiła w podzięce za to, że przerwał pan zimową nudę, organizując to przyjęcie. Będę zachwycona. Nie masz nic przeciwko? – spytała Landsdowne’a.

– Oczywiście, że nie.

Pewnie raczej mu się to nie podobało, ale będzie się cieszył towarzystwem tej kobiety przez resztę życia, a Philippe chciał się dowiedzieć, dlaczego Olivia przyjęła oświadczyzny tego człowieka.

Przecież to z nią Lyon Redmond zaręczył się w niesłychanie dramatycznych okolicznościach. Podobno złamała mu serce i przez nią wycofał się z życia towarzyskiego. Jej odmowa roznieciła na nowo odwieczną wrogość pomiędzy rodzinami Redmondsów i Eversea i przypomniała wszystkim o klątwie, którą niegdyś podobno rzucono na te rody: że w każdym pokoleniu należąca do nich para młodych zakocha się w sobie z katastrofalnym rezultatem. Lyon Redmond musiał porzucić rodzinę i zrzec się praw do dziedzictwa, żeby okazać się godnym tej kobiety.

W dodatku od dwóch miesięcy przebywał w Londynie.

– Czy mogę jeszcze raz pogratulować zaręczyn, panno Eversea?

– Dziękuję, lordzie Lavay. Czy ja również będę mogła wkrótce składać gratulacje z podobnego powodu?

Słyszał już wcześniej, że panna Eversea jest niepokojąco bezpośrednia, co w połączeniu z jej oszałamiającą urodą oraz upodobaniem do angażowania się w różne kampanie, zwłaszcza przeciwko niewolnictwu, odstraszało wszystkich mężczyzn, z wyjątkiem tych najtwardszych. Lavay podejrzewał, że to taktyka obronna, bo Lyon Redmond skradł jej serce i zniknął. Postanowiła więc odstraszać wszystkich, by nie zauważono, na kim jej naprawdę zależy.

Muzycy okazali się zaskakująco utalentowani, a skrzypek o romantycznych, kruczych lokach grał *Sussex Waltz* ze stosownym patosem. Już dwa razy zatoczyli koło na sali balowej. Kątem oka obserwował wirujące pary. Jak koła zębate w zegarku.

Ani razu nie spojrzała na Landsdowne’a.

Nawet okiem nie rzuciła w tamtą stronę.

Z kolei Landsdowne nie spuszczał z niej wzroku, nawet gdy gawędził z innymi gośćmi. Jakby był kompasem, stale wskazującym jeden kierunek.

- Czy wybraliście już datę ślubu, panno Eversea?
- Na wiosnę, żeby goście mogli wygodnie do nas dojechać. To będzie druga sobota maja.
- Tutaj, w Pennyroyal Green?
- Zadaje pan wiele pytań, jak na kogoś, komu nie śpieszy się do ożenku. Owszem.
- Trzeba się przygotować do tego co nieuniknione i zgromadzić niezbędne informacje.

Roześmiała się.

Łatwo było zrozumieć, dlaczego jest tak pociągająca. Emanowała bezpretensjonalną inteligencją, wdziękiem oraz odrobiną niecierpliwości, która mówiła, że nie znosi głupców, ale zdaje sobie sprawę, że niełatwo jest spotkać mężczyznę, który nie należałby do tej grupy.

Ciekawe, co by zrobiła, gdyby powiedział jej, że niespełna dwa miesiące temu, w bezkسیężycową noc leżał na ziemi, wykrwawiał się niemal na śmierć i patrzył prosto w niebieskie oczy Lyona Redmonda.

– Nie umrzesz – powiedział Redmond z niezmaconym spokojem. Widać było, że przywykł do rozkazywania i decydowania, na przykład o czyjejs śmierci. Podobnie jak Lavay. A teraz Lavay zawdzięczał mu życie.

Wiedział, że nie zazna spokoju, dopóki nie spłaci tego długu.

Ciekawe, czy Olivia Eversea tkwiąca w Sussex przez cały czas, gdy Redmond pływał po morzach, rozpoznałaby go w tym człowieku, którym się stał.

Czy miłość ogarniała człowieka wbrew jego woli, jak ruchome piaski? Czy też można było się jej nauczyć, jak łaciny? A może każdy nosił w sobie od urodzenia miłość do konkretnej osoby, jak chorobę, która pozostawała uśpiona do chwili pierwszego spotkania?

Nie miał pojęcia i podejrzewał, że Olivia też tego nie wie. Ta niewiedza pozwalała im płynąć z prądem życia, ale nie zwalniała ich z konieczności podejmowania decyzji.

– Proszę to potrzymać, muszę poprawić sobie włosy. – Lady Prideux podała Elise swój szal, nie zaszczycając jej spojrzeniem ani nie czekając na odpowiedź. To było polecenie, a nie pytanie.

Elise mogła się jej więc przyjrzeć z bliska. Idealnie prosty nos i blade usta. Odrobinę wysunięta górna szczęka dodawała jej tylko uroku. Skórę miała delikatną i jasną jak sewrska porcelana.

Była bardzo piękna.

I podła.

Nagle podniosła wzrok, jakby poczuła gorący wzrok Elise.

Znieruchomiała.

Więc w końcu mnie jednak rozpoznała.

Chyba trochę ruszyło ją sumienie, bo jej policzki poróżowiały.

– Och, to pani... panno Fountain.

– Tak. Znowu się spotykamy, lady Prideux. – Elise złożyła ukłon.

– Przepraszam. Nie poznałam pani w tej roli. To zupełnie inna profesja, prawda?

W jej głosie zabrzmiała zimna, złośliwa nuta.

– Na to wygląda.

– Nie wiedziałam, że pracujesz u Phil... to znaczy u lorda Lavay. Dla mnie to oczywiście po prostu Philippe.

– Naturalnie – odparła gładko Elise, zaciskając szczęki. To imię brzmiało okropnie, kiedy wypowiadała je lady Prideux. Należało przecież do Elise.

– Cieszę się, że udało ci się stanąć na nogi. – Uśmiechnęła się nieszczerze Alexandra. Była przekonana, że Elise w roli służącej stała się niewidzialna w towarzystwie.

Zasiadła więc przy toalecie i przyglądała się sobie, przechylając głowę. Albo po raz

tysięczny podziwiała swoją urodę, albo szukała ewentualnych niedoskonałości, które mogły się przecież pojawić po drodze z domu do Alder House.

Elise również jej się przyglądała i wyobrażała sobie, z jaką przyjemnością ukłębą tę damulkę szpilką i gdzie wycelowałyby najpierw.

Lady Prideux odwróciła się nagle i Elise natychmiast przybrała nieprzenikniony wyraz twarzy.

– Mam nadzieję, że nie chowasz urazy w związku ze sprawą mojej siostry – powiedziała lady Prideux. – Nasza rodzina jest po prostu niezwykle wyczulona na kwestie edukacji moralnej, szczególnie jeśli chodzi o młode dziewczęta. Co więcej, Colette jest niezwykle wrażliwa. Jestem pewna, że rozumiesz, dlaczego to zrobiłam. Tym bardziej że sama jesteś... matką. – To ostatnie słowo wymruczała ze szczególną satysfakcją.

W rzeczywistości Colette była śliczna, głupia i złośliwa. Elise zwykle rozstrzygała wszelkie wątpliwości na korzyść uczniów – co najmniej z dziesięć razy. Dopiero potem wyrabiała sobie o nich ostateczną opinię. Ta mała na pewno miała jeszcze szansę. Elise wciąż w to wierzyła. Ale z taką siostrą, szansa była naprawdę niewielka.

Nie to było jednak powodem determinacji Prideux, która z zimną nienawiścią sprawiła, że Elise straciła pracę.

Elise w trosce o dobro uczennicy rzeczywiście powiedziała zbyt wiele, obrażając tym lady Prideux, która ewidentnie pragnęła, by uważano ją nie tylko za piękną, lecz także inteligentną.

– Zapomnijmy o tym wszystkim, dobrze? – Nie czekając na odpowiedź Elise, dama zwierzyła się pensjonarskim szeptem: – Wkrótce zamierzam się zaręczyć. Może nawet dziś wieczór. Muszę ślicznie wyglądać – dodała i zaśmiała się cicho. – Jak ci się podobam?

– Ma pani cudowną fryzurę, lady Prideux.

– Cztery służące ją upinały przez pół wieczoru – pochwaliła się Alexandra z satysfakcją. – I mimo to nie do końca się trzyma. – Poprawiła spinkę z diamentem. – Mogłabyś mi pomóc?

Wyniosły ton zdradzał, jaką satysfakcję sprawiło jej wydanie tego polecenia.

Elise drżącą ręką wzięła podaną jej spinkę i wsunęła ją na miejsce, choć najchętniej ukłębą nią lady Prideux. Ścisnęło ją dołka na myśl, że Philippe będzie dotykał włosów tej kobiety... Na pewno, skoro ma się z nią ożenić.

– Czas już na mnie, idę zatańczyć z Philippe – powiedziała Alexandra. Przyglądała się Elise, jakby chciała się utwierdzić w przekonaniu, że jest od niej piękniejsza. Urodziwe kobiety często to robią, pomyślała Elise. Porównują się z innymi jak na konkursie piękności.

Alexandra, wyraźnie zadowolona z siebie, wstała i odwróciła się, by wyjść.

– Och, Lady Prideux, obawiam się że pani włosy z tyłu trochę się obsunęły – powiedziała Elise.

Dama zatrzymała się w pół kroku.

– Ojej, czy mogłabyś je poprawić, panno Fountain?

Odwróciła się do Elise, która wysunęła jedną ze szpilek, uwalniając jeden ze starannie zaplecionych, cienkich warkoczyków, a potem podciągnęła go do góry i przypięła na nowo, tak że sterczał pionowo, na samym środku głowy.

– Zrobione. Teraz wygląda pani doskonale – powiedziała serdecznie Elise.

Doskonale... zupełnie jak jednorożec.

– Dziękuję, panno Fountain – odparła lady Prideux z niezmaconą pewnością siebie i płynnym krokiem wróciła do sali balowej.

– Chciałabym odetchnąć świeżym powietrzem. Nie można powiedzieć, by panował tu tłok, Philippe, ale jakoś brakuje mi tchu. Może podeszlibyśmy do okna... albo przespacerowali

się po ogrodzie?

Philippe drgnął na jej widok.

Na środku jej głowy kiwał się pojedynczy warkoczyk, jak gotowa do ataku kobra. No cóż, nieraz trudno jest nadażyć za modą. W końcu Alexandra dopiero co wróciła z Paryża.

– *Certainement* – odparł ciepło, nie spuszczać czujnego wzroku z kobry i podał ramię damie.

Poprowadził ją przez tłum gości ku balkonowym drzwiom wychodzącym na ogród.

– Aaaa! Patrzy się na mnie! – wykrzyknął jakiś młody człowiek, wskazując na warkoczyk Alexandry. – Ma czułki i mnie obserwuje!

– Proszę się nim nie przejmować. Jest pijany – wyjaśnił jego towarzysz, ale sam też popatrzył na nią niespokojnie.

– To świetnie – odparł gładko Philippe. – Cieszę się, że się dobrze bawicie.

– O czym on mówił, Philippe?

– Pewnie coś mu się przywidziało.

Głowy obracały się ku nim, oczy otwierały się szerzej, ale Alexandra przyjmowała to jako hołdy składane swojej urodzie.

Po jej odejściu Elise wymknęła się z przebieralni, pozostawiając na posterunku rozemocjonowane Mary i Kitty. Poszła na górę, by zajrzeć do Jacka.

Odetchnęła głęboko i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że cały czas wstrzymywała oddech. Spojrzała na śpiącego syna. Jego równy oddech był jak najpiękniejsza muzyka na świecie. Przez chwilę rozkoszowała się jego bliskością i jasną, oczyszczającą, promienną miłością.

Potem poszła do siebie i przesunęła dłonią po oparciu swojego przyjaciela – pięknego, brązowego fotela. Zatrzymała się na chwilę przy oknie.

Po ogrodzie spacerowała para cieni.

Cicho, powoli uchyliła okno.

Teraz mogła słyszeć głosy. Słów nie dało się rozróżnić, do jej uszu dochodził tylko ton rozmowy.

Usłyszała śmiech.

Kobięcy śmiech.

W ciemności zamigotał ognik papierosa, jak lecący świetlik. Ktoś mówił, szeroko gestykulując.

Jak Francuz.

Noc była chłodna i czysta, a gwiazdy migotały na niebie jak soplek lodu, niby echo roziskrzonych żyrandoli z sali balowej.

Poczuła się tak oddalona od zgromadzonych na dole arystokratów, jakby była jedną z tych gwiazd, zawieszonych miliony mil nad nimi. Patrzyła na nich z wysoka – i tylko tyle mogła zrobić.

Obserwowała więc scenę w dole, jakby to była jakaś kara.

Nie miała żadnych wątpliwości, że patrzy na lady Prideux. Ciekawe, czy ten pionowy warkoczyk rzuca cień w świetle księżycy.

Ile razy Philippe bywał w życiu na takich balach, na przyjęciach, ile kobiet brał w ramiona, z iloma sypiał, z iloma spacerował po ogrodach?

Może i będzie szczęśliwy z tą okropną lady Prideux. W końcu należą do tego samego towarzystwa. Na samą myśl o tym Elise miała wrażenie, że pod jej stopami otwiera się przepaść, która pogrąża ją w niepamięci.

Upadła kobieta. Jak to poetycznie brzmi. Szkoda tylko, że ten upadek nie ma końca.

Zamknęła oczy i przypomniała sobie ten pocałunek, te rozplamione, zauroczone, pełne niepewności oczy, jego smak, drżenie jego ciała, gdy jej dotykał, i jego nagle znieruchomiałą, pełną żalu twarz, gdy go od siebie odepchnęła.

Emocje przepływały przez nią – gorące, oślepiające, niebezpieczne jak ostrze miecza. Dotknęła palcami ust, musnęła je wargami i zamknęła oczy.

Jakby posyłała mu pocałunek na pożegnanie.

Philippe i Alexandra szli skąpaną w blasku księżycy ścieżką ku ławce stojącej między strzyżonymi krzewami.

Dobiegający z oddali chichot powiedział Philippe'owi, że nie oni jedni wpadli na ten pomysł.

– Philippe, nie zapytałam cię jeszcze, jak ci się podoba w Pennyroyal Green?

– Jak mi się tu podoba? Powiedzmy, że przestałem się dziwić, dlaczego rodzina Eversea tak zdziwała. Po prostu z nudów.

Zaśmiała się cicho.

– To niemożliwe, żeby tu było aż tak źle. Piękne pagórki, widok na morze, ładne budynki, wieśniacy jak z obrazka... i gospodyni jak z obrazka...

Rzucił jej ostre spojrzenie z ukosa.

– *Certainement*, Redmondowie i państwo Eversea wyglądają całkiem niezgorzej – odpowiedział z niezmaconym spokojem.

– Możesz przecież ruszyć w las i zająć się jakimś męskim sportem, prawda? Postrzelać do różnych stworzeń, albo coś w tym rodzaju.

– Niestety, pogoda nie sprzyjała takim zajęciom. Może teraz, kiedy doszedłem do siebie, rzeczywiście stałem się trochę niespokojny. Z przyjemnością myślę o powrocie do własnego domu albo na pokład własnego statku. Nie lubię żyć w zawieszeniu.

– Rozumiem – odpowiedziała kojąco. – Każdy lubi się otaczać własnymi rzeczami. Mężczyźni źle znoszą pobyt w małych wiejskich domach; czują się jak w pułapce. A ty tak przywykłeś do tego, że ciągle jacyś groźni ludzie wyskakują z cienia...

– Wiewiórki też wyskakują z cienia. Poza tym, jak zwykle mam dobry refleks.

– Poza tym tu na wsi tak bardzo brakuje dobrze wyszkolonej służby... Jak to się mówi? *Avoir le mal du pays*. Człowiek lepiej się czuje wśród służących, którzy od pokoleń przywykli do tej pracy, jak mój ukochany lokaj François. Jestem przekonana, że talent do służenia lepszym od siebie wysysa się z mlekiem matki, prawda? Ty niestety musisz się pogodzić z tym, że dom prowadzi ci jakaś prostaczka.

Zatrzymał się nagle.

– Prostaczka? – powtórzył spokojnie.

Jakże fałszywie zabrzmiały te słowa. Nigdy w życiu nie określiłby Elise jako prostaczki.

Poczuł u podstawy szyi dreszcz, jak ostrzeżenie.

– Tak. Choć w tej nowej roli wydaje się dość kompetentna. – Alexandra okrągłym ruchem okrytej rękawiczką dłoni wskazała dom, jakby chciała powiedzieć, że bal nie najgorzej się udał. – Widać, że jesz nie najgorzej, a dom jeszcze się nie spalił. No cóż, przynajmniej tego można się spodziewać po służbie, jaką można znaleźć tu na wsi.

– Przepraszam cię, ale trochę zdziwiły mnie te insynuacje. Czyżbyś wcześniej znała moją gospodynię?

Przechyliła głowę, przyglądając mu się w przefiltrowanym przez chmury świetle księżycy. Potem zrobiła uroczą minę i współczująco poklepała go wachlarzem.

– Och, przepraszam cię, Philippe. Myślałam, że o tym słyszałeś i po prostu wybrałeś mniejsze zło. Ale ty przecież nie znizaszaś się do słuchania miejscowych, prowincjonalnych plotek.

Zresztą, mało kto o tym wie i wszyscy są dziwnie dyskretni, więc to nie powinno mieć na ciebie żadnego wpływu. Założyłam po prostu, że zatrudniając tę kobietę, wiedziałeś, dlaczego usunięto ją z pracy w szkole, i że świadomie podjąłeś decyzję.

– Nazywa się pani Fountain – odpowiedział jedwabnym głosem.

Obawiał się, że straci nad sobą kontrolę, jeżeli Alexa jeszcze raz nazwie Elise „tą kobietą”.

Tylko hrabia Ardmay mógłby powiedzieć, jak wielki targał nim teraz gniew.

Może jeszcze Elise.

– To oczywiście, że pani... Fountain. – Alexandra zaśmiała się nieprzyjemnie.

Cierpliwość Philippe’a się skończyła.

– Alexa, taka nieśmiałość jest niepodobna do ciebie. Redmondowie przedstawili mi panią Fountain jako osobę o nieposzlakowanym charakterze. To wystarczyło, by ją zatrudnić, i jak na razie radzi sobie bezbłędnie z prowadzeniem domu. Szczerze mówiąc, sprawiła, że zrobiło mi się całkiem... swojsko – dodał po chwili zastanowienia, bo nie umiał znaleźć słowa, które określiloby to, co zrobiła z nim i dla niego.

Jak głupio to zabrzmiało. Prawie jak kłamstwo. O mało się nie roześmiał. W obecności Elise doświadczał wielu uczuć, ale ostatnio daleko było im do swojskości.

– To oczywiście, że nie sposób zarzucić nic prowadzeniu tego domu – zgodziła się wielkodusznie Alexandra. – Bez wątpienia ma aż za wysokie kwalifikacje na gospodynię. Wychowała się w porządnym domu, a potem panna Marietta Endicott zatrudniła ją w swojej renomowanej akademii dla młodych dam, gdzie nauczała dziewczęta wielu przedmiotów. Tyle że jej charakter nie predestynuje jej do przebywania w otoczeniu młodych dam. Właściwe dla niej miejsce to pomieszczenia pod schodami, wśród ludzi o podobnych temperamentach. Moim zdaniem kobiety, które posiadają... nazwijmy to... niskie impulsy... nie powinny uczyć młodych dziewcząt, a już na pewno nie trudnych panien, które znalazły się w tej akademii. Choć z drugiej strony, wbrew obiegu opinii, uważam, że dziewczęta te mają po prostu dużo energii, a nie, że brak im ogłady...

Przypomniął sobie, że najmłodsza siostra Alexandry uczęszcza do tej akademii.

– Niskie impulsy? – zapytał z niedowierzaniem.

– Tak – odpowiedziała poważnie.

Nagle pomyślał o śmiechu Elisy, o tym, że jego dźwięk wznosił się i opadał jak muzyka. Był niby nagroda, a Philippe zrobiłby wszystko, żeby na niego zasłużyć. Taka pieśń, niby bez melodii, ale płynąca we własnym, uroczym rytmie.

I ta tarta jabłkowa.

I wyraz twarzy, z jakim patrzyła na syna... Philippe’a aż ścisnęło w gardle na ten widok.

I ten cichutki, gardłowy dźwięk, gdy ją całował.

I te miękkie... Boże, jakże miękkie i szczodre usta.

Jego impulsy też brały źródło z niższych części jego ciała.

Za to jej zachowanie było pełne uroku, wewnętrznego wdzięku, wrodzonej serdeczności.

Wszystkie te emocje targały nim w różne strony, jakby walczyły ze sobą o pierwszeństwo.

Przeważyla nieokreślona, lodowata furia.

Słuchając Alexandry, nagle zrozumiał, dlaczego niskie impulsy tłumu sprawiają, że arystokraci tracą głowę.

– Proszę cię, powiedz mi więcej, zważywszy na to, że zatrudniam ją u siebie w domu – zachęcił ją spokojnie.

– Och, jestem pewna, że jest nieszkodliwa, i niewątpliwie dobrze sobie radzi z obecnym

zakresem obowiązków, ale jej przeszłość... No cóż, jest raczej niesmaczna. – Ostatnie słowo wypowiedziała szeptem.

Miał ochotę zrobić coś okropnego i brutalnego, na przykład potargać jej włosy. Ależ by wrzeszczała.

– Bądź spokojna, moja miła Alexandro. Trudno mną wstrząsnąć. Ale jeżeli twoja niezwykła wrażliwość zniesie wspomnienie sytuacji, w której dowiedziałaś się o... niskich impulsach pani Fountain... czy mogłabyś opowiedzieć mi o tym coś więcej?

Zamrugła słysząc ton jego głosu, który był wyraźnie ostrzejszy niż zwykle. Wzięła głęboki oddech, wyraźnie zadowolona z tego, że uznał ją za osobę o niezwykłej wrażliwości, a potem zniżyła ton i odpowiedziała gorączkowym szeptem.

– Nazywał się Edward Blaylock. Był synem prawnika i uczył się tego zawodu w Londynie. Przyjechał odwiedzić młodszą siostrę, która przyjechała tam do szkoły. Podobno był bardzo przystojny i wszystkie nauczycielki się w nim podkochiwały. Ale jemu spodobała się pani Fountain. Chodzili na spacer, odwiedzał ją wieczorami... No cóż, powiedzmy, że jego zainteresowanie było widoczne dla wszystkich. Ale pewnego dnia zniknął. W dziewięć miesięcy później ona urodziła syna, ale trzymano to w tajemnicy. Mało kto o tym wiedział, a ona dalej pracowała w szkole. Tylko, że nie zmieniła nazwiska na Blaylock. Z oczywistego powodu...

Philippe dosłownie utracił czucie w całym ciele. Podobne uczucie ma się, gdy człowieka przesywa szpada, na ułamek sekundy przed uderzeniem bólu.

Nagle piękne, rozgwieżdżone niebo stało się przerażająco bezosobowe i nieskończenie wielkie.

Czy Elise też tak się czuła, spoglądając w niebo po tym, kiedy się okazało, że jest w ciąży?

„Ojciec Jacka odszedł”, powiedziała tylko.

Przystojny ojciec Jacka odszedł... i nie wrócił.

– Philippe?

Zdaje się, że zbyt długo milczał.

– Od kogo się tego dowiedziałaś, Alexandro?

Powiedział to spokojnym, równym głosem. Miał wrażenie, że słyszy sam siebie z dużej odległości. Czuł się dziwnie pusty w środku, jakby czekał, by wypełniły go odpowiednie emocje. Sam nie wiedział, jak się czuje.

Ciekawe, że nie odpowiedziała od razu.

– Jedna ze szkolnych służących podzieliła się ze mną tą informacją.

Milczał.

Wyraźnie zdziwiło to Alexandrę, która pospiesznie zaczęła wyjaśniać.

– W akademii wyraźnie spiskowano, by mogła pracować dalej, pomimo tego moralnego upadku. Nie sądzisz, że było to bardzo ryzykowne? Przecież są uzależnieni od chętnego i poparcia bogatych dobroczyńców!

– Pewnie mieli świetne powody, żeby ją zatrzymać.

– I równie świetny powód, by się jej w końcu pozbyć – stwierdziła kwaśno.

Co za przedziwne uczucie. Słowa łączyły się ze sobą, opowiadając o kobiecie, która stała się dla niego najważniejsza z dotychczasowych znajomych. Najchętniej rozdarłby je na strzępy – jakby były siecią, oplatającą jego i Elise.

Ciekawe, gdzie kochała się z tym całym Edwardem Blaylockiem?

Powoli zacisnął pięść.

I gdzie, do diabła, był Edward Blaylock?

– Wyobraź sobie tylko, jakaś kobieta kochała się z mężczyzną. Co za szok – powiedział.

Do Alexy zupełnie nie dotarł ukryty sens tych słów.

– Przypuszczam, że to normalne – odparła lekko i delikatnie położyła wachlarz na jego ramieniu, jakby uzurpowała sobie prawo, do robienia z nim takich rzeczy w niedalekiej przyszłości. – Ale to źle świadczy o jej zdrowym rozsądku. Albo panowaniu nad sobą. Biedaczka – dodała z fałszywym współczuciem. – Że też ktoś taki jak ona mógł zachować się aż tak naiwnie! Tym bardziej że poza sobą samą nie miała nic, co mogłaby ofiarować mężczyźnie!

Odwrócił się powoli i popatrzył na Alexandrę.

– Ktoś taki jak ona? – powtórzył, jakby odezwała się do niego w obcym języku, na przykład po turecku. – Muszę przyznać, że nigdy w życiu nie spotkałem kogoś takiego jak ona.

Czuł, że wszystko w nim napina się jak sprężyna.

– Wielkie nieba! Ja także nie! – wykrzyknęła Alexa z naciskiem, jakby chciała go o czymś zapewnić, i lekko zadygotała. Ona miała do zaoferowania nie tylko swoją urodę i dziewictwo, ale również olbrzymią fortunę, która mogła uratować i życie, i całą dynastię. – Ale przynajmniej dostała tu posadę, przynajmniej na jakiś czas. Pewnie wszyscy w końcu trafiamy na swoje miejsce.

– Wszyscy w końcu trafiamy na swoje miejsce... – powtórzył powoli i ironicznie. – Jakie to niezwykle odkryć, że jesteś nie tylko piękna, ale też i głęboka, Alexo.

Ponieważ ton, którym powiedział ten komplement, bynajmniej nie był pochlebny, przekrzywiła pytająco głowę.

Rozchyliła wargi. Potem je zamknęła.

– Jesteś przemiły – odrzekła zgodnie z wymogami dobrego tonu, który nakazywał brać wszystko za dobrą monetę. Pani Fountain na pewno by tego tak nie potraktowała.

Trochę go to zawstydziło.

Spojrzał na jej śliczną, drobną, dobrze sobie znaną twarz. Jej reakcje i opinie zawsze były przewidywalne. Co za wygoda. Tradycja i posłuszeństwo, rutyna i spełnianie oczekiwań miały swój urok. Jeśli na kogoś za każdym rogiem czyhali nożownicy, a w porannej morskiej mgłę kryli się piraci gotowi do abordażu, gdy bliscy ludzie ginęli na gilotynie, gdy jego losy nieraz zależały od rzutu kośćmi, albo od tego, czy statek z towarem zostanie zatopiony przed dotarciem do portu, czy nie... przewidywalność rzeczywiście mogła koić nerwy.

Może nie powinno się przeżywać emocji, które targały człowiekiem i bolały tak jak mięśnie dopiero co zabliźnionej dłoni. Może tak byłoby lepiej. Może śmiech i pocałunek kobiety nie powinny go tak otwierać, przenikać aż do głębi, odsłaniać pokładów uczuć, o których nawet nie śnił i które były tak przenikliwe, strasznie bolesne.

Tylko że takich uczuć nie da się ująć w karby.

– Nocne niebo jest piękne wszędzie, nawet w takich nudnych zakątkach jak Pennyroyal Green – odezwała się cicho Alexandra.

Drgnął. Rzeczywiście, znowu zapatrzył się w gwiazdy i milczał, zamiast prowadzić towarzyską rozmowę.

Powinien stąd wyjechać. Pennyroyal Green to nie jego świat. Nic dziwnego, że stracił kierunek i dryfował jak statek bez steru.

– Diamentowe niebo to odpowiednie tło dla lady Prideux, klejnotu paryskich salonów – odparł refleksyjnie.

To był znowu Philippe, jakiego znała od zawsze. Uśmiechnęła się kapryśnie. Jej zęby zaśniły w ciemności. Ujął jej odzianą w białą rękawiczkę dłoń i ucałował powietrze nad kostkami palców.

Miał wrażenie, że odgrywa rolę w jakiejś sztuce.

Ale jeśli miała nadzieję, że ulegnie niskim impulsom i będzie próbował pocałować dziś te

wargi, podobne płatkom róż, czekało ją rozczarowanie.

– Za miesiąc wracam do Paryża, Philippe – powiedziała cicho. – A za dwa tygodnie przenoszę się z lordem i lady Archembault do Londynu. Mam nadzieję, że wrócisz z... to znaczy, że też tam wrócisz.

To brzmiało jak ostrzeżenie, a nie tylko jak sugestia. Oznaczało, że jeżeli Philippe się nie oświadczy, Alexandra zacznie się rozglądać za innymi zalotnikami.

– Nie chciałbym, żebyś się przeziębiła. Może odprowadzę cię do domu? Jeszcze nic nie piłem i mam wrażenie, że powinienem ruszyć do tańca.

Wieczór ciągnął się bez końca, ale gdy Elise wreszcie wychyliła się z okna, słuchając turkotu odjeżdżających powozów i pożegnalnych okrzyków, poczuła przyływ dumy – z siebie i z Philippe’a. Przyjęcie było udane. Ktoś chyba wymiotował w krzakach na dole. W dali grupka gości wędrowała piechotą, wyśpiewując balladę o Colinie Eversea.

Dwóch szło z tyłu, klóćąc się zapamiętane.

– Szzy ja ci mówiłem, Jones, szsze cię kocham? Staruszk, jesteś moim najlepszym przyjacielem. Najlepszym...

– Niece, ty jesteś najlepszy...

– Bóg mi świadkiem, była prawdziwym jednorożcem! Jednorożcem!! I to jakim ładnym!!

– Ja też to widziałem, staruszk... Nikt mi nie powie, że było inaczej.

Zaśmiała się cicho, a potem opuściła okno, jakby zasuwając kurtynę na zakończenie sztuki. Albo pewnego rozdziału swego życia.

Potem zeszła na dół, by wydać ostatnie polecenia służbie, która pewnie padała ze zmęczenia.

Znalazła ich wszystkich w kuchni.

– Sprzątanie może poczekać do jutra. Idźcie na górę trochę się przespać. Dzięki za pomoc. Świetnie się sprawiliście dziś wieczór, wiem, że lord Lavay to docenił.

Wszyscy rozpromienili się na te słowa. Byli zmęczeni, ale zadowoleni. Odpowiedziała uśmiechem, nagle wzruszona ich ciężką pracą, pomocą i dobrocią – tym wszystkim, co udało się jej w nich odkryć.

– Pani Fountain, lady Merriweather była tak zadowolona, kiedy pomogłam jej ułożyć włosy, że spytała, czy ktoś uczył mnie na pokojówkę – zwierzyła się cicho Kitty.

– Kurczę! – wykrzyknęła Mary. – Lady Lumly pytała mnie o to samo!

Zapisały z radości, a Elise zaczęła im bić brawo.

Właśnie wtedy odezwał się jej dzwonek. Wszyscy podskoczyli.

Popatrzyli na niego ze zdziwieniem, ale nikt się nawet nie ruszył.

– Można by pomyśleć, że Jego Lordowska Mość dawno już upił się w sztok i poszedł spać. – James ziewnął.

– Pewnie chce się napić herbaty przed snem – odparła gładko Elise. Serce wyprzedzało jej kroki, frunąc po schodach do jego sypialni. – Zmiatajcie wszyscy do łóżek! Za kilka dni czeka nas normalny dzień pracy.

Na wszelki wypadek nastawiła wodę na herbatę.

Niech zadzwoni drugi raz, jeżeli mu tak zależy na jej towarzystwie.

Czekał na nią w gabinecie, rozciągnięty na leżance, zarzuciwszy ramiona za zagłówek.

– Dobry wieczór, lordzie Lavay. – Postawiła tacę na stoliku obok. – Pomyślałam, że chętnie napije się pan herbaty.

Nawet nie spojrzął na filiżankę.

– Dziękuję, moja droga pani Fountain. Kazała mi pani na siebie czekać. To do pani niepodobne.

Jego głos brzmiał dziwnie. Trochę ironicznie. Trochę odlegle.

Zdjął surdut i rzucił go na krzesło. Jego fular przepadł nie wiadomo gdzie. Podwinął

rękawy koszuli i rozpiął dwa guziki pod szyją.

Zupełnie nie jak cywilizowany lord Lavay.

Nigdy nie wydawał jej się bardziej pociągający.

Odwróciła się tak szybko, jakby rzucała się do ucieczki.

– Usiądzie pani przy mnie na chwilę? – spytał, rozciągając powoli słowa.

Znowu się odwróciła.

Znacząco poklepał leżankę.

Powiedział to tak sympatycznie, cicho i przyjacielsko, że gdyby powiedziała „nie”, zabrzmiałaby jak dewotka.

Usiadła więc, podkulając nogi. Wcisnęła się w przeciwny róg leżanki, możliwie najdalej od niego.

Przyglądał się jej w milczeniu. Tylko że to było inne milczenie niż zazwyczaj.

Takie, jak cisza przed atakiem kota na mysz.

– Jak się udał bal? – odważyła się spytać.

– To był prawdziwy triumf.

Powiedział to tak ponuro, że roześmiała się, by pokryć zaskoczenie.

– Myślałam, że lord lubi bale i przyjęcia.

– Doskonale się na nich odnajduję, to na pewno. Szafuję osobistym urokiem, ot tak. –

Wykonał gest, jakby rzucał ziarno kurom. – Podobno wszyscy uważają, że jestem uroczy. Tańczyłem z niezliczonymi kobietami. Wszystkie piękne. I równie urocze jak ja.

Rozgadał się jak prawdziwy Francuz. Rozbawiło ją to i niebezpiecznie zauroczyło.

Obudziła się w niej czujność, bo w jego głosie brzmiał ostry ton.

Twarz miał zaczerwienioną, włosy opadły mu zawadiacko na jedno oko. Drugim bacznie jej się przyglądał.

– Czy pan się przechwala czy narzeka, lordzie Lavay?

– Tylko stwierdzam fakty – odpowiedział. – Nie musiałem się wstydzić własnej niezgrabności w walcu dzięki pani...

Może wspomnienie tego jednego pocałunku zaginęło w powodzi tych wszystkich pięknych kobiet, które będą źródłem nowych przeżyć.

Sama w to nie wierzyła.

Patrzył na nią uważnie z ukosa, zmrużonymi oczyma. Głowę przechylił na zagłówek, jakby miał zamiar się zdrzemnąć.

– Zawsze się zastanawiałam, jak to jest na wielkich balach – powiedziała, gdy dłuższą chwilę się nie odzywał.

– A ja zawsze się zastanawiałem, jak wyglądałyby twoje włosy bez tych szpilek, rozrzucone na poduszce – odpowiedział.

Szczęka jej opadła, jakby nagle puściły zawiasy.

Udało się jej zamknąć usta, zanim dały mu pełny widok na jej migdałki.

– One wcale nie chcą być upięte, wiesz? – zauważył z urazą, jakby zmuszała je siłą wbrew jego oporom, jakby bronił czyjejs sprawy przed magistrackim sędzią. – Popatrz, nawet teraz się buntują! – Powoli pochylił się ku niej, hipnotyzując ją wzrokiem jak zaklinacz węża. Ujął w palce jeden lok, naciągnął i puścił.

– Zwija się w lok! Jak sprężyna! Widzisz? Dlaczego nigdy się tak nie czesziesz?

Tak ją zaskoczył, że mogła się tylko roześmiać. Tylko że zabrakło jej tchu. Był tak blisko, że czuła jego ciepło i zapach jego ciała...

Jej serce tłuło się w piersi, jak sygnał alarmowy, którego nikt nie słucha.

Wyjdź stąd. Wyjdź. Wyjdź, wyjdź.

– Jest pan trochę pijany, prawda, lordzie Lavay?
– A pani jest spostrzegawcza jak zwykle. Rzeczywiście, jestem *un peu* zawiany. A pani ma takie miękkie włosy...

Zapadła cisza, miękka tak jak te włosy.

– Dziękuję – odpowiedziała ostrożnie.

Zaśmiał się ironicznie.

– Założę się, że ma pani teraz natłok myśli w głowie, moja droga, ale mówi pani tylko „dziękuję”. Ależ my się pilnujemy. A raczej to pani zawsze się pilnuje.

Zirytował ją w końcu.

– A jak niby mam się zachowywać? Jestem tu gospodynią. Służącą.

– Wolałbym, żebyś była sobą – odpowiedział bez wahania.

– To znaczy? – spytała, zapominając o ostrożności.

– Kwaśna jak leśna jagoda, a zarazem słodka jak... *peche*. Jak brzoskwinia. – Ułożył dłoń, jakby trzymał w niej owoc. – Bardzo, bardzo miła. Mądra i dowcipna. Irytująca. Piękna. – Wszystko to mówił z irytacją, jakby spytała o coś, co sama powinna wiedzieć. O coś, co powtarzał jej już wiele razy.

Wpatrywała się w niego, walcząc z pokusą, by dotknąć dłonią jego twarzy.

Wiedział, jak wywołać rumieniec u kobiety.

Przyglądał się jej z uwagą i zadowoleniem, jakby obserwował zachód słońca. Uśmiechnął się krzywo.

– Ach widzisz więc, jak dobrze cię znam. Wiem, co zrobić, żebyś się zarumieniła. Cudownie byś wyglądała w czerwonej sukni. Ach, ile ja wiem różnych rzeczy, pani Fountain. Ile ja wiem...

– I ile pan wypił – podsumowała.

Wzruszył ramieniem.

– Niektóre kobiety by mi podziękowały, inne skarciłyby za pijaństwo. Tak to już bywa na tym świecie.

Zaśmiała się, zdziwiona. Nic nie rozumiała.

On się nie roześmiał. Nawet się nie uśmiechnął. Przyglądał jej się tylko, przysłaniając oczy.

– I jeszcze uczciwa – zamruczał. – Chciałbym, żebyś była uczciwa.

Aha. Więc o to mu chodziło.

Słusznie podejrzewała, że nie bez powodu próbuje ją rozbroić.

Wcisnęła się głębiej w kąć leżanki. Wpatrywali się w siebie, każde ze swego miejsca. Jakby to była metafora społecznych różnic między nimi.

– Nigdy panu nie skłamałam. A ponadto... jestem w takiej życiowej sytuacji, że muszę być ostrożna. Nic innego mi nie pozostało, lordzie Lavay.

Zmarszczył brwi, a potem złagodniał.

– Nic innego... Aha, rozumiem. Kiedyś była pani beztroska i ktoś potraktował panią beztrosko, pani Fountain. I straciła pani zaufanie. Może to był ojciec Jacka? Teraz pani uważa, że chcę pani zrobić to samo.

Powiedział to niemal beztrosko.

Jak zwykle bez pardonu przeszedł do sedna sprawy.

W głowie jej huczało, jakby nieoczekiwanie zepchnął ją z wysokości w dół.

Nie odezwała się ani słowem.

– Ojciec Jacka... ten człowiek... cię wykorzystał?

– Nie.

Poniewczasie zorientowała się, że ta odpowiedź sprowokuje milion pytań.

– Czy to znaczy, że cię uwiódł? – zapytał mężczyzna, który potrafił uwieść każdą kobietę, nawet gdyby miał ręce związane za plecami. Może nawet teraz to robił.

Odetchnęła głęboko.

– W duchu szczerości, lordzie Lavay, i w nadziei, że do rana zapomni pan o całej naszej rozmowie, powiem panu, że nie. Jeśli uwiedzenie oznacza zastosowanie strategii, by przełamać dziewicze opory kobiety, przyznaję, że mnie nie uwiódł. Prawda jest taka: ja również go pragnęłam. Jego i tylko jego. To było niespodziewane i oczywiście nierozsądne, ale wszystko stało się pod wpływem chwili. Nie powiedziałam nie i było mi z nim dobrze. Proszę jednak nie myśleć, że rozdawałam moje wdzięki na prawo i na lewo... – powtórzyła jego wcześniejszy gest sypania ziarna. – Nie miałam korowodu adoratorów. Pierwszy raz w życiu oddałam komuś serce. Pierwszy i ostatni. Chętnie bym usłyszała, jak pan mówi „korowód adoratorów”, lordzie Lavay, ale chyba jest pan zbyt pijany.

Widziała, jak na jego twarzy odbijają się emocje – szok, podziw, i coś w rodzaju gniewu... i znikają tak szybko, że nie potrafiła ich wyraźnie odczytać.

– Rodzicie wydziedziczyli mnie, gdy powiedziałam im prawdę. Nie widziałam się z nimi od sześciu lat. I na wypadek, gdyby pan chciał zadać kolejne pytanie – fakt, że wszystko to panu opowiadałam to kolejny dowód na to, że wcale nie jestem ostrożna. Wręcz przeciwnie.

Właśnie z premedytacją wyznała mu o sobie wszystko, co najgorsze. Znużyło ją wieczne przepraszanie, a poza tym chyba w końcu przestało jej być żal tamtej nocy, bo przecież dzięki niej pojawiał się Jack. Poza tym, w tym przypadku uczciwość mogła jej zapewnić bezpieczeństwo. Jeżeli Lavay był tak zniesmaczony jej pozamałżeńskim romansem, może w końcu jego przystojna postać przestanie naruszać spokój jej umysłu i serca.

Siedział nieruchomo jak posąg.

W końcu zaczął jednak zadawać pytania, obcesowo i bez wahania. Jakby chciał wyciągnąć odłamek z rany – najszybciej jak tylko się da.

– Gdzie on jest teraz?

– Bóg jeden wie.

– Zależało ci na nim?

– Tak. Bardzo.

Obserwowała, jak jego twarz tężeje, staje się chłodna i odległa.

– A jemu na tobie?

Pytania stawały się coraz trudniejsze.

– Tak mi się przynajmniej wydawało.

W końcu jednak zawahał się na moment.

– Dalej ci na nim zależy?

Dosłyszała wystudiowaną nonszalancję w jego głosie.

– Obawiam się, że odpowiedź nie jest taka prosta.

Zamilkł na dłuższą chwilę, rozważając jej słowa.

– Ja nigdy w życiu nie byłem zakochany – powiedział to niemal zawadiacko.

– Nie polecam – odparła.

Posłał jej krzywy uśmiezek, ironiczny i słodko-gorzki.

Milczenie.

– Jak myślisz, czy on żyje?

Powiedział to powoli, z namysłem, nutą radości i powagi zarazem. Jakby zabicie tego człowieka mogło sprawić mu radość i jakby to było łatwe.

– Sprytu mu raczej nie brakowało. Gdyby szło o zakład, powiedziałabym, że raczej żyje.

Kiedy wypowiadała ostatnie słowo, jej głos się w końcu załamał.

Do tej pory udało jej się odpowiadać gładko na każde z jego pytań, ale przypominało to drążenie rany, która nie do końca się wygoiła i nigdy się całkiem nie zablizni. Mężczyzna, na którym jej zależało i któremu zaufała, kochał się z nią, a potem porzucił, kiedy zaszła w ciążę. Podobno była mądra i taka dumna, a jednak nie potrafiła odróżnić dobrego człowieka od podłego zdrajcy.

I musiała to opowiadać komuś, kto był naprawdę dobry, ale nigdy nie będzie do niej należał.

Ogarnął ją tak przenikliwy ból, że straciła oddech.

Siedziała nieruchomo, jakby wszystko w niej roztrzaskało się na kawałki.

Oczy Lavaya błyszczały bezlitośnie i spoglądały na nią z dystansu. Bała się, że zaraz wyczyta w jego twarzy ocenę swojego charakteru albo jego braku. Zresztą, być może przyniosłoby to jej ulgę.

W końcu opadł na oparcie leżanki.

Wypuścił oddech, który zdaje się do tej pory wstrzymywał.

Przesunął ręką po czole, jakby chciał osłonić oczy przed całą tą ohydą prawdą. Potem ją opuścił i powoli pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia jak... – zaczął. – To po prostu.. – Mówił cichym i pełnym emocji głosem.

Chyba nie był w stanie spojrzeć jej w oczy.

Zamiast tego wbił wzrok w herbatę, której nawet nie tknął.

Przemógł się wreszcie, by spojrzeć w jej stronę, z takim wysiłkiem, jakby sprawiało mu to ból.

Struchlała. Miała wrażenie, że jej serce spada w dół, raniąc ją ostrymi krawędziami.

Pochylił się ku niej, opierając dłonie na kolanach.

– Ja po prostu nie rozumiem, jak ktokolwiek mógłby cię porzucić, Elise.

Powiedział to powoli, z namysłem i zdziwieniem, jakby wygłaszał jakiś wyrok.

A potem zaniósł się krótkim, niewesołym śmiechem.

Tak jakby właśnie to sobie uświadomił i zwierzył się z uczuć, których do końca sam nie rozumie.

Spotkali się wzrokiem. Elise ogarnęła fala radości, kładąc kres poczuciu beznadziei. Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

Pokręciła głową, jakby w ten sposób mogła ukoić dawne strachy i wstyd, które obudziły się z długiego snu, ale nie udało jej się to. Pospiesznie przyłożyła dłoń do oczu, ale i tak kilka łez umknęło spod niej i zawisło na rzęsach. Dopiero teraz wyraźnie dostrzegła wszystkie konsekwencje tego, co wydarzyło się w przeszłości.

Natychmiast ujął jej dłoń, jakby chciał ją zatrzymać, by nie wpadła z powrotem w otchłań smutku.

Ten instynktowny gest był pełen ciepła i czułości.

Tak bardzo podobny do niego.

Instynktownie bronił słabszych, za wszelką cenę.

Chwyliła się jego dłoni jak koła ratunkowego, ale dobrze wiedziała, że ten człowiek nie da jej prawdziwego poczucia bezpieczeństwa.

Pożądanie i radość splótły się ze strachem, który budziły jej pragnienia. Gdy splótł jej palce ze swoimi, przypomniła sobie, jak czule gładził jej włosy, jak dotykał szyi. Pożądanie przeszło ją tak nagle, że o mało nie zemdląca.

Całe jej ciało błagało o ponowną pieczęć.

– W namiętności nie ma nic gorszącego, Elise. To on i tylko on powinien się wstydzić, że porzucił cię, żebyś sama uporała się z konsekwencjami. – Jego głos wciąż brzmiał namiętnie i gardłowo.

– Szkoda, że mało kto tak uważa – oznajmiła, pociągając nosem. – Ale gdybym chciała uwieść kogoś takiego jak ja, pewnie powiedziałabym dokładnie to, co ty przed chwilą.

Zaśmiał się cicho.

Ale nie zaprzeczył.

– Pomimo wszystko oddałaś mu się szczerze i uczciwie. W takich momentach zawsze prowadzi się jakąś wewnętrzną dyskusję, prawda? W jednej chwili podejmujemy decyzje, od których zależy cały nasz los, dobry albo zły. – Strzelił palcami. – Postawiłaś na to, że ulegnięcie namiętności da ci w zamian zaufanie i honor, i przegrałaś. Każdy wybór, choćby najdrobniejszy, to hazard. Ja na przykład postawiłem na to, że hrabia Ardmay zrobi ze mnie bogacza, i prawie mu się udało. Może jeszcze nie jest za późno. Postawiłem na to, że doprowadzisz mój dom do porządku, a ty wywróciłaś wszystko do góry nogami...

Roześmiała się i zaraz dość nieelegancko pociągnęła nosem.

– Ty postawiłaś na to, że ten człowiek zachowa się honorowo wobec ciebie. I przegrałaś. Każdy czasem przegrywa. Dzięki temu zwycięstwa mają słodszy smak. Noc jest potrzebna po to, by docenić światło dnia, *n'est-ce pas?*

Wzruszył ramionami.

Przyglądała mu się z ciekawością.

Spodobała jej się ta wizja życia jako jednego wielkiego kasyna.

– Więc nie jestem dziwką, tylko szulerką? – Jakimś cudem udało jej się powiedzieć to beztrojskim tonem. – W dodatku dzisiaj tłumaczyłam służbie, że życie jest jak gra, która rozciąga się na lata.

Spostrzegła, jak zacisnął pięści, kiedy wypowiedziała to słowo.

– Jeśli ktoś jeszcze nazwie cię dziwką, powiedz mi o tym, a ja go zastrzelę. Dobrze? – poprosił swobodnie.

– Wedle życzenia milorda.

Odpowiedział nerwowym półuśmiechem.

– Między nami coś jest, *n'est-ce pas*, Elise.

To było bardziej stwierdzenie niż pytanie. A właściwie niedopowiedzenie.

– *Oui* – odpowiedziała.

Zapadło pełne napięcia milczenie.

– Tak więc, pani Fountain, znaleźliśmy się w chwili, kiedy znowu trzeba na coś postawić, prawda?

W dalszym ciągu trzymała go za rękę. Tę elegancką, pokrytą bliznami rękę, która tak sprawnie władała szpadą, pistoletem, wódzami, linami... I pewnie dotknęła w życiu więcej kobiet niż...

Nie czas się nad tym zastanawiać.

W pewnym sensie był równie przerażający jak tego dnia, kiedy spotkali się po raz pierwszy.

A jednak czuła, że jego puls bije równie szybko jak jej własny.

Przez nią.

Dlatego że on jej pragnie.

Wiedziała, że Philippe czeka na słowo lub znak. Tak bardzo chciała przesunąć palcem po pulsującej tętnicy, zapamiętać te emocje, smakować buzujące w nim życie, które o mały włos nie zgasło podczas potyczki z sześcioma przeciwnikami. Tak bardzo chciała unieść jego dłoń do

warg i wycisnąć na niej pocałunek.

Zamiast tego ją puściła.

Pieszczotliwie przesunęła po niej palcami, jakby to był ostatni raz, gdy jej dotykała.

Cofnął ją z rezygnacją, jakby chował szpadę do pochwy. Jego twarz spochmurniała.

Powrócił na nią chłodny, spokojny grymas.

Zapadła cisza, jakby świat miał się skończyć.

Albo jakby się jeszcze nie zaczął.

W chwilę później palcami, które nagle stały się dziwnie niezgrabne, wyjęła z włosów pierwszą spinkę.

Położyła ją między nimi, jakby to była karta, która zdecyduje o losach gry.

Spojrzał na tę spinkę.

Potem z niedowierzaniem podniósł wzrok na twarz Elise.

Wstrzymał oddech.

Uniosła dłoń i wyjęła z włosów kolejną spinkę.

Położyła ją obok tej pierwszej.

Skrecony lok włosów opadł jej na oczy.

– Dobra zagrywka, Madame – powiedział z rozbawieniem, podziwem i pełnym napięciem oczekiwaniem.

A ona powoli, boleśnie powoli, tak jak w tym śnie, w którym przesuwiała dłonią po jego twardych udach... wysunęła z włosów kolejną spinkę.

Śledził wzrokiem jej ruchy, kiedy kładła ją obok poprzednich, jakby usłyszał tę myśl. A potem powiódł spojrzeniem za ręką, która znowu uniosła się ku włosom.

Wyciągnęła kolejną spinkę.

Patrzył, nieruchomy jak posąg, ale na jego wargach powoli pojawiał się uśmiech.

Czując, jak wokół jej głowy tańczą swobodne loki, zaczęła się niepokoić, że za chwilę ze zmysłowej damy zmieni się w komika, bo jej głowa zacznie przypominać Meduzę. Ale jak się powiedziało A, trzeba powiedzieć B.

Znowu uniosła dłoń.

– Nie – powstrzymał ją gwałtownie. – Teraz ja.

Pochylił się ku niej tak blisko, że widziała jego ciemne rzęsy i złote iskierki w oczach, jak jesienne liście uniesione wiatrem. Ogarnęła ją woń krochmalu, tytoniu i mężczyzny. Pomyślała, że na tym polega jego urok – wystarczy raz zaciągnąć się tym zapachem, by się nim upić jak brandy. Nie było kobiety, która by mu nie uległa. Wszystkie padały przed nim na twarz, a raczej na plecy.

Poczuła na policzku jego gorączkowy oddech, który mieszał się z jej, równie przyspieszonym oddechem. Jej sutki natychmiast stwardniały.

W końcu wyciągnął ostatnią spinkę, z taką samą powagą i triumfem, jak król Artur, wyciągający miecz z kamienia. Uniósł ją, pokazał, a potem dorzucił do reszty.

Lekko pokręciła głową.

Odchylił się nieco, by przyrzeć się efektowi.

– Wielki Boże, co za chaos – zamruczał. – Lepiej poupinajmy to wszystko z powrotem!

Roześmiałyby się, ale kiedy wypowiadał te słowa, wsunął dłonie w jej włosy, a jego głos z każdym słowem stawał się coraz bardziej miękki, leniwy i kojący, aż wreszcie zmienił się w intymny szept. Chyba żadne stworzenie na świecie, które samo wpędziło się pułapkę, nie było tak szczęśliwe jak ona w tej chwili.

Przesunął palcami po jej szyi, przyprawiając ją o rozkoszne dreszcze – jakby rozpałał ogień w noc świętojańską.

Kiedy już całkiem zaplątał palce we włosy, pociągnął jej głowę do tyłu.

– Tak się cieszę, że lubisz hazard, *cherie* – zamruczał.

I musnął jej wargi swoimi.

Jęknęła cicho. To nawet nie był pocałunek, ale subtelne dotknięcie, które obiecywało

niewypowiedziane rozkosze. Mówiło, że ten mężczyzna wie więcej o jej pragnieniach niż ona sama i potrafi je wszystkie zaspokoić. Naprawdę był magiem.

– Wiem, *ma chérie*. Na wszystko przyjdzie czas. Na wszystko.... – znowu musnął jej wargi – ...przyjdzie... – rozchylił jej usta i pocałował delikatnie – ...czas.

Dopiero wtedy rozgniół jej wargi ustami.

Pieszczoty jego ruchliwego języka, muskanie i przesuwanie warg odsłaniały przed nią głębię rozkoszy. Żar i satyna, koniak i dym, oszałamiająca piżmowa słodycz. Ogarniała ją coraz większa słodka niepamięć. A kiedy wyplątał palce z jej włosów i zsunął je niżej, dotykając napiętych sutków, wygięła plecy w łuk i westchnęła w zachwycie.

– Elise – szepnęła gardłowo, prosto w jej ucho, a potem przesunął po nim językiem. Zadrżała i odrzuciła głowę w tył.

Jego wargi powędrowały ku sekretnemu, jedwabistemu zagłębieniu pod uchem, gdzie gorączkowo dygotał puls, zdradzając głębię jej pożądania. Poczowała gorący, leniwy pocałunek, jak wypalony znak właściciela. Teraz należała do niego.

Jego palce powędrowały ku tasiemkom gorsetu; z początku radziły sobie z trudem, ale w końcu suknia niemal odsłoniła piersi, osuwając się w dół jak bezwstydną, pijaną dziewczuchą.

– Jesteś taka piękna...

– A ty pijany...

– Upiłem się tobą – sprostował.

– Niech i tak będzie. Jestem piękna.

Zaśmiał się cicho i delikatnie przesunął opuszkami palców po jej obojczyku, a potem po miękkich piersiach, jakby się z nią droczył. Pieszczota zaparła jej dech.

Pocałował ją znowu, czule i miękko, pieszcząc palcami wzgórki piersi. Wtedy zrobiła to, o czym od dawna marzyła. Zsunęła dłoń ku jego twardym udom, i przesunęła paznokciami tam, gdzie wyczuła napięty, wzwiedziony członek.

Westchnął i rozsunął uda, by ułatwić jej dostęp.

Nie tylko on potrafił się droczyć.

Dotknęła go raz jeszcze.

– Elise – jęknął prosto w jej usta.

Poczowała, jak ogarnia ją dzika żądza.

Wczepił palce w jej suknię i mocno pociągnął w dół, obnażając ją do pasa.

– Matko Boska – powiedział z pełnym zachwytem szacunkiem i ujął w dłonie jej piersi.

Kreślił kciukiem delikatne wzory nad naprężonymi sutkami. Jak cudownie... Jęknęła i odchyliła głowę w tył. Wykorzystał to i przesunął wargami po jej gardle. Potem pochylił się, zacisnął usta na jednym z sutków i possał. Mocny, twardy język dobrze wiedział, jak ją pieścić; całe jej ciało przeszył dreszcz rozkoszy.

– Philippe... Boże...

Przyciągnął ją do siebie z wdziękiem i stanowczo, jak w walcu, otoczył ramionami i przewrócił ich oboje na leżankę. Leżeli twarzą w twarz, obok siebie. Wsunął rękę pod jej udo i przełożył je przez swoje, by dotykali się całymimi ciałami, jak zrośnięci ze sobą.

Co za cudowne uczucie, dotykać go tam, gdzie wyczuwała gorąco, twardość i napięcie. Wtuliła się w niego całym ciałem, czuła, jak jego członek próbuje wyrwać się na swobodę. W gardle miała smak pożądania, jak elektryczne iskry, które rozprzestrzeniały się po całym ciele.

Szeptał gardłowe, namiętne słowa, po francusku i angielsku, to zachwycając się nią, to klnąc wulgarnie. Wiedziała, jaką ma nad nim teraz moc. Podniecało ją to niesłychanie, ale nagle przeraziła się siły swego pożądania i tego, co to oznaczało. Wsunął donie pod jej pośladki, mocniej przyciągnął do siebie... Szczyt rozkoszy był tak blisko, a jednak...

Znieruchomiła.

Rozdygotana i namiętna.

Serce biło jej tak mocno, że słyszała szum własnej krwi. Oparła głowę na jego piersi, czując, jak mocno bije mu serce. Nie chciała spojrzeć mu w oczy.

O nic nie pytał, ale wyczuła, że nie wie, co się stało.

Jego dłonie coraz wolniej pieściły jej plecy i pośladki, ale nie przestały się poruszać.

Uniosła głowę. Mogłaby policzyć jego rzęsy... widziała niewielką bliznę tuż obok ust i złocisty zarost na policzku. Właśnie świtało.

– Philippe... – zaczęła przepraszająco.

Uśmiechnął się miękko. Przesunął palcem po wargach, jakby chciał ją uciszyć.

– Znam tyle twoich sekretnych miejsc, które chciałbym całować... umiem cię dotykać na tyle sposobów, Elise. Wiem, jak doprowadzić cię do szaleństwa, żebyś mnie pragnęła bez reszty...

Opuszkami palców drugiej ręki gładził delikatne, jedwabiste wnętrze uda tuż nad podwiązką. Żaden mężczyzna nie dotykał tego miejsca tak czule, tak umiejętnie. Zadygotała z napięcia. Każdy rozkoszny dotyk był jak błyskawica rtęci wędrująca przez jej ciało.

Nagle przerwał.

– Philippe... – zabrzmiało to niemal błagalnie.

– Kiedy będziemy się kochać, Elise, cały świat zapłonie.

Zabrakło jej słów... Całe jej życie skoncentrowało się na pulsującym, dygocącym środku ciała.

Jego palce niestrudzenie wędrowały po skórze. Tak delikatnie. Tak umiejętnie. Z takim dystansem.

– Nie jesteś pewna, czy tego chcesz. Mnie też nie.

Dopiero po chwili mogła mu odpowiedzieć.

– Przepraszam – szepnęła.

Miał rację.

– Czego się boisz?

– Kiedyś bałam się ciebie. A teraz siebie.

Zamilkł, zamyślony. Ale nie przerwał pieszczoty.

– Kiedy będziesz już pewna, przyjdiesz do mnie i sama poprosisz. A ja sprawię, że będziesz krzyczała z rozkoszy... a potem odwdzięczysz mi się tym samym.

– Nie, Philippe. Ja nie mogę... – Te palce doprowadzały ją do szaleństwa, do szaleństwa z pożądania.

– Nie wspomnę o tym, że w tym czasie postaram się ciebie przekonać.

– Philippe...

– I że dziś doprowadzę cię do szaleństwa, żebyś mnie o to nie musiała błagać...

Wsunął palce w wilgotne, wrażliwe miejsce, poruszył nimi, a ona napała na jego mocną rękę jak ladacznica.

– Tak, tutaj... Philippe...

Nie potrzebował wskazówek. Wiedział, co robi.

W chwilę później roztrzaskała się na tysiąc rozjarzonych, pełnych rozkoszy odłamków, jak waza rzucona na podłogę. Wygięła ciało w łuk, targana mocą orgazmu. Delikatnie wtulił jej twarz w swoją pierś, by przytłumić gardłowy jęk rozkoszy.

Przez chwilę leżeli razem. Czuła pod policzkiem jego wznoszącą się i opadającą pierś... coraz wolniej, w miarę, gdy uspokajały się ich oddechy.

Z Edwardem tak nie jęczała. To było więcej niż pewne.

Zegar zaskrzypiał i wybił trzecią nad ranem. Za chwilę wstaną służące, żeby rozpaść na kominkach. Poruszyła się.

– Noga mi zdrętwiała – powiedział.

– Przepraszam – szepnęła i przesunęła się na bok.

– Muszę cię o coś poprosić – dodał niespodziewanie.

Odwróciła się ku niemu. Jej włosy opadły mu na twarz, więc odsunął je niby zasłonę. Rzucił jej szczere, otwarte spojrzenie.

– Przestań zawracać sobie głowę tymi spinkami. Jeśli chcesz, kupię ci wstążkę. W sklepie Postlethwaite’a są ich setki.

Roześmiała się.

– Najpierw fotel, potem wstążka... Sprowadzisz mnie na złą drogę tym bogactwem prezentów.

Przez jego twarz przemknął cień bólu.

Ją też zabolalo, że tylko tyle może jej ofiarować.

Kochała go przecież.

W tym momencie uświadomiła to sobie z przerażającą jasnością, pełną spokoju i bólu zarazem.

Nigdy nie będzie się z nim kochać. Nie może. Ze względu na siebie i na Jacka. Jeśli to zrobi, nie będzie dla niej odwrotu.

– Przyjdiesz do mnie – powiedział cicho.

– Nie przyjdę – odparła równie przekonująco. – Nie mogę, Philippe.

W odpowiedzi tylko uśmiechnął się enigmatycznie.

– Ale za to zwiążę włosy wstążką i będę używać mniej spinek – obiecała czule, jakby się z nim żegnała.

– Ależ ty mnie rozpieszczasz – mruknął sucho, po chwili milczenia.

– Rozhuśtasz mnie, olbrzymie? Lordzie Lavay?

– To hamak, a nie huśtawka, malutki panie Jacku. Jeśli cię porządnie rozhuśtam, wylecisz z niego jak z katapulty i trafisz w kościelny dzwon. Brzdęk!

Jack powitał to takim wybuchem śmiechu, że i tak o mało co nie wypadł na ziemię. Philippe pochylił się, by go przytrzymać.

Philippe znalazł olchowy zagajnik, w którym dało się powiesić hamak, i choć było wciąż zimno, poszli tam we dwóch za zgodą Elise, żeby Jack mógł zobaczyć, jak to jest być marynarzem.

Leżeli obok siebie, obejmując się, żeby nie zmarznąć.

– Ale super – zachwycił się chłopiec. – Marynarze naprawdę tak śpią? Na statkach?

– *Oui*, na statku sypia się w hamaku. Statki kołyszą się na falach, a hamaki razem z nimi.

W chłodnym powietrzu para unosiła się im z ust, ale miło było tak leżeć i patrzeć przez gałęzie drzew na jasne, zimne niebo. Lavay nigdy w życiu nie przeżył podobnego okresu. Takiego spokoju przed ostateczną zmianą. W Londynie czekało go kolejne zadanie. I Alexandra.

A tu była Elise.

Nie szukał już wymówek, by po nią dzwonić. Elise. Nie potrzebował jej pomocy przy pisaniu, sprawnie zarządzała domem, nie musiał prowadzić z nią rozmów z podtekstami.

Wiedziała, czego on chce.

Od czasu przyjęcia ich drogi przecięły się może raz, a może dwa razy. Ale pozwalała Jackowi spędzać z nim czas wieczorami i za dnia, gdy było zbyt mokro, by posłać go na plebanie. To było zupełnie nowe przeżycie, radosne i pełne spokoju. Uświadomił sobie, jak wiele wiedzy może przekazać temu chłopcu. Zaskoczyło go, że tak zmądrzał, nawet nie zdając sobie z

tego sprawy.

Jaka szkoda, że zabiją go podczas wykonywania tego zlecenia, zanim urodzą mu się synowie.

Nigdy nie będzie wiedział, jakim mężczyzną stanie się Jack, kiedy dorośnie.

Jak cudownie byłoby wychowywać synów w Les Pierres d'Argent.

Pewnie tak by się stało, gdyby się ożenił z Alexandrą.

Odepchnął od siebie te myśli.

Miał przed sobą jeszcze dwa tygodnie tego dziwnego życia w zawieszeniu, zanim będzie musiał podjąć decyzję.

W tej chwili był pewien tylko jednego: chce kochać się z Elise.

– Dużo podróżowałeś, Olbrzymie?

– Po całym świecie. Jeśli wypłyniesz na morze, możesz zobaczyć wiele pięknych krain, i to wcale niedaleko. Widzisz, urodziłem się we Francji. To znaczy, że jestem Francuzem. Hiszpania jest też piękna. Jest tam gorąco, a panie trzaskają kastanietami, gdy tańczą – strzelił palcami.

Jack zaśmiał się, naśladując jego gest.

– W ten sposób?

– *Oui*.

– Ja byłem tylko w Pennyroyal Green – zwierzył się chłopiec.

– Ach. Pennyroyal Green też jest bardzo ciekawe. Tyle tam miłych ludzi.

– Chyba zostanę marynarzem, jak urosnę. Przecież potrafię już dzwonić w dzwon.

– Bardzo dobrze.

– I nauczę się jeździć konno.

– Każdy mężczyzna powinien umieć jeździć na koniu.

– Albo na zebrze.

– Obawiam się, że zebry nie lubią, jak się na nich jeździ. Jeśli chcesz, pokażę ci, jak używać sekstansu. Wtedy będziesz umiał sterować statkiem na oceanie. W ten sposób odkrywają się nowe lądy.

Z bólem serca pożałował, że wkrótce zginie i nie będzie mógł uczyć Jacka jeździć konno. Nigdy nie zobaczy, jak buzia chłopca promienieje z emocji i dumy.

Tak czy owak, za dwa tygodnie zniknie z jego życia i z życia Elise, pewnie na dobre.

– Przyjdiesz do kościoła na bożonarodzeniową pantomimę, Olbrzymie? Będę owieczką. Ale będą tam też anioły. Na przykład Colette. Od pani Endicott.

– Aha, aniołek imieniem Colette. Ładna?

– Bardzo ładna. – W głosie Jacka zabrzmiała taka bezgrzeszna szczerość, że serce mu się ścisnęło. Wiele by oddał, żeby wróciła ta niewinność...

Nagle przypomniał sobie, jak miała na imię młodsza siostra Alexandry, ta, która trafiła do akademii panny Marietty Endicott.

To musi być ta sama Colette.

– Przyjdę na pantomimę, Jack.

– Hurra! – zawołał chłopiec, wierzgając nogami tak, że hamak się zakołysał. – Byłeś też w Irlandii?

– W Irlandii? – spytał Philippe z rozbawieniem.

– Stamtąd pochodzi Seamus.

– Kto to jest Seamus?

– Pan Duggan. Lubię, jak on mówi. Zna dużo piosenek. I gra na skrzypkach, i przynosi mamie kwiatki. Będzie grał w pantominie.

Philippe zeszywniał. Nagle dzień wydał mu się znacznie mniej uroczy.

– Co takiego robi? – Dobrze wiedział, że jego głos stał się twardy jak stal.

Jack szczęśliwie nie zwrócił na to uwagi.

– Gra na skrzypkach. Czyli na skrzypcach. Mama lubi kwiatki. A pan Duggan też rymuje, ale nie tak dobrze jak ona. Za to fajnie śpiewa.

– Dobrze śpiewa – poprawił go Philippe.

– Też go słyszałeś? – ucieszył się Jack.

– Nie, ale mam zamiar.

W dni, kiedy Pod Świnia i Ostem zbierali się muzycanci, Elise chętnie tam chodziła, żeby zapomnieć o własnych niespokojnych emocjach. W magiczny sposób dni te zawsze wypadały wtedy, gdy miała wolne wieczory. Siadała przy stole z pastorem i jego żoną, z kuflem ciemnego piwa przed sobą, rozkoszowała się ciepłem bijącym od kominka i stłoczonych przy ladzie ciał i słuchała wesołych, z lekka zawianych głosów tłumu, który wtórował radosnym piosenkom wygrywanym przez muzykantów Seamusa.

Śpiewy trwały już od dłuższego czasu, gdy przez salę przemknął na moment podmuch zimnego powietrza – jak za każdym razem, kiedy do pubu wchodził ktoś nowy.

Odwrociła się leniwie.

I zamarła.

Pod drzwiami stał Philippe z kapeluszem w ręku. Ramiona okrywał mu obszerny płaszcz. W jakiś dziwny sposób zarazem pasował do tego miejsca bardziej niż ktokolwiek inny, a jednak wydawał się obcy. Przyzwyczała się do siły, jaką emanował. W tym skromnym, stuletnim pubie wyglądał jak prawdziwy arystokrata.

Pozdrowił ją ruchem głowy, bez uśmiechu.

Co on tu, u diabła, robił?

– To lord Lavay. Znajdź mu miejsce – syknął Ned Hawthorne do córki, która gapiała się na przybysza. Polly ruszyła, żeby przegonić paru oszołomionych młokosów od stołu i polecić im, żeby poszli gdzie indziej.

Lavay pokręcił głową, uśmiechnął się lekko i gestem ręki polecił, żeby się nie kłopotala. Oparł się tylko o ścianę.

Chłopcy wrócili na miejsca.

Seamus zakończył jiga, zawadiacko pochylając głowę, i roześmiał się, słysząc entuzjastyczny aplauz. Ukłonił się, przyjmując należne sobie brawa i okrzyki.

Potem stanął na krześle i ogłosił:

– Następną piosenkę dedykuję pewnej pani, bo wiem, że zawsze przyprawia ją o łzy. A płaczą tylko te najczulsze, najlepsze serca.

Puścił oko do Elise, ale w pubie panował taki tłok, że z dziesięć kobiet uznało, że to do nich. Zresztą perskie oczka Seamusa były w dużej mierze źródłem popularności muzycznych wieczorów w pubie.

Potem zaśpiewał czystym do bólu tenorem, nie spuszczać wzroku z Elise.

Kto rozweselił serce me?

Robin Adair.

Kto tańczył ze mną jak we śnie?

Robin Adair

A gdy do snu już kładł się dzień,

Czemu me serce spowił cień?

Bo dziś pożegnał ze mną się

Robin Adair.

Do diabła z nim. Piosenka mówiła o miłości, która sprawia, że świat wydaje się lepszy, i o tym, że wszystko mrocznieje, gdy odchodzi ukochana osoba.

Jakby sama o tym nie wiedziała.
Na szczęście nie tylko jej jednej zaszklily się oczy.
Powiew zimnego wiatru oznaczał, że znowu ktoś otworzył drzwi.
Odwróciła się tylko po to, by się przekonać, że dobrze odgadła. Lavay już wyszedł.
Kiedy Seamus w chwilę później wyszedł z pubu na papierosa i żeby trochę ochłonić z emocji, jakie przelał w pieśń o Robinie Adair, spostrzegł Lavaya, który oparł się o ścianę i wpatrywał w gwiazdy. Może zastanawiał się, czy wrócić do pubu.
Może miał nadzieję, że Seamus wyjdzie na powietrze i będzie mógł go zabić.
– Lord Lavay, jak żywy – powiedział śpiewak, wsuwając w zęby skręta.
Lavay nie odezwał się ani słowem.
Seamus podał mu drugiego skręta.
Lavay przyjął go.
Seamus podał mu ognia.
Palili obaj w kompletnej ciszy – dwaj mężczyźni, których łączyło tylko to, że byli nieodparcie pociągający dla kobiet i mówili z uroczym akcentem.
– Właściwie lubię bitki, lordzie Lavay – zwierzył się w końcu Seamus po długiej, pełnej morderczego napięcia ciszy. – Naprawdę. Podejrzewam, że ty też. Ale podejrzewam, że ty wolisz wygrywać, a ja tylko się bić.
– Nie będzie żadnej bitki – odpowiedział Lavay niemal leniwie. – Bo takie łatwe zabójstwo to żadna zabawa.
Seamus tylko skinął głową.
Palili dalej w milczeniu.
– Nie ma w tym nic złego, że ktoś chce tego co ty, panie. Ale chyba byłoby ci przykro, gdybyś zrobił kobiecie taką krzywdę? Kobiecie, którą ktoś już wcześniej zranił?
Seamus powiedział to śpiewnym, irlandzkim akcentem, który zawsze nadaje słowom cień ironii i bez troski.
Lavay spojrział na niego. Wolałby, żeby Seamus Duggan okazał się przeciętnikiem i wesółkiem.
Ktoś otworzył drzwi na oścież.
– Duggan! Zabieraj tyłek do środka.
Seamus bez słowa zrobił to, o co proszono.
Lavay zabrał swój tyłek do domu, na piechotę.
Kiedy pastorostwo przed północą odprowadzali Elise do domu, posiadłość spowijała senna cisza. Reszta służby już spała, więc Elise, kiedy przekonała się, że Jack śpi jak aniołek, zeszła na dół, by sprawdzić, czy kredensy są pozamykane i czy w kuchni panuje porządek. Wszystko lśniło, rzeczy leżały na miejscach, całe jedzenie schowano do spiżarni.
Jeszcze niedawno nie przypuszczałyby, że takie rzeczy będą ją napełniać dumą. Teraz jednak czerpała z nich niemałą radość. To było poważne osiągnięcie.
Zaczęła nabierać przekonania, że nie ma dla niej rzeczy niemożliwych.
Wracała do kuchni korytarzem wiodącym z magazynku, kiedy na końcu pojawił się cień zasłonił jej przejście.
Drgnęła.
– Philippe – szepnęła. Nie sposób było go nie rozpoznać.
Przez krótką chwilę byli dla siebie tylko cieniami w przejściu.
Potem zbliżył się do niej powolnym, miarowym krokiem.
– Chcesz coś... schrupać? – spytała cicho.
Zorientowała się, jak to zabrzmiało i zarumieniła się cała.

Uśmiechnął się lekko, ale wyraźnie myślał o czymś innym.

– Czy mogę cię o coś spytać, Elise?

Jego ton brzmiał dziwnie. Trochę zaczepnie. Bardzo ostro.

– Oczywiście.

– Co czujesz... do tego człowieka?

– Jakiego człowieka?

– Tego skrzypka. – Podrzucił głową, udając, że gra na skrzypcach. Zabawne, że zrobił to niemal w identyczny sposób jak Seamus.

– Seamusa Duggana?

– Tak. Jesteś w nim zakochana?

– Czy ja... Co takiego? Dlaczego, do licha... skąd u licha. Co takiego?

– Bo on się w tobie kocha.

– Skądże znowu. A raczej, dokładnie mówiąc, Seamus jest zakochany we wszystkich ludziach na świecie. A szczególnie w samym sobie.

– Widziałem, jak na ciebie patrzy. I jak dla ciebie śpiewa. Ten człowiek jest zakochany.

– Może pomyliłeś go z człowiekiem, którego co dzień widzisz w lustrze.

Zatrzymał się nagle, jakby uderzył w mur.

Prawda czasem tak działa.

Przyglądali się sobie uważnie.

Nagle ruszył szybko przed siebie i przycisnął ją mocno do ściany. Oparł ręce po obu stronach, odcinając jej odwrót.

– Co czujesz do Seamusa Duggana, Elise?

– Pewnie to samo co ty do lady Prideux.

W odpowiedzi uśmiechnął się niewesoło.

– Co czujesz do Seamusa Duggana, Elise? – powtórzył cicho.

– Seamus jest uroczy – mruknęła prosto w jego podbródek.

– Och?

– Widziałeś, jak błyszczą jego zielone oczy?

– Owszem – przytaknął ponuro.

– I ma piękny głos – ciągnęła dalej.

– Owszem, jeśli ktoś lubi żabi rechot, może mu się nawet podobać – szepnął jej prosto w ucho. Przeszyło ją rozkoszne oczekiwanie.

Bez żadnej zapowiedzi ujął w dłonie jej piersi z taką pewnością, jakby był jej właścicielem. W sumie nie tak bardzo się mylił.

– Myślę, że powinniśmy się teraz nawzajem zaspokoić. Natychmiast, w ubraniach.

Powiedział to tak rzeczowo, szorstko i tak namiętnie, że krew uderzyła jej do głowy... O mało nie zemdląca.

– O czym teraz myślisz, Elise? – zamruczał.

Patrzyła na niego bezmyślnie, jak zniewolona.

– O kim myślisz po nocach, kiedy jesteś sama w łóżku, Elise? Powiem ci, o kim. Ja na przykład leżę i myślę o tym, jakbym zrobił to... – delikatnie przesunął palcami po zarysach jej piersi w muślinowym staniczku – ...bo twoje piersi są takie ładne, takie zawiadackie. – Pieścił je jeszcze przez chwilę, a potem znowu ujął w dłonie. – A potem myślę o tym, że twoje sutki są jak maliny i że chciałbym je ssać i muskać językiem.

– Jaka... jaka ładna bajka na dobranoc. – Przelknęła ślinę. – Ezop takich nie pisał.

– Poza tym potrafię zrobić jeszcze coś takiego – znowu mruknął jej w ucho. Potem dotknął go językiem, przesunął po jego zarysach, umiejętnie, tak sprawnie, że aż nieprzyzwoicie.

Jęknęła cicho. Skubnął wtedy jej sutki, a potem mocno potarł je kciukami. – Aż zrobią się twarde jak kamienie, widzisz? A ty będziesz cała wilgotna. Dla mnie. Już jesteś, Elise? – szepnął.

– Mhm – sapnęła elokwentnie.

Właśnie taka odpowiedź była mu potrzebna.

Albo ona była ladacznicą albo on uwodzicielem, o wiele bardziej doświadczonym, niż przypuszczała. Pewnie i jedno, i drugie, po trochu. On był mężczyzną, który wie, czego chce i jak to zdobyć, a ona raczej nie stawiała większego oporu.

Teraz było już za późno, by przerwać. Chyba cała jej krew zgromadziła się między nogami, płonęła i pulsowała pożądaniem.

Błyskawicznie rozpiął spodnie, uniósł jej nogę i przycisnął się do niej. Jęknęła. Gorący, twarde członek wciskał się w jej ciało, dręczył i kusił.

– Myślę też – mówił dalej, oddychając gorączkowo – jak to by było, gdybym w ciebie wszedł. – Poruszył biodrami, delikatnie otarł się o jej wilgotne ciało, dręcząc ją i torturując tak samo jak siebie. Jęknęła ze zwierzęcej rozkoszy, jakby go błagała. – Jak to by było słodko. Ale na razie będziemy się tylko nawzajem dręczyć, *oui*, ponieważ jeżeli mnie chcesz, musisz sama do mnie przyjść.

– Nie przyjdę – szepnęła.

Znowu musnął jej wilgotne gorąco. I znowu wtuliła się w niego, dygocąc z ledwie hamowanego pożądania.

– Przyjdziesz – odpowiedział równie cicho.

Znowu przesunął po jej wilgotnych kędziorach.

Szeptał w jej usta przekleństwa i wulgarne słowa, nieprzyzwoite, francuskie komplementy.

– Tak mi smakujesz, *cherie* – powiedział gardłowo.

– Philippe... Ja... proszę... teraz. – Była na krawędzi spełnienia. Mocno chwyciła go za ramiona i wyszła mu naprzeciw, błagając go pieszczotą. Odetchnął świszcząco, ale trzymał ją tak mocno, że nie mogła się ruszać. Panował nad wszystkim. Jęknęła. Ich gorące, urywane oddechy mieszały się ze sobą. Głowa opadła jej do tyłu. Wycisnął żarliwy pocałunek na jej gardle. Twarz miał pokrytą potem. Bał się, że umrze, jeżeli nie weźmie jej teraz, brutalnie i gwałtownie.

– Proszę... – szepnęła.

Poruszył się znowu, raz i drugi, lekko i szybko, aż wreszcie zadygotała, krzycząc gardłowo, porwana niekontrolowaną namiętnością.

Jeszcze jeden ruch jego bioder i usłyszała gardłowy jęk rozkoszy, kiedy doszedł na jej udo. Orgazm gwałtownie targał jego ciałem.

Przez dobrą minutę odzyskiwał oddech, wtulony w jej szyję. Jego pierś pod jej ręką poruszała się jak miech kowalski.

Ucałowała jego skroń.

Choć żadne z nich nie odczuwało ani szczególnej serdeczności, ani nawet życzliwości.

To była gwałtowna, dzika chwila. Pospieszne, prostackie zaspokojenie przemożnego pragnienia.

– ...i myślę sobie – dodał, oddychając ciężko – ...że kiedy przyjdzie do mnie, pokażę jej, czym jest prawdziwa rozkosz. I zapomni nawet, jak się wymawia nazwisko Seamusa Duggana.

Jakiego Seamusa?

Delikatnie wytarł jej udo chusteczką. Potem opuścił jej nogę i wygładził suknię. Zapiął spodnie tak rzeczowym i sprawnym gestem, że zaczęła się zastanawiać, ile razy w życiu już to robił.

Wiedziała jednak, że jest zupełnie inna niż wszystkie, które były przed nią.

– To nie fair. – Jeszcze nie skończyła mówić, a wiedziała już, że brzmi to małostkowo, bez sensu, sztucznie i niczego nie zmienia.

Delikatnie uniósł jej podbródek.

– Pewnie masz rację – odparł cicho. – Ale *tout est juste dans l'amour et la guerre, chérie*. Nie prosiliśmy się o nią. Ale jest. Więc trzeba tylko znaleźć jakieś uzasadnienie.

Nie miała pojęcia, jak można kogoś tak kochać i nienawidzić zarazem.

Pocałował ją w usta, słodko i delikatnie, odwrócił się i odszedł. Patrzyła, jak idzie do swego gabinetu.

W piętnaście minut później po całym domu poniósł się echem trzask rozbijanego w drobny mak wazonu.

Stał zawstydzony pośród skorup kolejnego wazonu i oddychał ciężko. Pomyślał, że życie znowu zaczyna go osaczać ze wszystkich stron. Tylko na krótki, jasny moment wydawało mu się, że słońce wreszcie przebiło się przez chmury.

Miała rację. Jak zwykle.

Zresztą, sam o tym wiedział.

Nieważne, czy to było fair.

Nie miał prawa robić jej czegoś takiego. Wykorzystał jej namiętność, zmysłowość i miłość do niego, by dostać to, czego pragnął. Pożądanie wpiło się w niego jak szpony dzikiego zwierzęcia. Choć wewnętrznie związał się i szarpał, przeciwny tej niesprawiedliwości, szpony przez to zagłębiały się jeszcze bardziej.

Nie poprosi jej już więcej, nie zmusi do handlowania namiętnością w zamian za kolejny wstyd. Nie będzie jednym z tych, którzy wykorzystali ją i odeszli. Nie poprosi jej też, by żyła na obrzeżu jego życia, w cieniu, by mógł się nią cieszyć w wolnych chwilach. Ta kobieta należy do kręgu światła. Zasługuje na miłość i szacunek przez resztę życia.

Co za straszna ironia... Ten irlandzki skrzypek powinien mieć do niej większe prawo niż on.

Zaśmiał się gorzko z własnych, szlachetnych oporów i kaprysów losu.

Przecież nie może dać jej nic poza rozkoszą i życiem na obrzeżu swego świata. Sama o tym dobrze wiedziała.

Gdyby mógł, dałby jej bezpieczeństwo i pewność na zawsze. Skończyłby z życiem w zawieszeniu, sprawiłby, żeby już nigdy się nie martwiła.

Postanowił więc zrobić wszystko, co w jego mocy.

Wyglądził kartę papieru i zanurzył pióro w atramencie. Rękę miał już na tyle sprawną, że mógł w miarę czytelnie kreślić znaki pisma.

Zatrzymał się, gdy dotarła do niego kolejna prawda. Nie wyobrażał sobie, jak chwyta rękojeść szpady lub zaciska ją w pięść, rzucając się do walki wręcz. Dojdzie do siebie dopiero za wiele tygodni, i to tylko pod warunkiem, że będzie cierpliwie ćwiczył.

Znieruchomiał, gdy uświadomił sobie ten fakt, nieuchronny jak śmierć.

Westchnął i zaczął pisać:

Szanowni Państwo Fountain,

Rana, jaką odniosłem, nie pozwala mi długo pisać, więc proszę wybaczyć brak ceremonii. Państwa córka Elise pracuje jako gospodyni w moim domu w Pennyroyal Green, w hrabstwie Sussex. Nie prosiła mnie, żebym do Państwa napisał, więc pokornie proszę, żebyście nigdy nie wspominali jej o tym liście. Jest jedną z najbardziej godnych szacunku osób, jakie spotkałem w życiu. Jej syn Jack to ładne, mądre i urocze dziecko. Każdy, kto ich poznał, może być z nich dumny.

Elise ogromnie tęskni za Wami i za domem, choć nigdy nie mówi o tym głośno. Ponieważ

prawdopodobnie dobrze znacie własną córkę, wiecie, jak bardzo jest dumna i jak bardzo dręczy ją poczucie, że sprowadziła hańbę na Waszą rodzinę.

Sam straciłem połowę rodziny i większość majątku podczas rewolucji, więc mogę Państwa zapewnić, że wiem, jak to jest stracić kogoś, kogo się kocha, i nikomu bym tego nie życzył.

Czuję się zobowiązany, by napisać ten list, bo Wy w dalszym ciągu macie wybór. Nie musicie tracić jej na zawsze. Jeśli to duma trzyma Was z dala od siebie, zapewniam, że Elise gorąco pragnie Was zobaczyć. Wystarczy napisać do niej pod ten adres. Żeglowałem po oceanach, walczyłem na wojnie, straciłem fortunę. Liczą się dla mnie tylko dwie prawdy: że życie jest krótkie i że najważniejsza w nim jest miłość.

Z poważaniem,

Philippe, Lord Lavay

Wyśle to przez posłańca. Niech lokaje rzucą monetą, któremu z nich przypadnie ten zaszczyt.

Przez chwilę siedział zupełnie nieruchomo. Pióro nawet nie drgnęło w jego dłoni. Nigdy jeszcze kilka słów nie wydało mu się tak pełne znaczenia.

Potem zanurzył pióro w atramencie i napisał kolejną wiadomość, również do adresata w Londynie:

Z głębokim żalem muszę odmówić przyjęcia zlecenia. Jeszcze nie doszedłem do siebie po poprzednim.

Tym razem nie zamierzał się podpisywać. Równie dobrze mógłby podpisać nakaz aresztowania samego siebie.

Dni do świąt i do pantomimy upływały szybko na szyciu kostiumów, bo Elise oddała cały swój wolny czas na usługi pani Sneath w zamian za liberie dla lokajów. Puddingi świąteczne były już gotowe, a teraz myślała o przygotowaniu pieczonej gęsi na kolację dla służby.

Lord Lavay postanowił spędzić święta z hrabiną i hrabią Ardmay.

Ostatnio mało bywał w domu. I przestał korzystać z dzwonka.

Służba spędziła radosny dzień na dekorowaniu domu zielenią, a potem zasiadła do spokojnego, smakowitego, miłego posiłku w kuchni. Każdy wypił co najmniej kubek grzanego wina. Pozwoliła im wcześniej iść spać, ze względu na nieobecność lorda Lavay, i z przyjemnością myślała o tym, że najpierw poczyta Jackowi, a potem sama zagłębi się w lekturę. Najlepiej w jakiejś cudownie kiczowatej powieści.

Weszła do pokoju, syta i mile zamroczone winem, na tyle śpiąca, żeby zasnąć bez liczenia francuskich lordów. Wystarczy wyszczotkować włosy, położyć Jacka do łóżka i zaśpiewać mu kołysankę.

Powoli podeszła do biurka.

Jakby z wielkiej odległości widziała, jak jej ręka wyciąga się i dotyka szczotki do włosów.

Nie zniknęła. To nie był sen ani iluzja.

Co więcej, szczotkę przewiązano piękną satynową wstążką.

Opadła na krzesło, czując słoneczne ciepło promieniujące z serca.

– Skąd on to wiedział? – szepnęła.

Zaśmiała się cicho. Delikatnie wzięła do ręki znajomą, ulubioną szczotkę i trzymała ją czule, jakby to była jego dłoń. Po chwili nie mogła już odczytać inicjałów, bo łzy zmąciły jej wzrok.

Przesunęła dłonią po oczach.

Dopiero wtedy dostrzegła niewielkie pudełeczko z napisem: „Dla Jacka”.

Pociągnęła nosem.

– Jack, kochanie, dostałeś prezent od lorda Lavay.

– Prezent? Super! – Chwycił pudełko i usadowił się na łóżku, żeby je otworzyć. Odwróciła się, żeby się temu przyjrzeć, ale kątem oka pochwyciła jeszcze jedną rzecz.

Mało brakowało, a nie zauważyłaby zaadresowanego do siebie listu.

Natychmiast rozpoznała pismo i serce w niej zamarło.

Wstrząśnięta, zasłoniła usta dłonią. Ogarnął ją kompletny bezwład.

Przez chwilę myślała, że nie zdoła otworzyć listu, tak się bała, co może być w środku. Czy jakaś straszna wiadomość, czy kolejne słowa krytyki.

Odwagi, Elise.

Wzięła głęboki oddech.

Wsunęła palec pod pieczęć. Papier zaszeleścił.

Droga Elise,

Kochamy cię i od chwili Twojego odejścia nieustannie za Tobą tęsknimy, w każdej minucie każdego dnia. Od dawna wybaczyliśmy Ci tę zaskakującą wiadomość, ale jak dobrze wiesz, jesteśmy dumną i upartą rodziną i nieraz działamy impulsywnie i pochopnie. To nasza

największa zaleta i zarazem wada. Mam nadzieję, że znajdziesz w sercu wybaczenie za to, co zrobiliśmy. Prosimy Cię, przyjedź do domu razem z Jackiem. Jego również będziemy kochać.

Ucałowania,

Mama i Tata Fountain

– Lew! Olbrzym dał mi lwa! Mam prawdziwego lwa! Wrrrrrr! – Jackowi udało się otworzyć swoją paczkę. – Czy możemy dziś wieczór odegrać Androklesa z lewem, mamó? Mamó?

Nie była w stanie się odezwać.

Odwróciła się do niego i zmusiła się, by posłać uśmiech i jemu, i zabawnemu drewnianemu lwu z grzywą z farbowanej wełny.

Była tak przepełniona emocjami, że brakło jej słów.

– Oczywiście, Jack.

Podskoczył do niej, objął ramionami i przytulił się mocno.

– Dlaczego płaczesz, mamó?

Zamknęła go w długim, czułym uścisku.

– Jestem po prostu bardzo, bardzo szczęśliwa z prezentów, Jack. To wszystko. Później powiem ci dlaczego. Po twojej pantominie.

W poświęteczny dzień Philippe wsunął się do kościoła w sam czas, by obejrzeć niesłychany bożonarodzeniowy cud – własnych lokajów z powagą towarzyszących trzem bardzo niskim królom. Wszyscy razem wędrowali złożyć hołd Jezusowi, który leżał w żłobie otoczony uroczymi zwierzątkami. Wśród nich była też kudłata owieczka imieniem Jack. Chłopiec miał na głowie kłapciaste uszy, a jego ubranie oklejono kłaczkami puchatej wełny.

Wokół kręciła się grupka malutkich, rozbrykanych aniołków z aureolami na drucikach. Większości brakowało mlecznych zębów, a jeden drapał się po tyłeczku, gdy śpiewały i zderzały się ze sobą jak kule bilardowe, choć miały pewnie stać grzecznie w rzędzie.

Seamus Duggan grał na skrzypcach kolędę o pasterzach, a dzieci wtórowały wysokimi, słodkimi głoskami. Choć nie wolno im pewnie było do nikogo machać, Jack i tak pomachał mu ręką.

Właściwie było to jedno z lepszych przedstawień jakie Philippe widział w teatrze.

Do diabła z Seamusem Dugganem.

Philippe zamknął oczy i pozwolił, by głosy i skrzypce przepływały przez niego, docierając do zboliałych, niezabliźnionych zakątków jego duszy. Na chwilę wszystko pozostało w zawieszaniu. Ten nieudaczny Seamus Duggan dysponuje większą wolnością niż on, wielki lord Lavay

Kiedy otworzył oczy, natychmiast wypatrzył głowę Elise. Miała na sobie czerwoną wełnianą suknię, a luźno upięte ciemne włosy przepłótła wstążką, którą od niego dostała. Lśniły jak aureola. Wyobraził sobie ich jedwabisty dotyk na dłoniach. Pochylała się do przodu, jakby chciała być bliżej Jacka, całą sobą dając mu wsparcie.

Uśmiechnął się.

Ciekawskie twarze odwracały się w jego stronę. W ławkach zasiadała cała rodzina Eversea, pewnie ze względu na kuzyna pastora. Olivia Eversea była wśród nich. Towarzyszył jej Landesdowne.

Philippe nie czuł się częścią tego towarzystwa, ale był tu akceptowany. Był obcym, godnym podziwu, zachwycającym gościem, o którym z pewnością będą plotkować.

W Pennyroyal Green zawsze będą tacy goście.

Lepiej było należeć do kogoś lub do czegoś, tak jak ustalili to kiedyś z hrabią Ardmay.

Wymknął się z kościoła pod koniec przedstawienia i stanął przy drzwiach. Patrzył jak z

kościół wybiegają grupki aniołków i owieczek, mieszając się z miejscowymi. Wyczuwał, że wszystkich zaskakuje jego obecność, ale czekał na nich cierpliwie, ignorując ciekawskie spojrzenia gapiących się na niego dam.

– Olbrzymie! Przyszedłeś!

Jack zazwyczaj podskakiwał wesóło, szczególnie od chwili, gdy powierzono mu rolę owieczki. Ale dziś podszedł do niego, powłócząc nogami, i to wcale nie z powodu ciężkiego kostiumu. Coś tu było nie tak.

– Byłeś świetną owieczką, Jack.

– Dzięki, Olbrzymie. I dziękuję za lwa! Strasznie go kocham. Mama aż się przez niego popłakała.

Philippe spojrzał na nią z niepokojem.

– Jack – powiedziała ostrzegawczo. – To dlatego, że te prezenty... To były cudowne prezenty. Dziękuję, lordzie Lavay.

Skinął tylko głową, bo wyraz jej oczu tak go poruszył, że nie mógł mówić.

Jack naprawdę był przygnębiony pomimo zachwyty, jaki wzbudziła pantomima. Spuszczał wzrok, choć zwykle rozglądał się ciekawie wokół siebie. Buzię miał smutną i pochmurną, choć zawsze był pełen radości życia, rozpromieniony jak miniaturowe słońeczko, emanujący światłem.

– Nie jesteś zadowolony ze swego występu, panie Jacku? – zapytał.

– Było dobrze – uciał chłopiec.

– Dzięki, że przyszedłeś lordzie Lavay. To bardzo miło ze strony milorda – włączyła się Elise.

– Nie wiedziałem, że przy narodzinach Jezusa byli obecni lokaje. Człowiek całe życie się uczy.

– Podejrzewam, że większość historii wciąż jest dla nas zagadką.

Uśmiechnął się i odwrócił głowę. Uśmiech zbladł i zmienił się w grymas rezygnacji.

W końcu poza domem nie prowadzi się długich towarzyskich rozmów z własną gospodynią. Wywołałoby to z pewnością komentarze, których żadne z nich sobie nie życzyło. Pozostały im więc tylko dobre maniery.

Spotkanie. Rozstanie. Spotkanie.

I znowu rozstanie.

Dzisiejszy wieczór pewnie zadecyduje o wszystkim.

– Pani Fountain, idę dziś na spotkanie towarzyskie. Jem kolację z lady Prideux i lordostwem Archembault w domu lorda Harry’ego. Nie musi więc pani przygotowywać dla mnie kolacji.

Patrzył, jak przyjmuje jego słowa, jakby znosiła kolejne ukłucia szpilkami. Wyprostowała plecy, na pobladłej twarzy pojawiło się napięcie.

Mimo wszystko nie chciał jej okłamywać.

– Dziękuję za wiadomość, milordzie.

Jej słowa niosły ze sobą ukryte znaczenie.

– Poza tym... napisałem do króla, odrzucając zlecenie. – Odwrócił się, mówiąc te słowa. Jakby nie mógł znieść jej reakcji na tę wiadomość.

Elise stała bez ruchu, jakby nagle ogłuchła i oślepla wśród radosnego tłumu.

Znaczyło to, że podjął decyzję i wybrał lady Prideux.

Nie wiedziała, jak długo milczała. Być może przez ten czas słońce wzeszło i zaszło z dziesięć razy.

– To dobrze – powiedziała w końcu nieswoim, drżącym głosem. W końcu musiał po

drodze na powietrze przedrzeć się przez ostrza noży tkwiących w jej brzuchu.

Co za kłamstwo. Jak może być dobre coś, co oddala ich od siebie?

Może rzeczywiście dobrze jest wiedzieć, że przynajmniej nie będą do niego strzelać ani dźgać szpadami. To byłby koszmar.

Jack obok niej przestępował z nogi na nogę, a ona stała, targana emocjami na wszystkie strony, jak na torturach. Nigdy nie będzie mogła ich okazać. Nie wolno jej ani płakać w poduszkę, ani nawet stłuc wazy.

Po prostu znajdzie jakiś sposób, żeby przekształcić to wszystko w miłość. I nauczyć się go kochać z daleka.

– Życzę wam obojgu dobrego dnia, pani Fountain. – On też mówił nieswoim, gardłowym głosem. Z powagą dotknął kapelusza i odwrócił się, jakby szedł na pogrzeb, a nie na świąteczną kolację.

Elise patrzyła, jak odchodzi, trzymając dłoń na ramieniu Jacka. Kolana się pod nią uginały. Czuła, jak niewidoczna siła ciągnie ją ku niemu, jakby przywiązał wstążkę do jej serca i holował je za sobą.

Kostium Jacka zaczął powoli spadać. Obiecała pomóc pani Sneath przy sprzątanii kościoła – również w zamian za liberie lokajów.

– Dobrze się czujesz, kochanie? – Położyła mu dłoń na czole. – Wiem, że rola owieczki bywa męcząca, kiedy na co dzień jest się zwykłym chłopcem.

– Nic mi nie jest, mamó. – Skrzywił się i odsunął spod jej ręki, jakby położyła mu na czole ropuchę.

– Masz zatwardzenie? Od ciastek?

– Nie, mamó! Kurczę, możemy już iść do domu?

„Kurczę”? Kolejne słowo, które trzeba usunąć z jego słownika.

Spojrzała na niego z niepokojem.

Wpatrywał się we własne buty. W dalszym ciągu przemalowane na kopytka.

– Oczywiście, kochanie – powiedziała po chwili milczenia. – Ale dopiero za godzinę, bo musimy pomóc pani Sneath przy sprzątanii. Na zakończenie zjemy coś słodkiego.

– Nie jestem głodny.

Te słowa trafiły ją prosto w serce. Dopiero teraz naprawdę się zaniepokoiła.

– Pójdę poszukać Liama – rzucił i pobiegł przed siebie, nie czekając, czy wyrazi zgodę.

– Dwa miesiące temu widziałem się z Marie-Helene – oznajmił lord Archembault. – To piękna młoda dama, Lavay. Jest ozdobą waszej rodziny.

A co z jej sukniami? – miał ochotę zapytać. Chyba znać na nich upływ czasu, prawda?

Na kolację jedli znakomitego zająca w sosie. Dom był piękny, położony na pagórku, z którego widać było w dali zarówno Alder House, jak i plebanię, nie wspominając o pubie Pod Świnia i Ostem.

Ogłupia mnie to towarzystwo, pomyślał niewdzięcznie.

– Cieszę się, że tak myślisz. Mam nadzieję, że się z nią zobaczę wkrótce po powrocie do Francji – odezwała się Alexandra.

Spojrzał jej w oczy nad srebrnym świecznikiem, podobnym do tych, które zabierali z domów uchodźcy – ofiary rewolucji.

Odpowiedziała intymnym uśmiechem. Wiedziała, że wkrótce dojdą do porozumienia – to się czuło w powietrzu. Zaraz Philippe wypowie odpowiednie słowa i ich zaręczyny staną się faktem. Zamiast „wróć do Francji” będzie mogła powiedzieć „wrócimy i tam zamieszkamy”. Niemal to słyszała.

Ona jutro wróci do Londynu, a stamtąd do Francji myślał Philippe.

Próbował wyobrazić sobie kolejne kolacje, podczas której będzie siedział naprzeciwko niej, przez resztę swego życia. O czym by rozmawiali? Pewnie o dzieciach. I o różnych rzeczach, które będą sobie kupować.

Jaka by się okazała w łóżku?

Ta myśl napełniła go niechęcią, i to nie było dobre. Przecież miłości z tak piękną kobietą nie można traktować jak nudnego obowiązku.

Zrozumiał, że ci ludzie go nudzą. Zabrzmiało to jak zdrada, ale było prawdą. Zachowywali się, jakby rewolucja nigdy się nie zdarzyła, jakby była przelotną niedogodnością. Co za ironia... Wszystkie jego wysiłki zmierzające do ocalenia sposobu życia, który według nich był najlepszy, i do którego uzurpowali sobie prawo – walka w oddziałach hrabiego Ardmay, krwawe bitwy morskie u boku marynarzy takich jak wybuchowy grecki kucharz Hercules, napad na schodach w Horsleydown – sprawiły, że przestał się do niego nadawać. Nigdy już nie będzie pasował do miejsca, które zostawił daleko za sobą. Do tego wyrafinowanego, bezpiecznego, pięknego, wygodnego świata. Owszem, był piękny, był cudowny. W takim świecie powinna żyć jego siostra. Takie życie sobie dla niej wymarzył.

Nie miał już z nimi nic wspólnego.

Może czuł się tak dlatego, że od dawna nie zarzucił kotwicy w ich świecie. Nie było tam miejsca, które mógłby nazwać swoim domem.

Może odzyskałby równowagę, gdyby wrócił do Les Pierres d'Argent. Może to miejsce przypominałoby mu, o co walczył.

Przez cały wieczór miał wrażenie, że recytuje rolę w sztuce, którą odgrywał już z tuzin razy.

– Twój dziadek też się tobą przechwala, Philippe.

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Mam szczęście, że wciąż żyje i że jest ze mnie dumny...

– Lordzie Lavay.

Zaskoczeni, odwrócili się w tamtą stronę. To odezwał się jeden z lokaj, który cały czas krążył cicho jak kot, obsługując ich przy stole. Równie dobrze mógłby przemówić jeden ze świeczników.

– Bardzo przepraszam, ale to podobno pilna sprawa. Ktoś czeka na milorda w foyer.

Spojrzał w twarz lokaja. Zobaczył w niej coś, co sprawiło, że zaczął powoli wstawać, starannie składając serwetkę.

Złe przeczucie zjeżyło mu włosy na szyi.

– Proszę tędy, milordzie – powiedział cicho lokaj.

Philippe poszedł jego śladem i zatrzymał się gwałtownie na szachownicy z kamiennych płyt, którymi wyłożono pomieszczenie.

Na progu stał jego lokaj pokojowiec Ramsey. W blasku latarni zawieszonych na ścianie jego twarz wydawała się biała jak śmierć. Wokół jego stóp utworzyła się kałuża deszczowej wody.

Philippe'owi zahuczało w uszach.

– Czy coś się stało Elise? – spytał gwałtownie.

Lokaj zrobił zdziwioną minę.

– Eli... Nie, panie. Nie. Przepraszam, milordzie, że przeszkadzam. Nie przychodziłbym, gdyby...

– Mów wreszcie, Ramsey.

– Młody pan Fountain gdzieś przepadł.

Serce Philippe zamarło.

– Jack? – powiedział gardłowo.

– Pani Fountain poszła do niego po kolacji i okazało się, że nie ma go w łóżku. Przeszukaliśmy cały dom, wszystkie schowki i szafy, wołaliśmy go bez końca. Nawet... – przełknął ślinę – ...nawet pod schodami, na wypadek gdyby...

Philippe ostrzegawczo pokręcił głową. Wołał nie słyszeć tego zdania do końca. Zresztą lokaj też nie miał ochoty go wypowiadać.

W uszach huczało mu coraz głośniejsze, a serce biło mocno, jak żołnierskie buty na paradzie. Poczł przerażenie, które ogarnęło Elise, jakby to była nadchodząca burza... Owinęło mu się wokół serca jak wąż. Porwała go zimna furia. Niech nikt na całym świecie nie odważy się jej skrzywdzić. Jej albo Jacka.

Wszystko będzie dobrze.

– Czy pani Fountain wie, że tu jesteś? – spytał ostro.

– Nie, Wasza Lordowska Mość. Nie chciałaby, żebym pana niepokoił. Przyszedłem bez jej wiedzy... Ona dalej biega po całym domu, i woła go wciąż po imieniu... – Ramsey przełknął ślinę.

Philippe poklepał go po ramieniu.

– Dobrze zrobiłeś – pochwalił.

Żaden Lavay przed rewolucją nie powiedziałby czegoś takiego do lokaja, nie wspominając już o dotyku.

A raczej przed Elise Fountain.

Po głowie chodziła mu pewna odległa myśl, skupił się więc na niej, rozpaczliwie starając się ją dopaść, jak drapieżny ptak ofiarę.

– Jack nigdy się tak nie zachowywał. Nie ma go od prawie dwóch godzin, a może nawet dłużej. Nie wiemy na pewno. Ona jest zrozpaczona, lordzie Lavay. – Głos mu się łamał. – Żal patrzeć. Lubię ją, panie. Zawsze była dla nas taka dobra.

– Philippe? – zabrzmiał czyjś zirytowany głos. Alexandra. W korytarzu zastukały jej obcasy.

– Cicho – przerwał jej gwałtownie, wzruszając ramionami, jakby odganiał komara. Myślał z takim natężeniem, że nawet nie zauważył, kto się do niego odzywa.

Jej zdumione sapnięcie też umknęło jego uwadze.

– Nie jestem szeregowcem ani brudnym poganinem z twojego statku, Philippe. Nie wolno ci mnie traktować w ten sposób.

– Cicho bądź – warknął. Nie dbał o to, do kogo się odzywa. Powiedziałby to nawet królowi.

Bo w końcu dotarła do niego pewna prawda.

W całej pełni.

Zaczął wydawać polecenia – spieszenie, gniewnie, nieznoszącym sprzeciwu głosem.

– Wiem, gdzie on jest. Ramsey, idź po panią Fountain i zaprowadź ją do kościoła. Ruszaj się. Żwawo, człowieku!

Lokaj odwrócił się na pięcie i pomknął jak wystrzelony z armaty. Drugi lokaj, ten, który przyniósł mu wiadomość, już trzymał w rękach płaszcz. Philippe wdział go jednym ruchem, potem zdjął ze ściany latarnię i wypadł za drzwi.

– Phili...

Głos Alexandry mógłby być równie dobrze powiewem wiatru.

Pędził długimi, pochłaniającymi odległość susami, przemierzając w ciemności łąkę. Zacinający z ukosa deszcz dawno już zgasił latarnię. Co chwilę zapadał się w błoto. Nie czuł niczego. Nawet bólu. Własny oddech huczał mu w uszach. Plebania wydawała się zarazem tak blisko i tak bardzo daleko w tę mroczną noc. Grube, spasione deszczowe chmury kompletnie przesłoniły i gwiazdy, i księżyc.

Nie zatrzymał się ani na chwilę, dopóki nie dotarł do drzwi dzwonnicy. Chyba były trochę uchylone.

Potem wielkimi susami wbiegł na spiralne schody prowadzące na górę do dzwonu, biorąc po dwa stopnie naraz, wiedziony wyłącznie instynktem. Na górze zatrzymał się, z trudem łapiąc oddech.

Znieruchomiał i zaczął nadsluchiwać. W górze majaczyła wielka, spokojna, cicha powierzchnia dzwonu. Słyszał bijący o ściany deszcz i wiatr świszczący w szparach.

W końcu do jego uszu dotarł cichy szelest.

I równie ciche pociąganie nosem.

Pod ścianą siedział skulony Jack.

Poczuł taką ulgę, że niemal cała krew odpłynęła mu z głowy. Opadł na kolana.

– Panie Jacku. Nic ci się nie stało?

– Dobry wieczór, Olbrzymie. – Chłopiec znowu pociągnął nosem. – Nie. I wcale nie płacę.

Lavay opadł na podłogę obok niego, opierając się o ścianę, i oddychał urywanie.

– Oczywiście, że nie – wysapał.

– Chciałem zadzwonić – wyjaśnił Jack. Znowu siąknął nosem. – Próbowałem. Ale się nie dało. Nic nie potrafię. Nic ze mnie nie będzie.

– Ajaj, panie Jacku, to rzeczywiście okropne uczucie. Dobrze je znam. W życiu ciągle trzeba na coś czekać i strasznie trudno jest się tego nauczyć. Nawet teraz ciągle czekam, aż się nauczę robić różne rzeczy, a przecież już jestem dorosły. Czy mógłbyś mi trochę nagrzać płaszcz?

Rozchylił poły przeciwdeszczowego okrycia, położył je na ziemi, a potem zdjął z siebie suchy płaszcz i otulił nim Jacka. Głowa dziecka wystawała z masy ciemnej wełny, na której błyskały guziki.

Przez chwilę siedzieli w ciszy. Wydawało się, że przyspieszony oddech Philippe'a odzywa się echem w całej dzwonnicy.

– Olbrzymie?

– Tak, panie Jacku?

– Kto to jest bękart?

Philippe zamknął oczy.

O Boże.

Poczuł się, jakby znowu ktoś przeszył go szpadą.

– Bękart – powiedział powoli – to ktoś, kto mówi niemile rzeczy, bo chce unieszczęśliwić kogoś innego. To jest prawdziwy bękart – wyjaśnił z naciskiem. – Od kogo nauczyłeś się tego słowa?

– Od Colette, z akademii pani Endicott. Jest taka śliczna, Olbrzymie. Powiedziała mi, że bękart to ktoś, kto nie ma ojca i nic z niego nie będzie. I jeszcze, że ja jestem bękartem.

Colette.

Siostra Alexandry.

Tylko skąd Colette wiedziała o sytuacji rodzinnej Jacka?

Obudziło się w nim paskudne, nieprzyjemne przecucie.

Właśnie dlatego Colette znalazła się w akademii panny Endicott, pomyślał ponuro. Przecież tam zajmują się wychowywaniem trudnych dziewcząt.

A osobą, do której Elise odezwała się nieproszona, musiała być Alexandra.

Postanowił później zająć się tym.

– Aha. No cóż, Jack, to słowo ma drugie znaczenie, równie nieprzyjemne. Wiesz przecież, że słowa mają czasami dwa znaczenia? I że niektórych słów nie można wypowiadać w towarzystwie? Tak to już jest.

– Na przykład „zając”. To może być zwierzątko, ale można też złapać zająca, o tak. – Jack udał, że się przewraca i zniknął w otchłani płaszcza Philippe’a. – Albo „kora”. To może być skóra drzewa albo imię.

– Właśnie tak. Ty jesteś grzecznym chłopcem, więc nie będziesz tak mówił na nikogo.

Głowa Jack znowu wychynęła z płaszcza.

– Chodzi o to słowo na literę B?

– Tak.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Nie mam taty – powiedział chłopiec smutno i cicho, jakby wyznawał wstydlivy sekret.
– Prawie wszyscy mają. Ja też chyba powinienem mieć.

Serce Philippe’a o mało nie pękło. Czuł, jak trzaska, niby cienki lód na sadzawce.

Objął chłopca mocno, posadził sobie na kolanach i oparł podbródek na jego głowie. Tak właśnie skleja się połamane serca, pomyślał. Po prostu miłością.

Milczeli przez chwilę. Łkanie Jacka zmieniło się w przerywaną czkawkę.

– Ja też nie mam ojca, Jack.

– Twój ojciec też sobie poszedł? – spytał chłopiec ze współczuciem.

– W pewnym sensie.

– I też jesteś bastardecem?

– Niektórzy tak mówią, Jack. Naprawdę. Jest jedna ważna rzecz związana z tym, że ktoś nie ma ojca. Posłuchaj mnie teraz uważnie, bo jestem mądry i mówię samą prawdę. Wierzysz mi?

Jack skinął głową.

– Chodzi o to, że kiedy ktoś nie ma ojca musi się nauczyć, jak być silniejszy, odważniejszy i bardziej przemyślny. To ostatnie słowo oznacza kogoś, kto zawsze najlepiej wie, jak zadbać o siebie i o swoich bliskich. Czasem człowiek bez ojca czuje się trochę samotny, ale jeśli ma wielkie serce, tak jak ty, nigdy długo nie zostaje sam.

Widać było, że chłopiec słucha z uwagą. Prawie się nie kręcił, choć zaczął skubać jeden z guzików jego płaszcza.

– Widzisz, Jack, twoja *maman* kocha cię za dwoje... Nigdy nie spotkałem kogoś, kto umiałby tak mocno kochać jak twoja mama. Ma wielkie serce i jest taka dobra, że wystarczy i za matkę, i za ojca. Masz wielkie szczęście, Jack, i jesteś wyjątkowym chłopcem. Dlatego macie siebie nawzajem do kochania. Możesz być w życiu, kim tylko zechcesz, na pewno tak się stanie. Wiem, że wyrośniesz na wspaniałego mężczyznę, bo już jesteś silny, odważny i przemyślny, a do tego odważny, dobry i mądry. A Colette będzie nam szkoda i będziemy dla niej dobrzy, bo tylko

nieszczęśliwi ludzie mówią takie niemiłe rzeczy, *oui*? Dobrze?

– *Oui*. – Głos Jacka brzmiał o wiele weselej. Chłopiec westchnął głęboko i oparł się o pierś Philippe’a.

– Czasem bardzo przeżywamy różne rzeczy, *non*? Tak bardzo, że chcemy od nich uciec albo rzucać przedmiotami. Ale trzeba się przedtem zastanowić, czy nie przestraszy to kogoś, kogo kochamy. Czy ten ktoś nie będzie tęsknił. Zawsze możesz powiedzieć swojej *maman* o wszystkich swoich zmartwieniach. Twoja mama bardzo się niepokoiła, Jack. I... i ja też – powiedział z wahaniem.

– Przepraszam, Olbrzymie.

– Zabiorę cię teraz do domu, dobrze?

– Dobrze, Olbrzymie.

Ani jeden, ani drugi nie usłyszeli kroków lokaja i Elise, którzy weszli na górę, zauważwszy w oknie migotliwe światło latarni.

Deszcz trochę zelżał po pierwszej, przypominającej chlustające wymioty ulewie, więc pomimo próśb pastora, żeby wszyscy przesiedzieli do rana przy ciepłym kominku na plebanii, postanowili jednak ruszyć do domu.

Lavay przez całą drogę niósł śpiącego Jacka, a Elise lampę, która jakimś cudem nie zgasła.

Milczeli aż do samego domu. To było bardzo pokorne, spokojne, pełne zachwytu i rezygnacji milczenie.

Żadne z nich nie czuło zimna.

Philippe nie myślał o niczym. Po prostu nie myślał.

Po prostu popędził w ciemność jak zwierzę, które wyrwało się z pułapki. Zrobiłby dla niej wszystko. Nie rozróżniał, co jest najlepsze dla niej, a co dla niego, bo wydało mu się, że to jedno i to samo.

Pewnie tak zawsze się dzieje, gdy odda się serce komuś innemu. Nic na to nie można poradzić.

Podejrzewał, że słyszała wszystko, co mówił Jackowi.

Chmura odsłoniła księżyc na tyle, że oświetlił im drogę do domu.

– Przepraszam, mamo. Kocham cię, mamo.

– Wiem, kochanie. Też cię kocham. Nie zrobisz tego nigdy więcej?

– Nie, mamo. – Był taki śpiący, że ledwie wymawiał słowa.

Ściągnęła z niego mokre ubranie, natarła suchym, ciepłym ręcznikiem i owinęła ciepłym szlafrokiem, a potem położyła do łóżka rozgrzanego gorącymi cegłami, razem z czekoladą do picia i drewnianym lwem.

Tuliła go w ramionach aż zasnął. Nie musiała długo czekać.

Wsluchiła się w równy oddech. Liczyła odechy, jakby chciała nadrobić te, których nie słyszała, gdy był na kościelnej wieży, na próżno próbując uderzyć w dzwon.

Żeby coś z niego było.

Dopiero wtedy zaczęła dygotać.

Wyszła z łóżka, rozebrała się, wysunęła szpilki z włosów i potrząsnęła włosami, aż spłynęły na plecy.

Otuliła się szlafrokiem, zapaliła świecę i zeszła po schodach jak lunatyczka, ku jednej jedynej osobie, która dawała jej poczucie bezpieczeństwa.

Zastukała trzy razy w drzwi. Bardzo cicho.

Nie było odpowiedzi.

Nacisnęła więc klamkę.

Poruszyła się.
Drzwi uchyliły się, nawet nie skrzyknąwszy.
Philippe siedział w wielkim fotelu przy ogniu, trzymając w dłoni kieliszek brandy.
Patrzył w ogień, jak niegdyś w okno. Może szum deszczu zagłuszył jej ciche stukanie.
Ulewa mściwie smagała ziemię jak za biblijnych czasów. Przebrał się, ale wciąż miał na sobie koszulę i spodnie. Był bosy, a lekko wilgotne włosy ułożyły się w kapryśne fale na skroni.
Podniósł wzrok.
I znieruchomiał.
Uważnie odstawił brandy na boczny stolik.
Powoli zbliżała się do niego, a on śledził wzrokiem jej postać, jakby była niebiańską wizją.
Zatrzymała się na chwilę, żeby mógł podziwiać zarys jej ciała przez nocną koszulę.
Spojrzała w ukochane oczy, gorące jak brandy, odbijające tańczące na kominku płomienie.
Jedno udało jej się osiągnąć podczas pobytu w tym domu: w każdej sypialni płonął teraz żar.
W dosłownym i przenośnym sensie.
Opadła przy nim na kolana i położyła mu głowę na podołku. Przez chwilę gładził ją delikatnie po włosach.
Nawet nie spostrzegła, gdy zaczęła płakać, ale kiedy to się stało, nie mogła już przestać. Cały ten strach, niepewność i wstyd wywołało słowo „bękart”. Nie zniosłaby, gdyby z jej powodu stracił wszystko, czego pragnął. Ogarnęła ją przemożna fala uczuć.
Głaskał ją i szeptał czule:
– *Cherie*, nie płacz. *Ma coeur*, już jesteś bezpieczna. Bezpieczna. Cicho...
– Tak się bałam. – Dygotała bez przerwy, w spóźnionej reakcji na niedawne przerażenie.
– Wiem, wiem. Tak mi przykro. Chodź tutaj. Chodź.
Podniósł ją i posadził sobie na kolanach, a potem mocno otoczył ramionami, pragnąc ją rozgrzać. Trzymał ją tak, aż przestała się trząść i łkać.
Potem w ciszy przytuliła się do jego ramienia. Przypomniała sobie, jak kiedyś się zastanawiała, czy jakaś kobieta szukała schronienia w jego objęciach.
Teraz wydawało jej się, że cały świat to robił.
– Tak długo chroniałam go przed tym słowem, Philippe. Na plebanii nikt go nie oceniał. To moja wina. To ja mu to zrobiłam.
– Nie zrobiłaś nic takiego; kochasz go, i tyle. To ojciec mu to zrobił. Nie ochronisz go przed światem. Ale możesz go nauczyć, jak ma sobie w nim radzić. Możesz go nauczyć, że można pozostać dobrym, mimo, że inni tacy nie są. Kto wie o tym lepiej od ciebie?
Odwróciła się, by spojrzeć mu w oczy. Przesunęła palcem po jego szczęce, a potem po pięknie ukształtowanych wargach. Pozwolił jej na to. Patrzył na nią tylko rozpalonym wzrokiem. W źrenicach tańczył odbłask płomieni. Przez chwilę wpatrywali się w siebie. Kto by pomyślał, że taki twardy człowiek ma ogromne, cudowne serce?
Czule pocałowała go w usta.
Czas zwolnił bieg, jakby sunął po aksamicie. Pomyślała, że na wieki czeka ich Czyściec Nierozpiętych Guzików.
W końcu się udało i guzik puścił.
Z westchnieniem ulgi rozchyliła mu koszulę i pogładziła dłonią mocną, twardą pierś. Pocałowała go.
– Ależ ja cię pragnę – szepnęła.

Wsunął palce w jej włosy, gdy całowała go w szyję. Serce mu biło mocno, szybko i dziko, jak u prawdziwego wojownika.

Gdy ich usta stopiły się ze sobą, a pocałunek stał się głodny, szalony i czuły, jej palce powoli wędrowały w dół po bliźnie – pamiątce cięcia, która mogła go zabić, ale zamiast tego stała się drogą, która przywiodła go ku niej. Poglaskała ją lekko, jakby wędrowała ścieżką, prowadzącą właśnie ku tej chwili.

Poruszył się, gdy jego członek naprężył się i pogrubił.

Zsunęła się mu z kolan i uklękła, przesuwając językiem po pasmie ciemnych włosów, które znikało w spodniach.

Sięgnęła do guzików, które na szczęście szybko poddały się jej niezgrabnym palcom.

Pulsujący członek sam wsunął jej się w rękę. Otoczyła go wargami.

Philippe wziął gwałtowny oddech.

Przesunęła ustami po całej jego długości. W ślad za nimi powędrowała jej dłoń. Potem powtórzyła to jeszcze raz.

I kolejny.

Wygiął plecy z cichym jękiem, zaciskając dłonie na jej włosach. Odrzucił głowę do tyłu, napinając szyję. Odezwał się urywanym, chrapliwym głosem.

– Matko Boska... tak mi dobrze, Elise...

Udzieliło się jej to podniecenie. Całe ciało napięło się i zadygotało, już nie ze strachu, ale z poczucia mocy i dzikiego pożądania.

Powtórzyła pieszczotę ust i dłoni, a potem musnęła językiem naprężony drąg mięśni, smakując jego jedwabiste zarzysy.

Złapał za rękawy nocnej koszuli.

– Ściągaj to – rozkazał szorstko. – Albo sam ją z ciebie zedrę.

Chwiejąc się, stanęła na nogach i zdjęła koszulkę. Wpadła mu prosto w rękę, jakby to ona stała na drodze wszystkich jego pragnień. W pewnym sensie tak było, ale – ponieważ była to tylko koszulka – nie opierała mu się długo. Opadła na podłogę, trzepocąc jak postrzelony gołąb. Zaśmiał się.

– Och, moja ukochana... Wielki Boże...

Brzmiało to jak hosanna. Spodobało jej się, więc stała tak dłuższą chwilę, naga, całkiem bezbronna, pozwalając, by cieszył tym widokiem rozpalone oczy.

Otoczył ramionami jej uda i przyciągnął ją do siebie. Dotknął wargami brzucha, a potem bez ostrzeżenia przesunął je w dół. Delikatnie, ale stanowczo rozchylił jej uda i wsunął między nie język.

Nie była przygotowana na falę rozkoszy, która niemal powaliła ją na ziemię.

– Philippe...

Zrobił to znowu, pieszcząc palcami delikatną skórę ud. Chwyciła się jego mocnych, rozpalonych ramion. Rozkosz przepływała jej żyłami fala za falą, gdy jego język poruszał się, przesuwając i pieścił jej wnętrze – z bezlitosną wiedzą i umiejętnością.

Jęczała cicho – nieszczęsna istota zredukowana do przemożnego pożądania.

– Błagam...

Possał ją lekko.

– Tego chcesz, kochana? – zamruczał. – O to prosisz?

– Tak... Boże... proszę cię... – szeptała urywanie, gardłowo.

– Będziesz krzyczeć – zachrypiał rozkazująco w ciemności.

Zrobię wszystko, co zechcesz, pomyślała.

Przyciągnął ją do siebie, aż usiadła mu na kolanach. Ujął swój członek i wszedł w nią

jednym mocnym pchnięciem. Chwycił ją za biodra i zakołysał jej ciałem. Odchyliła głowę do tyłu, zachwycona tym, że wypełnił ją całą. Znowu jęknęła. Trzymał ją mocno, gdy jej biodra wznosiły się i opadały. Uderzała go pięściami po ramionach, gdy cała poddała się rozkosznemu spełnieniu, które ogarnęło wszystkie zmysły i wyrwało jej z gardła szorstki okrzyk triumfu. Mało brakowało, a by zemdląca.

– Och, Boże... Elise... Ja...

Kiedy nim z kolei targnęło spełnienie, objęła go czule i teraz ona trzymała go w ramionach.

Byla bezwładna jak gałgankowa lalka, oszołomiona, nasycona, trochę obolała.

Rozkoszowała się wspólnym rytmem, w jakim poruszały się ich klatki piersiowe, unoszone oddechami.

– Boli cię? – spytała.

– Trochę. Ale nie ruszaj się jeszcze. Dobrze mi w tobie.

Jeszcze się z niej nie wysunął.

Oparła mu głowę na ramieniu. Jego dłonie błędziły po jej plecach. Oboje byli pokryci potem.

– Chciałem, żeby to było bardziej wyrafinowane – powiedział przez jej włosy, które zasłaniały mu twarz. – Kiedyś pewnie będzie. Może za trzecim albo za czwartym razem.

Jego marzenia właśnie się spełniały. Teraz, kiedy już ją miał, czuł, że nigdy, nigdy nie będzie miał dość.

Poczuł jej uśmiech na swoim ramieniu.

Przesunął palcami po jej żebrach, potem w dół pięknej talii aż do bioder, potem zatrzymał się, by powoli, z namysłem okrążyć to pulsujące niesłychanym życiem miejsce u podstawy pleców, aż poruszyła się niespokojnie i znowu jęknęła.

– Philippe...

Odchylił ją łagodnie w swoich ramionach i dotknął językiem sutka. Westchnęła. Jakże go zachwycał ten dźwięk.

Skubnął jej ciało.

– Chcę posmakować każdy cal twojego ciała – zamruczał. – Każda krzywizna, każde zagłębienie, każde tajemne miejsce da mi przyjemność...

– Pokaż mi...

– Chodź ze mną – powiedział bez wahania.

Pchnął ją lekko.

Zsunęła mu się z kolan, wzięła go za rękę i pociągnęła za sobą do łóżka. Został z tyłu, żeby obserwować, jak się kołyszą jej rozpuszczone włosy, opadając niemal do samej cudownie zaokrąglonej, białej pupy, i już wiedział, jak ją teraz weźmie.

Z westchnieniem opadł na łóżko i przyciągnął ją ku sobie.

– Najpierw musimy się pozbyć tego – stwierdziła stanowczo.

Ściągnęła z niego koszulę i odrzuciła tak jak on wcześniej jej bieliznę. Szybko zdjął spodnie.

– Przykryj mnie – szepnęła.

Objął ją, ogarnął ramionami i przetoczył na plecy, żeby patrzyła mu w twarz.

– Zawsze chciałem całą noc leżeć u twego boku – szepnął. Powiodł palcem po zarysie jej szczęki, nosa, uszu.

– Zawsze?

– Po tym, jak wezmę cię na dziesięć różnych sposobów.

– To jest aż dziesięć?

– Och, *ma chérie* – użalił się żartobliwie. – Jak ty mało wiesz...

– Weź mnie – poleciła szeptem.

Pocałował ją szorstko i odsunął jej włosy z czoła.

Pieściła dłońmi jego uda, ciesząc się powolnym dotykiem. Oddychał coraz bardziej urywanie i pożądał jej coraz bardziej.

Cudowny dotyk pokrytej potem, nagiej kobiecej skóry i łaskotanie sutkami sprawiły, że jęknął cicho. Jej ciało było niebiańsko krągłe i delikatne. Napiął się i stwardniał, wciskając się w jej miękki brzuch.

Jednym gwałtownym ruchem przekręcił ją na brzuch, okraczając jej uda. Zasypał pocałunkami kostki kręgosłupa, a potem pieścił je dłońmi. Jej oddech też był ciężki i urywany.

– Philippe...

Uniósł jej biodra i przesunął palcem przez rowek jej tyłeczka. Skubnął jeden pośladek, a potem drugi.

– *Comme, une peche* – mruknął.

Jęknęła.

– Proszę cię, Philippe, chcę...

Wsunął palec między jej nogi i przekonał się, że jest gorąca i mokra. Doprowadzało go to do szaleństwa.

Jęknęła gardłowo, jak zwierzę, tak erotycznie, jakby pieściła go dłonią po naprężonym członku.

– Chcesz mnie, Elise?

– Tak.

– Jak mnie chcesz?

– Już. Teraz.

– W ten sposób?

Dokuczał jej, zaledwie muskając jej pochwę.

Zacisnęła dłonie na wezglowiu łóżka. Pośladki kołysały się w rytm oddechu. Potem uderzyła drewnianą deskę dłonią i na poły jęknęła, na poły zaśmiała się:

– Niech cię diabli...

Dopiero wtedy pchnął mocno, aż zanurzył się w niej cały. Jęknął cicho.

Miał ochotę dręczyć ich oboje w wyrafinowany sposób. Wiedział, jak zwiększyć rozkosz, dawkując ją po trochu... i naprawdę się starał. Wycofał się powoli, tak by czuła każdy jego cal, i sam rozkoszował się jej dotykiem.

Ale pożądanie trzymało go w swoich szponach.

Zagłębił się znowu, przyciągnął jej biodra do siebie, zachwycony, że znowu jęknęła.

– Mam przestać, Elise? – spytał chrapliwie.

– Boże, nie. Proszę... szybciej...

Wycofał się, a potem znowu na nią naparł, tym razem powoli, bardzo powoli. Czuł nieznośne napięcie na szyi. Na ciele wystąpiły perełki potu.

Uniosła biodra, by wszedł jeszcze głębiej i jęczała ze zmysłowej męki.

Stracił wszelką kontrolę. Napierał na nią jak szalony. Cały świat zredukował się do brutalnego, pierwotnego dźwięku zderzających się ze sobą ciał, urywanych oddechów, jęków rozkoszy i błagania o więcej.

Spełnienie niemal wyrwało jego świadomość z ciała. Nią również targały spazmy. Krzyczała z rozkoszy, napierając na niego ciałem i kurczowo trzymając się wezglowia. On też jęczał głośno, ale miał wrażenie, że słyszy własny głos z wielkiej odległości, jakby był gdzieś na księżycu.

Obudził się z jej włosami na ustach; chyba zasnęli na chwilę. Leżała z głową na jego piersi i ręką przerzuconą przez jego ramię; jej udo spoczywało na jego nodze. Oddychała

spokojnie. Jej ciepłe tchnienie obudziło w nim pożądanie. Poruszył się, czując naprężający się członek. Przesunął palcami po jej plecach i krągłym biodrze, rozkoszując się jej ciałem, drażniąc je i pobudzając. Pragnął jej znowu. Boże, tak bardzo jej pragnął.

Obudziła się z westchnieniem i podnosząc głowę, szepnęła:

– Philippe.

Uniosła głowę i lekko, przekornie pocałowała go w usta. Uśmiechnął się prosto w jej wargi, a potem skubnął dolną. Podłożył dłonie pod jej pośladki, by poczuła, jaki jest pobudzony. Odpowiedziała uśmiechem. Zadygotała, gdy pieścił ją po plecach i udach. Wiedziała już, jak się poruszać, by doprowadzić do szaleństwa i jego, i siebie.

Przetoczył ją na plecy i uniósł się nad nią.

– Powoli – powiedział.

– Zatrzymamy czas – zgodziła się szeptem.

Wsunął się w nią od niechcenia, a ona otoczyła go ramionami i nogami. Przyciągała go coraz bliżej, pozwalając wejść jeszcze głębiej.

Poruszali się razem niemal leniwie: on wycofywał biodra, ona unosiła swoje, by wyjść mu na spotkanie. Odkładali, najdłużej jak mogli, ten dziki moment szczytowania, chciwy pęd ku ostatecznemu spełnieniu. Rozkoszowali się swoją bliskością, upajali głębokimi, głodnymi pocałunkami. Oddalali czas rozstania.

Najdłużej, jak tylko mogli. W końcu jednak nadszedł moment, kiedy Philippe nie był już w stanie oprzeć się przemożnej sile.

– Kochana, nie mogę już dłużej...

W odpowiedzi wygięła się w łuk.

– Szybciej, Philippe.

Rytm stawał się coraz szybszy, ich ciała zderzały się ze sobą. Wpuściła go, najdalej jak mogła, odrzucając głowę do tyłu, wbijając dłonie w jego ramiona, oplatając go nogami... a on poprowadził ich oboje na szczyt rozkoszy.

To był kradziony czas.

Nie udało się zatrzymać jego biegu.

„Kradziony” to dobre określenie. Nie mieli do siebie żadnych praw, zważywszy na status społeczny i na te... o właśnie: okoliczności życiowe.

– Co będzie z Alexandrą, Philippe?

Nie przypuszczała, że uda jej się kiedykolwiek wypowiedzieć to imię, ale teraz, gdy ogień przygasał, a ich ciała chłodził pot, kiedy walczyli ze snem, ogarnęła ją bezlitosna jasność myśli.

Słowa zawisły na moment w ciemności, niespodziewane jak echo odległego wystrzału.

Wydawało się, że nie mają z nimi nic wspólnego. Rzeczywistość wdarła się w iluzję tej skradzionej nocy.

Odezwał się po chwili długiego milczenia niskim głosem, jakby musiał użyć siły, by wydobyć odpowiedź na powierzchnię.

– Pojechała do Londynu. Porozmawiam tam z nią jeszcze.

Elise nie odezwała się ani słowem.

Potem wzięła głęboki wdech, jakby upajała się jego zapachem i westchnęła.

Nieobecnym gestem głaskał ją po plecach. Poczul przemożną senność.

Elise ogarnęło litościwe zobojętnienie i poczucie nieuniknionego. Podjęła decyzję.

Ta noc była w pewnym sensie pożegnalną elegią.

Nikt nie znał lepiej od niej, jakie konsekwencje przynosi unikanie zobowiązań, uchylanie się od odpowiedzialności i wykraczanie poza swój status. Nigdy nie będzie go za to winić. I o nic go nie poprosi.

Teraz wiedziała już, co ma zrobić. Pewnie w końcu przyniesie jej to spokój...

Tym razem spał jak zabity. Kiedy się obudził, był sam, a przez zasłony sączyło się szare światło dnia.

Położył rękę obok siebie. Jej miejsce było jeszcze ciepłe. Nie odsunął ręki, jakby ona wciąż tam leżała. Przypomniawszy sobie wszystko. Dlaczego wydało mu się to ważne? Po prostu spędził noc z Elise i już.

Obudził się ponownie, kiedy ktoś zastukał do drzwi.

Westchnął, niezadowolony, że każą mu wracać do rzeczywistości.

– Proszę wejść.

Do środka wkroczył rześkim krokiem dziwnie żwawy lokaj z kawą i tartą jabłkową na tacy. Postawił ją na małym stoliku.

– Wybierasz się dziś do Londynu, milordzie?

No tak, oczywiście. Wszystko jasne.

– Tak, James, ruszam do miasta.

Wczoraj, kiedy Elise kładła Jacka spać, powiedział lokajom o planowanej podróży.

– Okropny dzień na jazdę – stwierdził wesół James. Odsunął zasłony, za którymi kryła się kolejna – tym razem deszczowa.

– Bywało gorzej. – Philippe ziewnął.

Był obojętny na wszystko. Wiedział, że nie poczuje ani deszczu, ani zimna. Zrobi to, czego wymaga obowiązek. Pojedzie powozem pożyczonym od hrabiego Ardmay, pewnie bardzo powoli, i tylko wspomnienie nocy będzie go trzymać przy życiu. Jeśli dobrze pójdzie, znajdzie się w Londynie przed przyjazdem Alexandry.

I pozalátwia wszystko, jak należy.

Podróż rzeczywiście była nieprzyjemna, choć większość jej przespał. Zatrzymał się w rezydencji Redmondów, gdzie powitał go Jonathan, jedyny członek rodziny, który wciąż tam mieszkał. Philippe doprowadził się do porządku i poszedł na spotkanie z Alexandrą.

Znalazł ją w salonie jej rodowej rezydencji. Przyjęła wystudiowaną pozę na błękitnej sofie, która podkreślała barwę jej oczu. W piecach tak mocno napalono, że z jego surduta o mało co nie unosiła się para.

Wstała na jego widok. Pochylił się w ukłonie nad podaną mu ręką.

– Nie byłam pewna, czy się pojawisz, Philippe.

– Wybacz moje nietypowe pożegnanie wczorajszej nocy. Wiem, że zachowałem się nietypowo.

– Absolutnie! To było bardzo dziwne i, za pozwoleniem, wręcz prostackie, Philippe. Naprawdę, bardzo nie w twoim stylu. Jakbyś się spieszył do porodu. – Wskazała mu krzesło i zadzwoniła na służbę.

Dziwne, ale na dźwięk dzwonka jego serce drgnęło, jakby niecierpliwie na coś czekało.

Alexandra ponownie wskazała mu krzesło.

– Rzeczywiście, to było niegrzeczne i bardzo cię przepraszam. Ale zaprzyjaźniona osoba znalazła się w trudnej sytuacji, a ja mogłem jej pomóc, Alexandro. Ty z pewnością też kiedyś pospieszylaś z pomocą komuś, kto znalazł się w opałach, prawda?

Z trudem mógł sobie wyobrazić sytuację, w której ta kobieta rzuciłaby się komuś na pomoc.

Milczała, taksując go chłodnym spojrzeniem.

– Słyszałam, że mówiłeś o jakiejś „Elise”. Czy to imię twojej gospodyni?

– Owszem.

Zapadła dziwna, nieprzyjazna cisza. W tym momencie pojawiła się służąca,

prawdopodobnie tutejsza gospodyni, z herbatą i ciastkami na tacy.

Alexandra podała mu talerzyk z ciastkiem, a potem napełniła dwie filiżanki. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem.

– Alexandro... – powiedział lekko, pociągawszy łyk herbaty. – Jak sądzisz, gdzie twoja siostra nauczyła się słowa „bękart”?

Zamarła.

Ale tylko na moment. Doniosła filiżankę do ust, a potem odstawiła ją swobodnym gestem.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– To, że nazwała syna mojej gospodyni bękartem.

– No cóż. Taka jest prawda, nie sądzisz? – Była autentycznie zaskoczona. Wskazała na imbryk. – Imbryk. Potem na sofę. – Sofa. Bękart. Tak to już jest. Może powinniśmy być zadowoleni, że moja siostra poznaje nowe słownictwo, ponieważ do tej pory miała trudności w szkole.

Chyba próbowała być dowcipna.

Wyjaśnił powoli, jak niedorozwiniętemu dziecku.

– Chciała go zranić tym słowem.

Wyprostowała się.

– Nie waż się mówić do mnie takim tonem – odpowiedziała lodowato. – On jest tylko...

Philippe odstawił filiżankę tak gwałtownie, że porcelana głośno szczęknęła.

Alexandra zamrugnęła.

Spoglądali na siebie w milczeniu.

– A może opowiesz mi, jak doprowadziłaś do tego, że moją gospodynię usunięto z pracy w akademii, Alexandro? – spytał cicho.

Znieruchomiała. Nawet nie mrugnęła powieką.

– Elise? – zapytała ironicznie. I zaśmiała się nerwowo.

– Elise.

– No cóż... – zaczęła, wyraźnie zbита z tropu – dla ludzi z naszą pozycją to proste, Philippe. Wystarczyło zasugerować, że moja siostra jest utalentowanym dzieckiem o niezwyklej wrażliwości i powinna być na lekcjach tylko wtedy, kiedy sama zechce. Natomiast twoja gospodyni – spodoba ci się to, Philippe, zaręczam ci – powiedziała, że głupio byśmy zrobili, pozbawiając ją dyscypliny i porządku, bo dokładnie tego jej potrzeba. Głupio! Proszę cię. Wyobraź sobie, że ona nazwała mnie głupią. W związku z tym wypytałam jakąś służącą o jej sytuację życiową. Zagroziłam, że wszystko opowiem rodzicom dzieci uczęszczających do akademii panny Marietty Endicott. Zrujnowałoby to szkołę, ponieważ żaden porządny rodzic nie zgodziłby się, by jego dziecko uczyła taka kobieta. Należała jej się ta lekcja. Teraz wie, jak ma się zwracać do lepszych od siebie.

Philippe milczał. Nie był w stanie odezwać się ani słowem. Oddychał spokojnie, hamując gniew i ból.

„Lepsi od siebie”. Jakże ironicznie to zabrzmiało.

Z łatwością wyobrażał sobie, jak Elise, w porywie emocji i troski, niewłaściwie odzywa się do niewłaściwej osoby.

Szkoda, że go tam wtedy nie było.

– Jak się dowiedziałeś o jej „sytuacji życiowej”, jak to przed chwilą nazwałaś?

– Służba zrobi wszystko za łapówkę, Philippe. Są tacy niemoralni...

– Oczywiście. W odróżnieniu od arystokracji.

Alexandra zarumieniła się.

– Powiedziała, że jestem głupia. – Nawet teraz wyraźnie ją irytowało to wspomnienie. Zachował lodowate milczenie.

Zaśmiała się lekko.

– Naprawdę chciałbyś, żeby mnie w ten sposób traktowano? Żeby mnie obrażała zwykła nauczycielka albo gospodyni?

– Ona ma syna – zabrzmiało to niemal szorstko.

– Tak, wiem – odparła cierpliwie. – Tego bękart.

Zamknął oczy i policzył do pięciu, żeby się uspokoić.

– Nie spierajmy się, Philippe – załagodziła. – Jesteśmy przyjaciółmi od bardzo dawna i wiem, że zawsze się ze sobą dogadamy, żeby nie wiem co. Ty też tak uważasz, prawda? Przyszedłeś tu przecież w pewnym celu. Może o tym porozmawiamy?

Spoglądała miękko i uspokajająco. Proszącym gestem położyła rękę na jego ramieniu.

Spojrzał groźnie, więc cofnęła ją ze zdziwieniem.

– Przyszedłem tu, żeby ci podziękować, Alexandro – rzucił krótko.

– Podziękować mi? – Twarz jej pojaśniała w oczekiwaniu, że zacznie wyliczać wszystkie jej zalety.

– Owszem. Bo gdybyś nie postarała się o usunięcie Elise z pracy, nigdy bym jej nie spotkał.

Wytrzeszczyła na niego oczy. A potem, gdy zorientowała się, do czego zmierza, jej twarz powoli nabiegła krwią, a oczy zmrużyły się jak szparki.

– Spaleś z tą dziwką – zasyczała.

– Uważaj – ostrzegł ją jedwabistym głosem. – Uważaj.

Zszokowana i wściekła, z trudem łapała powietrze.

– Nie zamierzasz przecież się z nią ożenić... Staniesz się pośmiewiskiem wszystkich znajomych, sprowadzisz hańbę na swój szlachtetny ród, jeśli ta prostytutka...

Podskoczyła, gdy zacisnęła pięść i uderzył nią w kruche ciastko, rozgniatając je na milion okruszków.

– To wszystko, co zostało z mojego życia i mojego szlchetnego rodu. I tyle właśnie mnie obchodzi opinia ludzi o moim postępowaniu. Twoja również.

Oddychała ciężko.

– Wyjdź stąd natychmiast.

Skinął głową i spojrzał na nią z góry. Pomyślał, że widzi ją chyba ostatni raz w życiu.

– Jeśli jesteś rozczarowana lub urażona, Alexandro, bardzo mi z tego powodu przykro. Cieszyło mnie, że nasze rodziny się ze sobą przyjaźnią...

– Wynoś się – zasyczała.

– I pamiętaj, Alexandro, że w miłości nie ma nic prostackiego – powiedział spokojnie. – Mam szczerą nadzieję, że pewnego dnia sama się o tym przekonasz.

Skłonił się krótko i wyszedł.

Mieli tak niewiele rzeczy. Ubrania. Szczotkę do włosów.
Drewnianego lewka.

Brązowy, kryty aksamitem fotel.

Pakowanie nie potrwa długo.

Jeszcze raz przeczytała list od rodziców. Jak mogła tego nie zauważyć?

Prosimy Cię, przyjedź do domu razem z Jackiem. Jego również będziemy kochać.

Skąd znali jego imię?

Philippe pewnie do nich napisał.

Szatan wcielony.

Zaśmiała się cicho. Znowu wypełniło ją to cudowne, jasne poczucie, że ktoś ją kocha. Wiedziała dobrze, że niezależnie od tego, gdzie rzuci ich los i co się z nimi stanie, zawsze będzie mogła wrócić pamięcią do chwil, kiedy tak bardzo ją kochał, i przywołać to ciepło w sercu.

W dzień po odjeździe Philippe'a postanowiła porozmawiać z Jackiem.

– Siadaj, synku. Musimy porozmawiać.

– Nabroiłem coś, mamó?

– Skądże znowu. Słuchaj, Jack, wiem, że przykro ci z powodu twojego taty i tego, że nie mieszka razem z nami.

– Nie ma sprawy, mamó. Kocham cię, a ty kochasz mnie, i to wystarczy.

Zaśmiała się i objęła go lekko. Niech Bóg błogosławi Philippe'a i jego mądrość.

– Masz rację. Tak jest najlepiej. Ale mam dla ciebie wspaniałą wiadomość. Jest jeszcze ktoś, kto nas kocha. Nigdy nie spotkałeś tych osób, ale teraz do nich pojedziemy. Zamieszkamy u babci i dziadka i będziemy prawdziwą rodziną. To wspaniali, dobrzy ludzie. Na pewno ich także pokochasz.

Jack słuchał tego wszystkiego, szeroko otwierając oczy. Nie wiedziała, ale to przenikliwe spojrzenie było dokładnie takie samo, jak jej własne.

– Mamó, ale ja lubię tu mieszkać. Tu jest Olbrym!

– Pamiętasz, że kiedy odjeżdżaliśmy od panny Endicott powiedziałam ci, że pokochasz to miejsce? Miałam rację?

Zastanowił się.

– Tak, mamó.

– Więc teraz ci obiecuję, że pokochasz babcię i dziadka, Jack. Są bardzo weseli i mądrzy. Dom jest wprawdzie nieco mniejszy, ale będziesz tam miał własny, duży pokój i pokażę ci poręcz, po której zjeżdżałam, kiedy byłam małą dziewczynką, i rzekę, gdzie się chodziło na ryby. Jest tam wiele wspaniałych miejsc do zabawy. Mają nawet konia, na którym będziesz mógł się uczyć jeździć.

– Kurczę... to znaczy hurraaa! Czy Olbrym nas tam odwiedzi?

Elise zawahała się.

Philippe był taki pewny, że ona do niego przyjdzie.

I miał rację.

Teraz ona z kolei była pewna, że mówi Jackowi prawdę.

Skrzyżowała palce na szczęście.

– Jeżeli Olbryzym będzie umiał zejść po łodydze fasoli, na pewno znowu się z nim zobaczymy.

Powrót z Londynu do Sussex był uciążliwy i powolny. Zabrało mu to prawie dwa dni. Pogoda się wprawdzie poprawiła, ale drogi były błotniste i pełne głębokich kolein po niedawnych ulewnych deszczach. Spędził w mieście prawie dwa tygodnie. Doprowadził do porządku okręt, spotykał się z wieloma znajomymi i jadał z nimi kolacje w miejscach, które przyprawiłyby Alexandrę o palpitacje serca. Tyle że ci ludzie należeli do załogi „Fortuny” i nieraz powierzał im swoje życie. Stał na nabrzeżu pod gwiazdami, obok Jonathana Redmonda i hrabiego Ardmay. Uściskiem ręki przypieczętowali nową umowę: zamiast ścigać piratów, będą handlować jedwabiem i korzeniami. Już za kilka miesięcy powinno im to przynieść niezły zysk. Zatrudnią dobrego kapitana albo awansują kogoś z załogi na to stanowisko.

Philippe i hrabia Ardmay przeniosą się na stały ląd.

Potem, w wygodnej miejskiej rezydencji Redmondów, napisał do Monsieur Le Grande’a.

Szanowny Monsieur LeGrande,

Uprzejmie dziękuję za pańską cierpliwość i wyrozumiałość, ale w końcu jednak wyrażam zgodę na sprzedaż Les Pierres d’Argent. Życzę nowym mieszkańcom wielu szczęśliwych i zdrowych lat w tym pięknym domu.

Nadał list pospiesznie, żeby nie zmienić zdania.

Ponieważ nauczył się niejednego o miłości i poświęceniu, wymyślił też, w jaki sposób odpłaci się Lyonowi Redmondowi za uratowanie życia.

Wrócił do domu o poranku, kiedy Alder House spowijała jeszcze cisza i ciemność. Dziwne, ale rzeczywiście miał wrażenie, że wraca do domu. Odetchnął głęboko zapachem lnu i cytryny, wonią zgaszonych wieczorem świec, delikatnym aromatem jabłek – mógłby przysiąc, że ktoś piekł tartę jabłkową, ale może tylko mu się wydawało... Wszystko to otuliło go jak miękki, przytulny koc, pełen ciepła i miłości. Poszedł do siebie na górę, zrzucił ubranie, wsunął się pod koc i w jednej chwili zasnął głęboko, bez marzeń. Miał wrażenie, że niemal natychmiast ktoś zastukał do drzwi.

Podniósł głowę, mrugając powiekami.

– Wejść – zachrypiał półprzytomnie.

Do środka wkroczyła...

– Co jest, do diabła... Co tu robisz, kobieto?

– Dzień dobry, milordzie. Powiedziano mi, że lubisz się rano napić kawy z tartą jabłkową.

Nazywam się Winthrop. Może sobie mnie przypominasz, panie. Jestem tu tymczasowo, dopóki nie znajdziemy dla Jego Lordowskiej Mości nowej gospodyni. Pracuję na stałe u hrabiny Ardmay.

– Tymczasowo? Nowej? Przecież ja mam gospodynię!

Usiadł gwałtownie. To na pewno sen. A może wszystko, co wydarzyło się z Elise, było snem? Może nigdy nie istniała? Może pani Winthrop też mu się przyśniła?

Jeżeli tak, to wcale mu się nie podobał ten sen.

Biedna gospodyni kompletnie nie była przygotowana na oglądanie męskiego torsu w całej okazałości. Z wrażenia upuściła tacę.

Skrzywił się, słysząc trzask i brzęk porcelany.

Oboje patrzyli, jak kawa rozlewa się po dywanie. Wyglądało to jak scena zbrodni.

Popatrzył na nią.

– Niech się pani tym nie przejmuje. Gdzie, do diabła, podziała się Elise?

Gospodyni szeroko otworzyła oczy, słysząc imię swej poprzedniczki.

– Pani Fountain wróciła do rodziny w Northumberland. Nie zostawiła milordowi listu? –

Głos jej drżał.

– Byłem cały czas w Londynie. Wróciłem tej nocy. Listu? Jakiego listu?

To musiał być sen.

– Nie wyobrażam sobie, żeby odeszła nie zostawiając wiadomości. To bardzo odpowiedzialna osoba, milordzie. Powiedziała, że pan na pewno się będzie tego spodziewał. Aha, chciałam jeszcze powiedzieć, że wczoraj wieczorem przyjechała tu młoda dama.

– Młoda dama? Ramsey! James! – ryknął, jakby chciał się wyrwać z sennego koszmaru. Za dużo tych wszystkich nowin jak na człowieka, który pięć minut temu otworzył oczy.

Biedną panią Winthrop solennie zapewniono, że lord Lavay stał się uroczym człowiekiem, przestał krzyczeć i ciskać przedmiotami. Poczula się oszukana w konfrontacji z rzeczywistością.

Do pokoju weszli obaj lokaje.

Przynajmniej oni nie zniknęli i wyglądali całkiem realnie. W swoich błękitnych liberiach.

Jeśli to nie sen, to jedno jest pewne.

Elise wyjechała.

– Ta młoda dama twierdzi, że jest pana siostrą – tłumaczyła pani Winthrop drżącym głosem.

– Moją sios... Ramsey! James! Pomóżcie mi się ubrać i ogolić!

Pani Winthrop, która nie znosiła krzyków, wymknęła się pospiesznie. Poprzednia praca u Violet Redmond wydała jej się nagle miła i spokojna, co nie wróżyło dobrze na przyszłość.

Ledwie wszedł do gabinetu, gdy przez drzwi wpadło odziane w muślin tornado i zaatakowało go bez ostrzeżenia.

Jęknął, gdy chwyciła go wpół i zamknęła w objęciach, unieruchamiając ręce. Zasypała go litanią ledwie zrozumiałych, pełnych troski wymówek – na połę francuskich, na połę angielskich.

– Marie-Helen – warknął przez zęby, nie próbując się nawet uwolnić. – Co ty tu robisz, na litość boską? Jakim cudem się tu dostałaś?

Puściła go i cofnęła się o krok.

– Powiedz mi, gdzie cię boli, braciszku, to będę omijać to miejsce przy biciu!

– Dlaczego niby zamierzasz mnie bić?

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że jesteś ranny i bliski śmierci, Philippe? Nie jestem dzieckiem. Myślisz może, że jestem taka pływka i głupia, że widzę w tobie tylko drzewko, z którego spadają pieniądze? Za te, które mi ostatnio przysłałaś, kupiłam bilet, a nie jakieś tam kiecki. Wszystko sama załatwiłam. Dziecko nie dałoby sobie z tym rady. Wcale nie było trudno. Wystarczy wydawać polecenia. – Machnęła ręką. – Nie wiem czemu, ale wszyscy chętnie robią to, o co ich poproszę.

On wiedział dlaczego. Była piękna, władcza, urocza i przekorna. Fakt, nie doceniał jej do tej pory. Teraz, kiedy na nią patrzył, zupełnie nie rozumiał dlaczego. Przecież była jego siostrą, jak słusznie zauważyła Elise.

– Skąd, u licha dowiedziałaś się o tych londyńskich zbirach?

Wiedział, że dziadek nigdy by jej o tym nie opowiedział.

– Z twojego listu. Zapomniałaś już? Stało ci się coś z głową? – Wyjęła list i pomachała mu przed nosem, jakby to był królewski dekret.

Tylko jego siostrze uchodziły na sucho sugestie na temat jego głowy, w dodatku wygłaszane takim tonem. Właściwie nawet miło było to słyszeć.

– Z mojego listu...? Pokaż mi go, proszę.

Wyrwał jej papier z ręki i przebiegł wzrokiem ostatni akapit.

Dochodzę do siebie po napaści zbirów w Londynie. Wszystko mnie jeszcze boli i może

nigdy nie wyzdrowieję do reszty, ale cieszę się z tego bólu, bo mogłem przecież zginąć. Myślałem o Tobie, kiedy byłem bliski śmierci. Tęsknię za tobą, Marie-Helene, bo jesteś bardzo dobrą siostrą.

Dobry Boże. Trochę przesadziła. Wyobraził sobie Elise, jak pisze te słowa i zaśmiewa się w głos. Co za przewrotna lisica.

On nigdy w życiu nie byłby taki sentymentalny. Nic dziwnego, że siostra wpadła w taką panikę, że pierwszym statkiem przypłynęła do Sussex.

Ale skoro już tu przyjechała, za nic nie puści ją z powrotem.

– Zostaję tutaj – powiedziała lekko, rozglądając się po domu, jakby już była jego właścicielką. – Bez ciebie Prowansja ani Paryż nie są już takie jak dawniej. Nic nie jest takie jak dawniej, Philippe – dodała cicho. – I nigdy już nie będzie. Na pewno sam o tym wiesz.

Owszem, wiedział. Aż za dobrze.

Czujnie zamrugał powiekami.

– Zamierzasz tu zostać? W Pennyroyal Green?

– Czemu nie? Londyn nie jest wcale daleko. Wprawdzie Londyn to nie Paryż, ale też i nie prowincja. Dom jest czyściutki i bardzo wygodny, lokaje przystojni, a ludzie z miasteczka wydają się bardzo mili. Na przykład uroczy pan Duggan. Zdaje się, że tak się nazywa. Spotkałam go przy plebanii. Pomógł mi, bo jeden z kufrów się obluźował i wypadł z powozu. Jak to dobrze, że go spotkałam, jak tylko wjechaliśmy do miasteczka.

No, ładnie.

Philippe wybuchnął śmiechem.

– A dziadek?

– Och, on nigdy nie opuści Paryża, ale możemy go odwiedzić. Spróbujemy go namówić, Philippe.

Popatrzył na nią i dostrzegł w niej matkę, ojca i samego siebie.

– Czemu się tak gapisz? – spytała zaniepokojona.

– Bo... ogromnie się cieszę, że przyjechałaś, Marie-Helene. – Złapał ją za ramiona i ucałował w oba policzki. – Pomimo, że wszystkie twoje suknie są niemodne.

Trzepnęła go ręką.

– Naprawdę coś ci się stało z głową.

– Raczej z sercem – poprawił. – Ale wiem, jak to naprawić.

Zima niechętnie ustępowała miejsca wiosnie, ale mimo wszystko do przytulnej kuchni Fountainów zajrzało w końcu słońce. Na talerzach piętrzyły się tosty, śledzie, jajka i kielbaski. Zebrani przy stole entuzjastycznie powitali parujący dzbanek z kawą, który służąca postawiła na środku.

Jack znalazł w Northumberlandii nowych przyjaciół, ale brakowało mu kościoła z porządnym dzwonem.

Właśnie sięgał przez stół po marmoladę, kiedy jego wzrok padł na okno i...

– To Olbrzym! – wykrzyknął tak głośno, że jajecznicę, którą nakładał sobie ojciec Elisy, pofrunęła w powietrze.

Chłopiec wypadł przez drzwi, zostawiając je otwarte na oścież, popędził ścieżką i rzucił się w objęcia Lavaya.

Philippe złapał go na ręce i ruszył przed siebie, trzymając chłopca w ramionach. Zupełnie, jak człowiek z krwi i kości, a nie halucynacja albo złudzenie – bo przecież tylko w takiej postaci mógłby się pojawić na ścieżce prowadzącej do niewielkiego domku w Northumberlandii w miesiąc po tym, jak go opuściła na dobre – a przynajmniej tak jej się wtedy wydawało.

Zamarła i czekała, aż zniknie. Przecież to musi być sen.

Rodzice przyglądali mu się, jakby rzeczywiście był olbrzymem z bajki.

Potem jednocześnie odwrócili się i spojrzeli na Elise.

– Nie martwcie się, to zupełnie coś innego niż poprzednio – powiedziała nieobecny głosem.

Niezbyt ich to uspokoiło.

Philippe postawił Jacka na ziemi i stanął w otwartych drzwiach.

Elise zaniemówiła. Jej serce wносиło się i opadało jak gołąb uwolniony z klatki, i wyraźnie zabrało ze sobą jej głos.

Philippe był w każdym calu arystokratą – potężnym, silnym, aroganckim, przystojnym mężczyzną. Jego obecność zarazem pomniejszała i powiększała wszystko, co było w ich domu.

– Olbrzym przyjechał, mam – powtórzył niepotrzebnie Jack.

– Widzę – odpowiedziała cicho.

Zupełnie nie pasował do tego cichego domku wiejskiego lekarza.

– Mamo, tato, to jest mój poprzedni... pracodawca, lord Lavay.

– Miło mi państwa poznać – powiedział.

Jego głos rozbrzmiał echem w całej kuchni – ten ukochany baryton, który miękko wymawiał wszystkie „s” i rozjaśniał samogłoski, jakby były diamentami.

Jej rodzice w końcu skłonili się, zupełnie jak nakręcane zabawki, które ktoś wprawił w ruch.

– Czy mógłbym zamienić parę słów na osobności z państwa córką? – spytał Philippe w ten swój układny sposób, który sprawiał, że ludzie pchali się, by mu służyć. Rodzice o mało co nie wpadli na siebie w drzwiach, tak szybko chcieli zostawić ich samych. – Jack, pójdiesz na chwilę z *grandmère* i *grandpère*?

Postawił go na ziemi, a chłopiec popędził za dziadkami na górę.

Po chwil dobiegł ich jego głos:

– To on dał mi tego lwa!
– Chodź ze mną na dwór, Elise.

Poszłaby za nim nawet do piekła, ale głos odmówił jej posłuszeństwa.

Stanęli w słońcu, mrugając, otoczeni pejzażem znanym jej od urodzenia – tym wszystkim co znała i kochała.

Przez chwilę tylko patrzyli na siebie.

– Podoba mi się twoja wstążka – powiedział w końcu. – Kupiłaś sobie nową?

Uśmiechnęła się lekko.

– O tym będziemy rozmawiać?

Nie roześmiał się w odpowiedzi. Patrzył na nią, jakby odnalazł bezcenny skarb.

– Myślę, że najbardziej ze wszystkich dźwięków na świecie lubię twój śmiech.

Och. To trafiło ją prosto w serce.

W dodatku powiedział to ze śmiertelnie poważną miną.

– I jeszcze to westchnienie, kiedy cię pierwszy raz pocałowałem. I jak jęczysz, kiedy cię...

– Philippe, powiedz mi w końcu, dlaczego tu przyjechałeś. – Całe jej ciało ogarnęło dziwne gorąco, jak zwykle w jego bliskości. Jej serce tłukło się jak oszalałe.

– Moja siostra przyjechała do Pennyroyal Green.

– Naprawdę? – Elise była zachwycona.

– Poszłaś na nieźle ryzyko, pisząc ten list, pani Fountain. Znasz mnie lepiej niż ja sam.

Zawsze tak było.

Nie odezwała się ani słowem.

On też zamilkł.

– Przyjechałeś tylko po to, żeby mi to powiedzieć, Philippe?

– Nie.

– Chciałeś się poskarżyć na siostrę?

– Nie.

W żaden sposób nie mogła skłonić go do uśmiechu. Nagle zdała sobie sprawę, że jest napięty jak skóra na bębnie.

Jeśli tu postoją dłużej, pewnie zapaści korzenie, a ptaki zaczną przysiądać na jego ramionach.

– Chodzi o to... – Wziął głęboki oddech i wsadził ręce do kieszeni. – Przyjechałem, bo zrozumiałem, że śmierć i życie są jednym i tym samym bez ciebie, Elise.

Och.

Pokręciła lekko głową, czując płynące po policzkach łzy.

– Myślałem, że potrzebuję wszystkiego, co niegdyś miałem... Myślałem, że moim obowiązkiem wobec rodziny jest zachować przeszłość. Ale to wszystko miało sens tylko z jednego powodu: dzięki miłości. Moi bliscy poumierali albo rozproszyli się po świecie, zaczęli nowe życie. Wszystkie wspomnienia, które pragnę zachować, są pełne miłości. Elise, dom jest zawsze tam, gdzie jest miłość. – Podeszedł do niej zdecydowanym krokiem. Spuścił wzrok. – A ty jesteś moją miłością.

Ledwie go widziała przez łzy. Wiatr wesoło igrał z jej włosami. Czuła, że gubi wszystkie spinki, ale za nic nie odwróciła spojrzenia od jego twarzy nawet na sekundę.

– Kocham cię, Elise. Wiedziałaś o tym, zanim ja się zorientowałem.

Nie uśmiechnął się jednak.

Dzieląca ich odległość zaczęła się wydawać nieznośna.

Ale musiała dowiedzieć się czegoś jeszcze, zanim pozwoli mu podejść.

– A co z Alexandrą?
– Da sobie radę, wszędzie i z każdym. – Zbył temat Alexandry machnięciem ręki, jakby to nie była chmura przesłaniająca świat Elise.

– Ale to nie będę ja. Powiedziałem jej, co do ciebie czuję. Nawet jej podziękowałem, że dzięki niej pojawiłaś się w moim życiu, bo dowiedziałem się o wszystkim.

Elise nie odezwała się ani słowem. Oniemiała ze szczęścia. Pragnęła tylko, by ta chwila trwała wiecznie – taka była świetlista i przepelniona spokojem.

– Napiszemy własną historię. Będziemy mieli własny dom, własną dynastię, jeśli tylko zechcemy. Jeśli... – głos mu się załamał – jeśli mnie kochasz.

Wcale nie chciała go dręczyć oczekiwaniem, ale w dalszym ciągu jej głos nie potrafił wydostać się na zewnątrz, taka była oszołomiona ze szczęścia.

– Kocham cię – wykrztusiła bardzo cicho, chociaż te słowa powinny zabrzmieć donośnie, przy wtórze trąb archanielskich.

Wziął głęboki oddech jak człowiek uwolniony z ciasnego zamknięcia. Zamknął oczy.

W niespełna sekundę pokonał dzielącą ich odległość i nagle znalazła się w jego ramionach, jakby nigdy ich nie opuszczała.

Szeptał jej do ucha po francusku bzduerne, czułe słówka, ocierając łzy z jej oczu, żeby mogła widzieć jego piękną twarz i na zawsze zapamiętać, jak wyglądał w chwili, kiedy powiedziała mu o swojej miłości.

Spojrzał jej w oczy.

– I zostaniesz moją żoną?

– I zostanę twoją żoną.

– Jesteś pewna, *cherie*?

– Oczywiście. Jak zdążyłeś zauważyć, lubię hazard.

– To świetnie. A ja nauczyłem się już, jak grać na czas.

– Doskonale. W takim razie zawsze będziemy wygrywać. Jak nie ty, to ja.

Dopiero wtedy ją pocałował – z wahaniem, jakby to był pierwszy raz.

Po chwili pocałunek stał się głębszy, pełen takiej namiętności i siły, że z pobliskiego drzewa poderwały się ptaki, jakby pod nimi zapłonął ogień.

Rodzice i Jack patrzyli na to z okna na piętrze.

– Jest taka sama jak ty – powiedział ojciec do matki, która ocierała oczy chusteczką, a ona w odpowiedzi wymierzyła mu solidnego kuksańca w zębra.

Wzięli ślub w kościele w Pennyroyal Green. Udzielił go wielebny ojciec Sylvaine, świadkowali bardzo zaskoczeni, ale i rozczuleni hrabia i hrabina Ardmay, a w ławach zasiadła zapłakana rodzina i służba.

Kiedy wreszcie triumfalnie wyszli z kościoła, przy wtórze okrzyków licznie zgromadzonej gawiedzi, Philippe i Jack szybko ruszyli na dzwonnice.

Philippe podniósł chłopca do góry i razem zadzwonili w dzwon tak radośnie, że słychać go było w każdym zakątku hrabstwa Sussex.

Podczas wesela, które wydano w posiadłości, niejeden zauważył, że Seamus Duggan był trochę bardziej pochmurny niż zwykle, a jego skrzypki pobrzmiwały żałośnie, gdy wygrywał *Sussex Waltz*.

W Londynie Lyon Redmond, znany także jako pokorny kupiec pan Hardesty, przygotowywał się do wyjścia w morze, kiedy na trap wszedł mężczyzna w granatowej liberii ze srebrnymi obszyciami.

Ludzie skupieni wokół swego kapitana chwycili szpady i pistolety. Nagle, ku swemu zdziwieniu, obcy znalazł się w najeżonym ostrzami tłumie mężczyzn o zaciętych twarzach.

Skłonił się.

– Szukam pana Hardesty’ego.

– To ja.

Nieznajomy uklonił się znowu.

– To dla pana. – Podał mu wiadomość.

– Zaczekaj – powiedział Lyon do posłańca, który z wielkim, lecz nieuzasadnionym optymizmem uznał, że może już odejść.

Nieszczęsny Ramsey, na którego wskazał rzut monetą, posłusznie znieruchomiał, przybierając obojętny wyraz twarzy, chociaż w słońcu błyszczało pół tuzina szpad skierowanych w jego stronę.

Lyon przełamał pieczęć.

Znieruchomiał.

– Zapłaćcie temu człowiekowi – powiedział obojętnie.

Ktoś cisnął gwineę w stronę Ramseya, który zgrabnie ją złapał.

Siedem słów.

Wychodzi za mąż w drugą sobotę maja.

W ten sposób Lavay wreszcie spłacił swój dług wobec Lyona Redmonda.

